

DAMIEN BRODERICK

PASIASTE DZIURY

TYTUŁ ORYGINAŁU: STRIPED HOLES

PRZEKŁAD: ZBIGNIEW A. KRÓLICKI, ANDRZEJ SAWICKI



DOM WYDAWNICZY REBIS POZNAŃ 1991

Rozdział pierwszy

Machina czasu, która zmaterializowała się na środku saloniku w dość przytulnej kawa-lerce Sopwitha Hammila, wyglądała jak dwumetrowy rozcięty bochen chleba.

Jako doświadczony redaktor programów telewizyjnych, Sopwith bez trudu oszacował jej rozmiary (w przeciwieństwie do tych nieszczęsnych głupków, którzy biorą radzieckie, uzbrojone w broń nuklearną satelity szpiegowskie lub przelatujące stada bażantów za ogro-mne statki-bazy UFO). Powodem tego był też fakt, że machina wpasowała się dokładnie w sofę będącą częścią wykładanego skórą kompletu mebli, które Sopwith dość dokładnie wy-mierzył zwijaną, metalową calówką zaledwie cztery miesiące wcześniej, w ekskluzywnym sklepie „Dla Miasta i Wsi”.

Zarówno przybysz kierujący machiną czasu, jak i sama machina byli opakowani w impregnowany papier w jaskrawe wzorki, zawinięty i zaklejony na końcach.

Cały pakunek wyglądał po prostu jak jeden z tych bochenków chleba, które tak cieszyły Sopwitha w dzieciństwie, jeszcze zanim supermarkety zmusiły piekarzy do pakowania wyro-bów w plastikowe woreczki.

Sopwith przekonał się na własnej skórze, że mimo wszystkich tych śmierdzących, akty-wnych chemicznie środków konserwujących, jakie pakuje się dziś do pieczywa, jeśli prze-trzymacie je dłużej niż czterdzieści osiem godzin, wewnątrz worka zaczyna się pocić, zapoczątkowując pleśnienie.

Można skręcać świeżo otwarty woreczek. Można go zaciskać plastikową opaską. Można go wsadzać do lodówki i liczyć, że się uda.

Następnego dnia ufnie wkłada się rękę w śliską plastikową torebkę i stwierdza, że brudnozielona pleśń ruszyła i pokryła już połowę bochenka. Zanim miało się szansę zjeść więcej niż trzy lub cztery kromki, pakunek zmienił się w pulsującą życiem masę niestrawnej flory.

Zielonkawobiałej i paskudnie wyglądające na brzegach.

Wstrętne, małe zarodniki, rozsiewające się wszędzie i biorące wszystko w posiadanie.

Można opróżnić lodówkę i dokładnie ją umyć. Można wyszorować półki, przetrzeć je gąbką zwilżoną octem lub cytryną. W krańcowej rozpacz (a Sopwith w podobnych chwilach często popadał w taką rozpacz), można popędzić do supermarketu i nakupić proszków oraz aerozoli do spryskiwania i wykańczania, a każdy gwarantujący zabicie podstępного grzyba.

Rzecz jasna, nigdy się to nie udaje.

To nie karaluchy odziedziczą świat po ludziach, kiedy ci odejdą w niebyt, zabierając ze sobą swoje środki czyszczące. Odziedziczy go pleśń. Ropiejąca i gnijąca, pełzająca i lepka. Zapamiętajcie moje słowa.

Ten bochen był jednak inny. Podczas gdy Sopwith w napięciu wbijał weń wzrok, wie-rzchołek pakunku otworzył się jak zamek błyskawiczny i jedna kromka chleba uniosła się w górę - tak płynnie, że nie zrobiłby tego lepiej animator telewizyjnej reklamówki.

Kromka była chrupiąca, razowa, o niebiańskim, ciepłym i zawiesistym zapachu.

Na ten widok Sopwithowi Hammilowi pociekłaby z ust ślinka, gdyby wcześniej nie zdrętwiał z przerażenia.

Nie wiedział, iż był to obcy wychodzący z maszyny czasu. Tak jak wszystkich jemu współczesnych, filmy nazywane przez ludzi nie znających Jedynie Słusznej Terminologii Fantastyczno-Naukowej filmami „s-f” nauczyły go oczekiwać, że obcy wyłaniają się z kosmolotów.

Tak więc, w umyśle Sopwitha nie powstał nawet cień podejrzenia, że obiekt, który tkwił w jego kosztownej, obitej tłoczoną skórą sofie nie był bochenkiem chleba, lecz po prostu statkiem

kosmicznym z innego świata.

Mimo że mylił się co do szczegółów, Sopwith był jednak na dobrym tropie. Jednakże nie zawdzięczał tego swej niezwyklej i błyskotliwej inteligencji. Złośliwi krytycy jego ogólnokrajowego programu poświęconego bieżącym wydarzeniom często napomykali, że na inteligencję Sopwitha na ogół nie ma zbyt wielkiego zapotrzebowania. Jeżeli jego program miał najwyższe wskaźniki oglądalności ze wszystkich programów emitowanych w niedzielne wieczory, rzecz należało przypisać jego cudownie błękitnym oczom, muskularnej, sprawnej sylwetce, głosowi jak gęste, gorące fale magmy toczące się we wnętrzu ziemi, a przede wszystkim morderczo skutecznym materiałom zbieranym dla niego przez karzełkową asystentkę - Mariettę Planck.

Przyczyną tego, że Sopwith odgadł, iż to nieznanne urządzenie i jego smakowity członek załogi nie są bochenkiem chleba, była typowa, kretyńska pomyłka obcych.

Chleb podzielono na kromki podłużnie.

Myślę, że tu powinniśmy na chwilę przerwać.

Nie ma sensu opowiadać wam dalej o tym jednym wydarzeniu bez niezbędnych wyjaśnień.

Czy Kopernik mógłby odkryć, że Ziemia krąży wokół Słońca, gdyby grunt - jeśli można się tak wyrazić - nie został uprzednio przygotowany przez Galileusza i jego teleskop? *

Czy można sobie wyobrazić, że Albert Einstein zrobiłby ten mały krok dla człowieka, ale potężny krok dla ludzkości stwierdzając, że $E = mc^2$, gdyby matematyczne rozważania Henri Poincaré'a nie przetały mu drogi?

Powiadam wam, że na pewno nie, w obu tych, i w wielu innych podobnych przypadkach. A jeżeli nigdy nie słyszeliście o niektórych lub wszystkich tych ludziach, to odprężcie się, proszę - właśnie dowiedliście potrzeby krótkiego, lecz bogatego w treść wprowadzenia.

Na wstępie musicie się dowiedzieć, że jedyną przyczyną, dla której obcy podróżnicy w czasie w ogóle zwrócili uwagę na Sopwitha Hammila była chwilowa przerwa w działaniu ich zdumiewająco potężnego, lecz zarozumiałego Symbiotycznego Komputera.

Ta straszliwa machina była w rzeczywistości zbiorowym

umysłem, na który składało się 1096 tatkwarków, najmniejszych, ale najbystrzejszych form życia znanych w tej epoce. Jak się zapewne domyślacie, organiczna maszyna o takim stopniu złożoności i takiej szybkości działania przeważnie się nudzi, więc część czasu poświęconego badaniom węzłów czaso-przestrzennych wokół Pasiastych Dziur (jeszcze do tego wrócimy) zużyła na obejrzenie wszystkich filmów z serii „Wojny Gwiezdne”, jakie kiedykolwiek nakręcono, wszystkich dzieł Rogera Cormana, wszystkich horrorów i filmów s-f zrobionych zarówno w kolorze, jak i czarno-białych, i w ogóle wszystkich filmów, jakie można sobie wyobrazić, nawet miniseriali telewizyjnych w rodzaju „Ptaków ciernistych krzewów”.

Broniąc później Symbiotycznego Umysłu - wyrażano przypuszczenie, iż stało się tak dlatego, że właśnie oglądał „Ptaki ciernistych krzewów”, przy czym jego centralny procesor uległ chwilowemu przeciążeniu i pomylił Sopwitha Hammila z jego kuzynem czwartego stopnia, Markiem Hamillem, zawadiackim lecz wrażliwym, młodym bohaterem cyklu „Wojen Gwiezdnych”. Należy przyznać, że byli do siebie niezwykle podobni.

Jednakże Sopwith nie był gwiazdorem filmowym.

Czułby się obrażony, gdyby porównano go z Markiem, i rzeczywiście był obrażony, gdy tak czyniono, zanim w jego środowisku rozeszło się, że tego nie lubi. Uważał się za osobowość mass mediów, i to osobowość nie byle jaką.

Był nie tylko osobą uwielbianą przez setki tysięcy wzdychających i omdlewających starszych dam, pań w średnim wieku i młodych kobiet nie potrzebujących błogosławieństwa

* Najbardziej przewrotny żart autora (przyp. red.)

Kościola, by mniej lub bardziej regularnie cieszyć się towarzystwem młodych mężczyzn, obiektem zachwyty dojrzewających dziewcząt i prawie całej społeczności pederastów. Podziwiano go (a przynajmniej sam tak sądził, a niewielu uważało za konieczne mówić mu, że jest inaczej) za celne, odważne wywiady, jakie uzyskiwał od wielkich i prawie wielkich, od królów zbrodni i wybranych urzędników państwowych, od Prezydentów, Premierów, Papieży, Potentatów, Poetów, i czasami - w sentymentalnych programach świątecznych - od drogich, młodocianych ofiar polio bawiących się kotkami.

Tak się złożyło, że zainteresowanie obcego z maszyny czasu Sopwithem zostało w znacznym stopniu podsycone rozgrzewającym krew koktajlem, jaki tego wieczoru zaserwowano telewizjom.

Wiecie, jak się to robi. Podczas gdy ci żartownisie przygotowujący kampanie reklamowe walą z grubej rury jakimś bulwersującym wydarzeniem dotyczącym szykan politycznych, seksualnych nadużyć w sierocińcach lub zażywania narkotyków przez gwiazdy mass mediów z konkurencyjnych kanałów - wy zasadniczo poprzestajecie na jednym lub dwu lekkostrawnych sufletach. Wywołujecie uśmiech na ich twarzach i radujecie ich serca. Tym razem był to pięciominutowy odstrzał O'Flaherty Gribble'a, człowieka renesansu w dziedzinie astrologii.

Gribble był idealnym jeleniem.

- Zrobił pan doktorat z... jakby to określić... technologii kupek...

Audytarium zarżało ze złośliwej uciechy.

- A tak, zamknięty obieg odchodów mający na celu oszczędności energetyczne...

- Ściśle mówiąc, robocze kupki.

- Właściwie nazywamy to ekokulturą opartą na robakach, panie Sopwith.

Za grubymi szklami okularów, oczy O'Flahertego błyszcząły szczęściem. Uwielbiał swój wizerunek na ekranie prawie tak samo jak Sopwith Hammil. Skłonność ta nie była jednak wywołana chęcią puszenia się. Jako prawdziwa, dwudziestowieczna Renesansowa Osobowość, thaumaturg (do tego także powrócimy) uważał za swój obowiązek powiadomienie jak największej liczby swoich kolegów o ostatnich odkryciach we wszystkich tych dziedzinach nauk i paranauk, na jakich zdołał położyć swoje chciwe łapki. Miał trzy doktoraty, dwa dyplomy (jeden, o dziwo, z ratownictwa przybrzeżnego) i licencjat.

- Hmm... Wydaje się, że naprawdę siedzi pan w robakach, O'Flaherty. Pańskim pierwszym bestsellerem była praca o roboczych dziurach. Wyjaśnijmy sobie jednak - powiedział szybko Sopwith swoim kwaśnym, gładkim głosem, zagłuszając mamrotanie astrologa, który usiłował coś wtrącić - czy było to o dziurach, którymi robaki poruszają się wewnątrz kupek, czy o dziurach, którymi kupki poruszają się wewnątrz...

Audytarium, składające się z wyblakłych matron, gładko

wygotolonych, wynajętych na ten wieczór księgowych, apetycznych dziewcząt i ich chłoptasiów, ryknęło radośnie.

- Ani jedno, ani drugie. Chodziło o coś zupełnie innego. To dotyczyło kosmologii.

Z twarzą wykrzywioną udanym przerażeniem Sopwith zwrócił się do czekającej na to kamery.

- Używa pan robaków do wyrobu kosmetyków? - Szeroko otworzył oczy na myśl o dalszych implikacjach. Widzowie wychodzili z siebie. - Nie chce pan chyba powiedzieć, że robicie kosmetyki z robaczego gó...

- Chodziło o czarne i białe dziury w przestrzeni - ryknął O'Flaherty, z radością podej-mując wyzwanie. - Ale to było kilkanaście lat temu. Wolalbym porozmawiać o...

- Zdaje się, że jest pan spod znaku Ryb, O'Flaherty. Czy to właśnie czyni z pana wszechstronnego geniusza?

- Obawiam się, że plecie pan bzdury.

- Czyżby nie był pan geniuszem?

- Oczywiście, że jestem. Chodzi mi o znaki zodiaku. Ryby i cała reszta konstelacji. Czy nie chce pan usłyszeć o moim zdumiewającym odkryciu?

- Chwileczkę, O'Flaherty. Znaki zodiaku to bzdury? Jestem wstrząśnięty. Jak najbar-dziej wzięty astrolog w kraju może coś takiego powiedzieć?

- No cóż, to prawda - przynajmniej pośród nas, tutaj, w Australii.

Ach, tak. Przypuszczam, że to was zaskoczyło. Jednak tak się składa (choć domyślam się, że trudno wam w to uwierzyć), że nie każdy mieszka w Londynie lub Los Angeles. Czy choćby w Birmingham w Anglii albo Birmingham w Alabamie. Czasami jakieś ważne wyda-rzenia mają miejsce w Dar es Salaam i w Melbourne.

Na przykład? No, powiedzmy - dzieci z probówki.

To, oczywiście, odnosi się do Melbourne. W Dar es Salaam robią mnóstwo dzieci bez naukowej pomocy.

Gdybyście przypadkiem nie wiedzieli - Dar es Salaam jest największym miastem w Tanzanii. To taki kraj w Afryce.

W Muzeum Narodowym w Dar es Salaam znajduje się czaszka *Australopithecus boisei*, którą uważa się za czaszkę praczłowieka żyjącego w wąwozie Olduvai przed około dwoma milionami lat.

Istotnie, eksperci Muzeum Narodowego w Dar es Salaam nie

mieli pojęcia, że obcy w swych machinach czasu hulają tam i z powrotem po całej historii. Gdyby o tym wiedzieli, mogliby jeszcze raz przemyśleć sprawę czaszki australopiteka.

Jednak przypadkiem stało się tak, że Sopwith Hammil i jego gość nie znajdowali się w Paryżu czy w Nowym Jorku, nie mówiąc już o Dar es Salaam, lecz w skromnym studio Kanału 8 w mieście Melbourne, w stanie Wiktorja, należącym do Wspólnoty Australijskiej na planecie Ziemia i żaden z nich nie czuł, że znajduje się Tam Niżej i wisi do góry nogami. Swoim śmiesznym, starym, szowinistycznym zwyczajem przyjęli za pewnik, że ich rodzinne miasto jest pępkiem Wszechświata.

Żaden z nich nigdy tego otwarcie nie powiedział. Jednak obaj tak właśnie myśleli. Chcę powiedzieć, że ja myślę, że oni tak myśleli. A wy tak nie myślicie?

W każdym razie, O'Flaherty Gribble miał się w ciągu kilku następnych godzin przeko-nać (ku pewnemu swemu niezadowoleniu), że myśląc iż znajdują się w pępku Wszechświata obaj bezsprzecznie mieli rację.

- Tradycyjna astrologia opiera się na porach roku półkuli północnej, które tutaj musimy odwrócić - wyjaśniał O'Flaherty.

- Ale na pewno nie konstelacje.

Podniecony Gribble podskoczył w fotelu.

- Oczywiście, że nie. Jednak ich znaczenie, jak pan widzi, przesuwają się do przodu o sześć miesięcy. Chodzi o symbolikę. Jakże grudniowe mrozy mogą symbolizować wyteżoną pracę, jeśli jest czterdzieści stopni w cieniu?

Sopwith zerknął na ściągę, którą przygotowała mu Mariette Planck. Poczciwa, stara, niezawodna Mariette wyłożyła rzecz w trzech treściwych zdaniach.

- Tak więc enigmatyczna, australijska Ryba, urodzona w lutym, tak jak pan, jest w istocie inteligentną, krytycznie nastawioną Panną? - powiedział gładko.

- Właśnie o to chodzi, chociaż pominął pan poprzedzanie punktów równonocnych, które cofa wszystko o jeden znak. Właściwie jestem Lwem o twórczych zdolnościach.

- Załapałem. Tak więc tryby astrologii przydałoby się naoliwić.

Znowu spojrzął na ściągawkę. Jeden z punktów Mariette

podkreśliła na czerwono.

- Niech nam pan coś powie o zbliżającej się koniunkcji Kallisto. Powinna ona mieć potężny wpływ na sferę eteryczną.

Nigdy jeszcze nie widziano, by Gribble tak się zdenerwował. Tak więc widok astrologa, który nagle zbladł, zeszywniał i przygryzł wargi, był podwójnie zaskakujący.

- Zbyt wcześnie, aby o tym mówić - rzekł Gribble, a jego głos, nie wiedzieć czemu, przywodził na myśl odgłos pieprzu wcieranego w świeży stek. Rozpaczliwie próbował zmie-nić temat rozmowy. - Niech pan słucha, mam naprawdę ważną wiadomość...

Nozdrza Sopwitha rozszerzyły się, chwytając wprawdzie słaby, ale wyraźny zapach krwi. Spięty, pochylił się do przodu.

- Czyż jednak astrologowie nie wykpiłi pańskich twierdzeń, że wpływ jednego z sateli-tów Jowisza, Kallisto, spowoduje...

- Powstanie pasiastych dziur! - wykrzyknął zduszonym głosem O'Flaherty.

Sopwith zmarszczył brwi. Zaintrygowana publika wstrzymała oddech.

- Pasiastych? Nie mówi pan poważnie. Pasiaste dziury!

- Nie czarne. Nie białe. Nawet nie różowe, jak u Hawkinga. Nie - odkryłem zupełnie nowy rodzaj anomalii grawitacyjnych.

Oblizął wargi, po czym ze wzrastającą szybkością zaczął wylewać z siebie potok słów i symboli, których zapewne nikt prócz niego nie był w stanie zrozumieć, ale których wszyscy z lubością słuchali. Pasiaste dziury. Dobry Boże, pomyślał Sopwith, spoglądając na zegarek. Półtorej minuty do reklamówki. Niech gada. Toż to była nauka w formie czarnej magii, nauka jako rozrywka, nauka jako niezwykła tajemnica, dziwna i pociągająca jak starożytne runy Druidów. To była czysta magia.

Sopwith mylił się. To była czysta nauka.

W swoim domowym laboratorium O'Flaherty Gribble spędzał długie godziny przed monitorem komputera typu IBM PC podrasowanego kartą Orchid Technology PC Turbo 186. Używając jej dodatkowej pamięci zamiast pamięci swobodnego dostępu peceta, mógł wyko-rzystywać RAM płyty głównej jako niezwykle szybki RAM-dysk.

Może powinienem wyjaśnić, że RAM-dysk jest dyskiem

wirtualnym, emulującym zwykłą stację dysków, lecz działającym nieporównanie szybciej na wyjściach i wejściach, ponieważ wszystkie operacje wykonuje elektronicznie, bez możliwości mechanicznego dostępu, dopóki jego zawartość nie zostanie zrzucona do pamięci masowej. Jasne?

W bezpiecznym schronieniu swojej pracowni Gribble stanowił zdumiewający widok.

Zrzucając garnitur i wypastowane, skórzane buty O'Flaherty wdziewał sięgającą ziemi błękitną szatę, wyszywaną przez jego (świętej pamięci) matkę złotymi i purpurowymi nićmi w uroczym pierścieniu planetarne, pentagramy, czasoprzestrzenne diagramy Minkowskiego, ogoniaste komety, przerażające demony z baśni, złotoskrzydłe anioły, wzory matematyczne z często powtarzającym się i (kwadratowym pierwiastkiem z minus jeden) oraz dokładną mapę Jerozolimy w czasie jej rozkwitu i inne detale, zbyt zagadkowe, by je tu wyliczać. Na głowę wkładał wysoką, stożkową czapkę czarodzieja zwieńczoną wesołym kutasem.

Mimo tego śmiesznego stroju (a może właśnie dzięki niemu) O'Flaherty zgłębił wiele istotnych i przerażających Prawd. Na przykład, zaledwie chwilę zajęło mu odkrycie Prawdziwego Imienia Sopwitha Hammila.

Chociaż nie jest tak, że każdy posiada Prawdziwie Imię, oczywistym jest - mam nadzieję - że żaden zdrowy na umyśle rodzic nie obdarzyłby swego pierworodnego imieniem „Sop-with”.

Dwight - no, może. Troy - choć trudno w to uwierzyć. Nawet Kermit. (Czy wiecie, że był sławny Kermit Roosevelt? A był.) Jednak Sopwith - to przekracza granice prawdopodobieństwa, nawet we Wszechświecie zawierającym maszyny czasu prowadzone przez krojone podłużnie pajdy chleba.

Państwo Hammil, na cześć stryjecznego dziadka - sławnego greckiego miliardera i magnata naftowego - ochrzcili dziecko imieniem „Xylopod”.

W mitologii greckiej Xylopod był sławnym królem, który urodziny się z drewnianą nogą został zasadzony w różanym ogrodzie, gdzie stał przez pierwsze dwadzieścia lat życia jako kombinacja palika ogrodowego i stracha na wróble. Człowiek mniejszego ducha mógłby się w tych okolicznościach załamać. Jednak nie Xylopod. Przy pomocy ćwiczeń izometrycznych, których sekret

wyjawił mu przechodzący tamtędy bóg o lekkich skłonnościach sady-
stycznych i upodobaniu do małych chłopców, rozwinął swą tężyznę
fizyczną tak, że nieba-wem przewyższał nią wszystkich prócz tych
nadmaturalnych herosów o posturze Heraklesa czy Schwarzeneggera.
Nie zaniedbał też swego intelektualnego rozwoju. Oczarowane jego
ujmującą powierzchownością i beztroskim usposobieniem każącym
mu bezmyślnie pogwi-zdywać nawet w najzimniejsze attyckie noce i
najbardziej deszczowe dni, polne zwierzęta uczyły go wszystkiego, co
trzeba, włączając w to ogrom wiedzy, którą Człowiek utracił od czasu,
gdy skończył się nasz Złoty Wiek.

I tak dalej.

To była przyjemna historia i pani Hammil (dla przyjaciół Pru)
nakłoniła swego małżo-nka, aby obdarzył ich potomka imieniem
wywodzącym się ze starogreckich wierzeń, a także maksymalnie
umożliwiającym oskubanie niesamowicie bogatego, lecz samolubnego
i zwario-wanego, dalekiego krewniaka.

Ostatecznie jednak tamten stary Xylopod poślubił tłustą
śpiewaczkę operową i wszy-stkie jego pieniądze uleciały z akordami
coraz wystawniej i gorzej wystawianych oper Wa-gnera z cyklu o
Nibelungach.

Rozumiecie teraz, dlaczego młody Xylopod przy pierwszej
nadarzającej się okazji zmienił swe imię na przezwisko, które sam
sobie wybrał.

Ten wybór pozwoli wam też ocenić, w jakim stopniu mieli rację
krytycy oceniający inteligencję Sopwitha.

Wszystko to odkrył O'Flaherty Gribble za pomocą obliczeń
numerologicznych. Kto po-wiedział, że klasyczne wykształcenie nie
ma znaczenia w czasach kodów kreskowych, auto-matycznych
systemów ściągania dłużników bibliotecznych i elektronicznego
transferu kapita-łów? W rzeczy samej, tą metodą posłużył się
dokonując swego ostatniego, wstrząsającego odkrycia - Pasiastej
Dziury.

Rozdział drugi

Dzięki niezwykleму zbiegowi okoliczności, w tej samej chwili - tylko 197 lat później - przerażająco brzydka kobieta imieniem Hsia Shan-yun była o krok od sfałszowania danych w głównym ośrodku informatycznym rejestrującym dane osobowe w Strefie Zachodniego Pacy-fiku.

Dokładnie w sekundę później Pluskwa-strażnik chwyciła ją w swoje łapy.

Jak z pewnością zauważyliście w czasie swojej wędrówki przez życie, niezależnie od tego, czy było ono długie czy krótkie, bogate czy skromne, normy fizycznego piękna są bar-dzo różne w zależności od miejsca i epoki. Zakładam więc, że aby wydać bezstronną opinię będziecie potrzebowali zwięzłego podsumowania najgorszych i najobrzydliwszych cech wy-glądu Shan-yun, tak jak je widzieli ludzie żyjący z nią w tym samym czasie i miejscu.

Była przerażająco wysoką Walkirią, mierzącą - od podeszew wibramów rozmiaru dzie-sięć do czubka dziko rozwichrzonej, czarnej grzywy - prawie dwa metry.

Spod orientalnych, skośnych brwi para nefrytowozielonych oczu spoglądała wściekle na świat, którym gardziła. Jej pełnym, dojrzałym wargom daleko było do miłego, subtelnego rysunku ust, tak cenionego przez wiodących projektantów mody z końca dwudziestego pierwszego wieku.

Nie powiem już nic o jej piersiach ani o nagłych, zwierzęco zwinnych ruchach muskula-rnego ciała, ani o tym, że jej nogi zdawały się sięgać nieba, a ręce wydawały się być stwo-rzone przez ewolucję do czegoś zupełnie innego niż tłuczenie w klawisze terminalu przez piętnaście godzin dziennie. Gdybym wyliczał dalej, osądzilibyście, że jestem paskudnym seksistą, czy to według naszych norm czy jej.

Uwierzcie mi. Z Hsia Shan-yun był kawał świni.

Jej zacofani rodzice, ostatni na świecie wyznawcy Naukowego Konfucjanizmu, ukryli ją w małej, ekranowanej butli podczas Fazy Rekonstrukcji, kiedy to inżynierowie genetyczni nadawali z geostacjonarnej orbity całkowicie modyfikujące ciało posłanie do gruczołów płciowych na całej planecie. W wyniku tego, to nieszczęsne stworzenie wyglądało jak ko-szmarne uosobienie atawistycznej regresji ku kształtowanej przez dietetyków epoce Zwierzę-cego Ekspresjonizmu czyli dwudziestemu wiekowi.

Oczywiście, Shan-yun rekompensowała sobie swój wyzywająco nieprzyzwoity wygląd przez totalną negację i marzycielstwo. We dnie i w nocy czytała zakazane książki (wszystkie książki w owym czasie były, rzecz jasna, zakazane, ale niektóre były bardziej zakazane niż inne i tymi właśnie karmiła swój zboczony umysł).

Książki, które wyszukiwała gdzie się tylko dało, dotyczyły dwudziestego wieku, tego bagna upadku i ekscesów ciała.

Najbardziej lubiła książki o joggingu.

W głębi pustych, miejskich kanałów odprowadzających ścieki, oświetlając sobie drogę jedynie poświatą swego nastawionego na wolne pasmo Komunikatora, łomotała podszwami robionych na zamówienie wibramów, aż jej nogi napęczniały od nieludzko potężnych mięśni.

Następnymi na liście jej ulubionych tytułów były książki o podnoszeniu ciężarów.

Z uniesieniem w sercu, wlepiając wzrok w dwuwymiarowe fotografie Bev Francis i Arnolda Schwarzeneggera robiła niezliczone przysiady i pompki, wyciskała i rwała, wykonywała ćwiczenia na mięśnie piersi, grzbietu i bicepsy. Jak dalece wpłynęło to na jej, i tak już atawistycznie zdeformowaną sylwetkę mogę tylko pozostawić waszej wyobraźni, ponieważ naprawdę nie chcę się nad nią znać.

W jaki sposób automatyczne Pluskwy dowiedziały się o zamiarach Shan-yun? Podjęła wszelkie środki ostrożności. Przez niemal piętnaście miesięcy opracowywała akcję aż do najdrobniejszych szczegółów. Każdy element operacji przemyślała z tuzin razy, począwszy od fazy wstępnej, którą było podjęcie pracy w Pacyficznym Centrum Danych, aż do ostatniego kroku - przemycenia skleconej domowym sposobem Pasiastej Dziury do terminalu.

W tym planie nie widziała żadnych luk, lecz oczywiście była w nim luka i to tak wielka, że mogła się przez nią przecisnąć Pluskwa.

Automatyczny glina przyturlał się do Shan-yun, gdy tylko weszła do Pęcherzykowego Banku Pamięci, do czego miała pełne prawo jako wyszkolona operatorka terminala.

Kącikami swoich skośnych, płonących, nefrytowych oczu widziała, jak się zbliżał, ale szła dalej.

Chociaż była już bardzo, bardzo dobrą biegaczką, ucieczka - jak się okazało - była nie-możliwa.

Kraniki na piersi Pluskwy rzygnęły chmurą pajęczych nici, które

opadły na nią jak kwaśny deszcz.

- O kurwa! - krzyknęła Hsia Shan-yun, po raz kolejny udowadniając, że jest zepsutym do szpiku kości, atawistycznym przeżytkiem.

Cieniutkie, swędzące niteczki spowiły ją od stóp do głów, zostawiając wolne jedynie uszy, oczy i nozdrza. Uzyskanie takiego efektu zajęło Państwowemu Laboratorium Substancji Lepkich dziesięć lat nieprzerwanych i intensywnych badań, ale Hsia Shan-yun nie uważała, by wynik wart był tego wysiłku. Zasycała wściekle. Splunęła. Niewiele więcej mogła zrobić, ponieważ strzępki złączyły swoje cienkie łapki i zacisnęły się, zamykając jej ciało w szczelnym, plastikowym kokonie. Wokół nadmiernie rozwiniętego torsu i piersi Shan-yun pozostało nieco miejsca, tak że mogła oddychać, chociaż nie bez trudu.

Runęła jak długa.

Zanim posąg, w jaki się zmieniła, zdążył upaść na posadzkę i roztrzaskać się na kałki, Pluskwa-strażnik błyskawicznie wysunęła metalowe macki i przytuliła go delikatnie do swego twardego korpusu.

- Obywatelko Hsia - rzekł melodyjnie automat -: z przykrością jestem zmuszony zatrzymać panią, dla pani własnego dobra i dobra Republiki.

- Mmmnbn - wyjaśniła Shan-yun. - Gmmngb.

- Przykro mi z powodu chwilowego ograniczenia pani wolności wypowiedzi - powie-dział z namaszczeniem blaszany glina - ale proszę pozwolić mi zauważyć, że gdy tylko przybędziemy do Szóstego Punktu Medycznego, możliwość wyrażania własnych uczuć zostanie pani całkowicie przywrócona. I to jak - dorzucił chichocząc cicho i obrócił się w miejscu, pospiesznie opuszczając Bank Pamięci.

- Zamierzamy oskarżyć panią o spisek przeciwko Państwu - dodał, aby pogłębić ją ostatecznie. - Zaraz po tym podejmiemy odpowiednie kroki resocjalizacyjne. O rany, tak!

Czy ten niepożądany, mechaniczny szyderca robił wrażenie na zatrzymanych przestępcach?

A jak myślicie?

Shan-yun była nieco wytrącona z równowagi.

Nie, to niezupełnie oddaje jej uczucia. Była poważnie zaniepokojona o swoją przyszłość.

Właściwie była absolutnie przerażona.

Mówiąc prosto z mostu, niemal zesrała się ze strachu.

Pluskwa-strażnik przetoczyła się żwawo przez przedsionek Centrali Danych, przyciska-jąc do siebie usztywniony tors dziewczyny jak wielkie, niezdarnie zawinięte w bety dziecko, choć ten sposób noszenia dzieci dawno wyszedł już z mody.

Kiedy jej głowa była odwrócona pod odpowiednim kątem, Shan-yun bez trudu mogła dostrzec pospiesznie umykających z drogi ludzi. Szef operatorów, powracający właśnie z lu-nchu składającego się z wyhodowanego na torfie szczypiorku i jogurtowych parówek, poblądł i odwrócił się bez słowa.

- Przyjaciel, psiakrew! - próbowała wykrzyknąć ze złością, lecz udało jej się jedynie wydać z siebie kolejną serię zduszonych, niewyraźnych dźwięków.

Znalazłszy się na zewnątrz budynku maszyna zjechała pochylnią ku przejściu, nad którym widniał napis "TYLKO DLA PERSONELU MEDYCZNEGO".

Za 197 lat ten napis będzie mroził krew w żyłach. No, jeśli mam być brutalnie szczery, to teraz też mrozi.

Strażnik zmienił się niezwłocznie w moduł szybkiego transportu, zapobiegliwie osłania-jąc Shan tarczą, by wiatr nie wiał jej w oczy.

Ostre, fioletowe światła tunelu migały z oszałamiającą prędkością. Żołądek Shan-yun próbował pozostać w tyle, ale kręgosłup na to nie pozwolił. Pół minuty później tym samym zrewanżował się żołądek kręgosłupowi.

- Mam nadzieję, że nadal jest pani w jednym kawałku, moja droga - powiedziała maszy-na wprost do ucha Shan, w którym wciąż jeszcze jej szumiało. - Jesteśmy na miejscu. Życzę miłego dnia.

Robot zawinął do aseptycznie białej przystani izby chorych. Nawet za 197 lat rozpozna-cie izbę chorych, jak tylko w niej się znajdziecie. Panuje tam atmosfera tak niepokalanej czy-stości i słuszności, że chce się rzygać.

Z windy wyszły dwie mały odziane w wykrochmalone, niebieskie fartuchy. Zdrowie psychiczne i przystosowanie społeczne tryskały z nich wszystkimi porami skóry.

- Obywatelko Hsia! - zakrzyknęła ta z prawej. - Witamy w Szóstym Punkcie Medy-cznym.

Jej zachowanie stanowiło mieszaninę zawodowej życzliwości i

stoicyzmu wobec niego-dziwości społecznych dewiantów, którzy ukrywają Pasiaste Dziury w śmierdzących częściach ciała.

- Delikatnie umieść obywatelkę na leżance i wracaj na swój posterunek - powiedziała ta z lewej.

Nadal szczelnie zamknięta w swym plastikowym kokonie Shan-yun została ostrożnie umieszczona na dopasowującym się do jej kształtów łóżku. Bez słowa pożegnania, Pluskwa odturlała się tam, skąd przyszła.

Nieprawdopodobnie brzydka kobieta popatrzyła na medyków i próbowała wycisnąć z siebie Dziurę. Nic z tego. Palce Shan nie chciały się zgiąć. Mięśnie brzucha kurczyły się, lecz nie były w stanie jej poruszyć. Dziura bezcelowo wirowała w jej ciele, pozostając całkowicie poza kontrolą.

- No cóż, pani Hsia - odezwał się pierwszy małpison - naprawdę narobiła pani sobie masę kłopotów.

- Taa. To szczerą prawdą. Miejmy nadzieję, że dla pani dobra uda nam się wyprostować pani psyche bez konieczności zredukowania do poziomu rośliny - dodał drugi.

Pod plastikową skórą na czoło Shan wystąpił zimny pot, bardzo podobny do wilgoci skraplającej się wewnątrz foliowego woreczka z chlebem. Było to poniżające i przygnębiające uczucie.

- Pranie mózgu - rzekła w zadumie jedna z małp. - Jeśli coś jest do niczego, trzeba się tego pozbyć.

- A jednak to tragedia, Frank. To najwidoczniej bardzo zdolna osoba. Ilu z nas potrafiłoby spleść Pasiastą Dziurę, nie dając się przyłapać już w fazie poziomych potrąceń? To wrodzone zdolności, Frank, co by nie powiedzieć. Talent.

- Jednak nie wolno nam zapomnieć, że nadużywała swoich umiejętności na szkodę Państwa.

- Nigdy nie popełniłbym takiego błędu, Frank, ale wygląda na to, że ta obywatelka coś takiego zrobiła.

Z powagą i pogardą spojrział w oczy Shan-yun. Szklily się łzami wściekłości i przerażenia. W rzeczy samej, oczy Shan próbowały wyskoczyć z jej głowy i wyrwać pochylonemu nad nią małpisonowi jego świętoszkowaty język, jednak jako organy źle przystosowane przez ewolucję do tej funkcji musiały poprzestać na nabiegłym krwią wytrzeszczu.

- Powinna pani rozpoznać swoją chorobę - rzekł Frank. - Należało

śmiało, na ochotnika zgłosić się na leczenie.

Włókna kokonu naprężyły się i małpolud z ubolewaniem pokiwał głową.

- Proszę się odprężyć, pani Hsia. Gniew jest szkodliwym i antyspołecznym uczuciem. Istnieją pewne podstawy do twierdzenia, iż wszystkie uczucia są szkodliwe i antyspołeczne, ale ja nie podzielam tego punktu widzenia. Żyj i daj żyć - oto moja dewiza.

Pulpit rozbrzysnął kolorowymi światełkami wskaźników i zadzwonił melodyjnie. Shan pieniała się z wściekłości.

- Już za chwilę wyślemy panią do Analityka, pani Hsia, i muszę panią przestrzec, że żywienie urazy nie będzie dobrze wyglądało w zapisie historii choroby.

Z kokonu wydobył się szereg gwałtownych, stłumionych dźwięków. Winda zadzwoniła melodyjnie.

- No, już jest. Nie ma powodów do obaw, pani Hsia. Naprawdę. Zostanie pani poddana analizie i osądzona, jak tylko technicy usuną kokon i uwolnią panią od Pasiastej Dziury, którą sobie pani wsadziła.

Małpa numer dwa energicznie pokiwała głową i z aerozolowym pojemnikiem w łapie pochyliła się nad Shan-yun.

- Słusznie. Proszę pamiętać - naszym zadaniem jest wyleczyć panią.

Prysnął jej sprayem w nozdrza. Pokój zakołysał się i łupnął ją w głowę.

Zachowała jeszcze resztki świadomości, gdy małpy wepchnęły łóżko i jej pozbawione czucia ciało do windy.

- Prawdę mówiąc, Ted - usłyszała jeszcze głos Franka, zanim mrok rozdarł jej umysł na śmieszne, drobne strzępki - kiedy patrzę na tych zboczeńców, to ciarki przechodzą mi po plecach.

Rozdział trzeci

Kluchowata twarz ministra, która ukazała się na ekranie umieszczonym w rogu pulpitu Sopwitha była biała jak puder i skropiona oleistymi kropelkami.

Sopwith ponownie przeniósł wzrok na autentyk, siedzący w studio po przeciwnej stronie jego biurka. Upiornie rozbiegane oczka tamtego pospiesznie umknęły w bok. Kamera numer dwa podjechała bliżej. W monitorze to zbliżenie z dwójki zmieniło gościa w odrętwiałą ze zgrozy ofiarę.

Ciało Sopwitha przenikał dreszcz zwierzęcego podniecenia znany wszystkim myślącym. Auditorium dzieliła to uczucie. Obrzucił ich szybkim spojrzeniem. Spięci i uradowani, siedzieli na niewygodnych, winylowych, wzmocnionych metalowymi rurkami krzesłach, czekając aż dobieje ofiarę.

Za czasów Imperium Rzymskiego wskazując kciukami piach, rykiem domagaliby się krwi.

Wszystkie płochy myśli pozostawione przez O'Flaherty Gribble'a oraz jego gry i zabawy towarzyskie ulotniły się tak całkowicie jak strumień szczyń w radioaktywnym sercu reaktora i Sopwith zamierzał teraz sprawić, aby do słuchaczy dotarło, że właśnie za coś takiego uważa ich minister, i że właśnie czymś takim się staną w dniu, gdy minister przeforsuje swoją Ustawę Uranową.

Cholerni politycy - pomyślał ze wzdrganiem Sopwith. Nigdy niczego się nie nauczy, z wyjątkiem tych, którzy zasięgają porady u specjalistów od mass mediów... ale nawet wtedy odrzucają co drugi ich pomysł.

Ten tu idiota nie zgodził się, by przed wywiadem przypudrowano mu twarz i podkreślono rysy szminką. To niemięskie, powiedział, skinieniem ręki odsyłając charakteryzatorkę. Teraz za to płacił.

Nad kamerą numer dwa zapaliła się czerwona lampka i sufler Mariette wrzucił w pole widzenia Sopwitha mały stosik wybuchowych informacji. Na monitorze twarz Sopwitha zastąpiła oblicze ministra. Sopwith dramatycznie zacisnął szczęki.

- Uściślijmy, panie ministrze. Rozmawiamy o wielonarodowej korporacji, której reaktor stopił się w zeszłym tygodniu w Pakistanie.

Harcourt, rzecznik prasowy korporacji, próbował zbić z tropu Sopwitha wtrącając swoje trzy grosze. Nie miał szans.

- To ta sama firma, która rok temu zrobiła trustowi pańskiej żony prezent z pięciu tysięcy akcji - Sopwith zadał morderczy cios.

Siedzący w swym przeszklonym orlim gnieździe reżyser programu doskonale wiedział, co za chwilę nastąpi i skinął na realizatora dźwięku, którego palce przebiegły po licznych

przełącznikach konsoli z szybkością, jakiej nie powstydziliby się pianista-wirtuoz. Mikrofon Harcourta został odcięty, zaś Sopwith podniósł głos mówiąc surowym, inkwizytorskim to-nem. Nieśmiałe protesty rzecznika docierające za pośrednictwem innych mikrofonów brzmia-ły jak ciche mamrotanie.

- Prezent, panie ministrze - powiedział Sopwith nieco łagodniejszym tonem - uczyniony dokładnie sześć miesięcy przed tak.. zastanawiającą... zmianą pańskiego stanowiska w spra-wie ochrony świętych miejsc Aborygenów.

Kamera numer dwa pozostała wymierzona w zaskoczonego polityka, zbliżając się jak szklanooki Cyklop, by zajrzeć mu w nozdrza, sprawdzić efekty wysiłków jego dentysty i poli-czyć drobiny łupieżu w krzaczastym gąszczu nieco przeredzonych, ale niewątpliwie arysto-kratycznych brwi.

Ministra ogarnęła fala niepohamowanej wściekłości.

Ludzka cierpliwość ma swoje granice, nawet jeśli czyjaś kariera zależy od zachowania wyniosłej obojętności wobec bezpodstawnych bredni takiego plebejskiego śmiecia jak Sop-with Hammil.

Gdyby kamera numer dwa mogła wślizgnąć się do ucha ministra i odnaleźć w jego mózgu Centrum Myślowe, znalazłaby je w stanie chwilowego opuszczenia. Zimne, porywiste wiatry wiały przez jego otwarte drzwi. Na długim, politurowanym stole stygła herbata i ciastka, a na ślicznych, małych koronkowych serwetkach było pełno okruchów. Lniane serwetki wały się na podłodze. Krzesła były niedbale poodsuwane od stołu, a karafka whisky nie została zamknięta.

Minister wziął sobie wolny dzień.

Wszystkie neurohormony w obu półkulach mózgowych zaczęły mu się pieniść i wrzeć, a jego oczy nabiegły krwią i zaczęły gwałtownie zmieniać kolor, podobnie jak to dzieje się z chemikaliami podgrzewanymi w brudnej próbówce na palniku Bunsena.

Z głębi przewodu pokarmowego wydobył mu się przeciągły, gulgoczący dźwięk, podła-pując po drodze paskudny zapach świadczący o niestrawności i wylatując z jego ust rykiem pełnym niekontrolowanej furii.

- Nie pozwolę na takie insynuacje, ty parszywy szcurku rynsztokowy!

Nie będzie chyba pochopnym przypuszczenie, że minister utracił

sporo swego niena-gannego zazwyczaj opanowania.

- Nie będę ofiarą polowania na czarownice!

Uniósł się nieco w fotelu i prawie walnął czołem w ciężki reflektor świecący mu wprost w wykrzywioną furią twarz.

- Na Boga, w innych krajach za mniejsze numery odbierano stacjom telewizyjnym lice-ncje! Naprawdę myślisz, że możesz...

Z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu Sopwith pozwolił, by obraz pozostał na moni-torze o jedną, zabójczą chwilę dłużej niż pozwalało na to ludzkie poczucie przyzwoitości.

W końcu podniósł rękę i wskazującym palcem podrapał się w ucho.

Reżyser programu zrozumiał sygnał i włączył Harcourta. Mikrofon rzecznika ożył w połowie wypowiedzanego przezeń zdania. Sopwith nie dał mu żadnej szansy wyjaśnienia, że to, co mówił o akcjach uranu jest tylko połową prawdy. Zegar wskazywał, że do końca programu pozostało dwadzieścia sekund. Jak zwykle, precyzyjnie odmierzył czas odpalenia ładunku.

Sądzę, że pomyślicie, iż takie doprowadzanie ludzi do tego, by publicznie ściągali spodnie jest łatwe.

Uwierzcie mi, nie jest. Uważacie, że to łatwe ponieważ przywykliście do oglądania wcześniej nagranych programów. „Sześćdziesiąt minut” oraz wszystkie te wielkie, drapieżne reportaże spokojnie czekają całymi tygodniami w swych metalowych pudełkach, zanim znajdą się na antenie, uprzednio wygładzone, zmontowane, z podłożonym podkładem muzycznym i przekonsultowane z prawnikami.

Sopwith robił to na zimno i robił z tego gorący towar, a ponieważ program szedł na żywo nikt nie mógł cofnąć tego, co poszło w eter.

Zakończenie audycji było majstersztykiem samym w sobie.

Gdy z ekranów płynęły nagrane na taśmę oklaski, muzyka i lista płac, reżyser planu - wytrawny mistrz dyplomacji - poprowadził słaniającego się na nogach i wykrzykującego coś ministra w kierunku wodopoju. Rzecznik prasowy zamierzał pozostać, potem zmienił zdanie i szybko pobiegł za nim.

Sopwith przeciągnął się. Pod pachami miał mokro od ciężko zapracowanego potu, którego woń mieszała się ze słodkawym zapachem drogiego dezodorantu i wody kolońskiej. Rozejrzał się wokół. Widzowie hałaśliwie opuszczali studio. Nigdzie nie było

widać O'Flaherty Gribble'a. Musiał wyjść wcześniej, odmówiwszy drinka. No tak, stuknięty nie pije.

Kiwnawszy głową szczerzącemu zęby personelowi, Sopwith poszedł prosto do swojego biura.

Ten program był bardziej napastliwy niż zwykle. Nie owijając w bawełnę - był po pro-stu *ohydny*.

Mając wolną rękę, Sopwith umiał niemal obedrzeć ofiarę ze skóry, a potem wskrzesić ją i szczerząc zęby jak gwiazdor, którego sama obecność czyni wszystkich wokół również gwia-zdami, wymienić z nią uścisk dłoni po zręcznym rozładowaniu napięcia, przywrócić facetowi pewność siebie i w jakiś tajemniczy sposób, wbrew zdrowemu rozsądkowi wywołać wraże-nie, że wyświadcza mu przysługę. Przy tym wszystkim jego ofiara nie zdawała sobie sprawy, że została kupiona przez drania, który zaledwie kilka minut wcześniej przypiekał jej dupę.

No cóż, nie zawsze można być słodkim koteczkiem - powiedział sobie Sopwith, otwie-rając drzwi swego biura.

Od czasu do czasu trzeba pójść na całość.

Umocnić swoją reputację strażnika spraw publicznych. Sopwith Hammil, postrach możnych, ulubieniec ludu. Krzyżowiec, *bon vivant*, człowiek widywany we właściwych miej-scach, ale bywający tam wyłącznie z własnego wyboru.

Sopwithowi kręciło się w głowie na myśl o tym, jak jest wspaniały.

- Sopwith, byłeś wspaniały!

Gwałtownie poderwał głowę słysząc entuzjastyczny głos Mariette Planck i z niemałym wysiłkiem zdołał uśmiechnąć się do przypominającej gnoma młodej kobiety.

Właściwie wcale nie była podobna do gnoma. Mariette była po prostu bardzo, ale to bardzo nieatrakcyjna. Według norm Sopwitha, ukształtowanych przez buzujący adrenaliną, karmiony kotletami dwudziesty wiek, była nieatrakcyjna w dokładnie taki sam sposób, jak Hsia Shan-yun byłaby atrakcyjna.

Gdyby Sopwith Hammil choć raz ujrzał Hsia Shan-yun, będącą najbrzydszą kobietą stulecia, w którym się narodziła, padłby na ziemię powalony atakiem żądz i rozpaczy.

Nawet ostro idące w górę gwiazdy mass mediów z Melbourne w Australii nie marzą o zdobyciu takich dziewcząt jak Hsia Shan-yun,

mimo iż zbliża się koniec dwudziestego wieku.

Biankę Turner - no, powiedzmy, przy dużej dozie szczęścia. Tinę Jagger - zakładając, że jesteś w najlepszej formie. Madonnę? Kto chce.

Hsia Shan-yun, według wzorców zaczerpniętych z filmów i telewizji, u schyłku dwu-dziesiątego wieku byłaby bezkrytycznie wielbioną boginią (o ile nie przeszkodziłaby jej w tym jej szatańska inteligencja i zadziwiająca niezależność). Hsia Shan-yun bezsprzecznie nie była dla takich jak Sopwith Hammil.

Zaś Mariette Planck, patrzyła na szefa z pełnym czci uwielbieniem, dokładnie takim, jakiego oczekuje właściciel krótkowłosego wyżła niemieckiego, zresztą nadaremnie, bo te przerośnięte, piękne, długouche, durne bydłeta całą uwagę skupiają na wygryzaniu dziur w pluszowych kanapach i ukrywaniu w nich puszek po żarciu dla psów.

Jak już stwierdziliśmy, Sopwith Hammil był dzieckiem, swoich czasów. Istotnie, był dzieckiem, nawet pomijając czasy. Był karierowiczem i bezwstydnym męskim szowinistą.

Potrafił dość dobrze skrywać tę paskudną wadę charakteru, kiedy okoliczności zmuszały go do gawędzenia z koleżankami-spikerkami, astronautkami i kulturystkami takimi jak Bev Francis (Melbourne, Australia), ale w głębi serca (które w kategorii serc zaliczało się do nie-dojrzałych, paskudnych szczeniaków) uważał, że kobiety nadają się jedynie do trzech rzeczy, wszystkich znajdujących się w niemieckim słowniku pod literą K.

Jednakże nie był zwolennikiem małżeństwa.

Ustawa o przerywaniu ciąży i pigułka uchroniły Sopwitha przed losem niezliczonych pokoleń linoskoczków, kuglarzy, aktorów scenicznych, komików filmowych i całej reszty tego bractwa, którego członków doprowadzano do ołtarza pod lufami dubeltówek w wyniku ich własnego, nieoczekiwane owocującego szaleństwa.

Dwadzieścia, piętnaście lat wcześniej, obowiązkiem gwiazdora filmowego lub telewizyjnego, którego akcje zwykowały, było małżeństwo, chyba że był on Anglikiem i ostro pchał się w górę (a jak każdy wie, istnieją poważne powody związane z dziedzicznością, dla których należy się cieszyć, że te typki powstrzymują się od włączenia swoich genów w obieg).

Za dwadzieścia lub piętnaście lat każdy telewizyjny guru i każda

osoba publiczna bez-względnie będzie musiała być żonata, zgodnie z wytycznymi Zjednoczonego Gremium Organizacji Przeciwników Zachodniej Zgnilizny oraz Naukowej Krucjaty w Obronie Życia Poczętego, ponieważ ajatollahowie, mułlowie i pastorzy z Ruchu Prawo do Życia będą codziennie rano przyłazili sprawdzać waszą pościel, a jeśli znajdą na niej choćby małą plamkę, a wy nie wstąpiliście jeszcze w związek małżeński, chociażby w wiejskim meczecie, zawloką was na środek rynku i wydadzą na powszechną wzdarcę, po czym amputują wam i spalą występłą część ciała. Kobiety w podobnych okolicznościach (rzecz sama w sobie mało prawdopodobna, zważywszy jak niewiele z nich będzie mogło zostać w takich czasach telewizyjnymi guru) będą po prostu kamienowane na śmierć i kropka.

Nie powinienem wam tego mówić. Nie jest dobrze wiedzieć, jaka będzie przyszłość. To osłabia wolę, nie sądzicie?

Wracamy do naszej opowieści w następującym jej punkcie:

Właśnie w tej chwili Sopwith na swój świński sposób uważa, że ma wszelkie powody, by pozostać kawalerem.

Jeżeli nie da się złapać i pozostanie kawalerem, będzie mógł do woli cieszyć się zakazanymi owocami tego stanu, co też dotychczas robił przy każdej nadarzającej się okazji, które - ze względu na jego głos i wygląd - mimo wysiłków Ruchu Wyzwolenia Kobiet ustawicznie mu się trafiały.

Sopwith nie zadowalał się zwykłym spożyciem tych owoców.

Przeżuwał mięsz, potem spożywał skórę, a następnie dobierał się do jądra i połykał wszystko - ale wypluwał pestki.

Nigdy nie wypluł pestek Marietty Planck, ponieważ według bezwstydných seksistowskich norm Sopwitha Mariette Planck była samą pestką.

Te jej pęciny! Mogłyby podtrzymywać solidny budynek banku, choć jej nogi nie uniosłyby go dostatecznie wysoko by zadowolić inspektorów budowlanych z Rady Miejskiej.

A jej twarz! Jak przerośnięta dynia.

Mętne, zezowate oczka.

Włosy, podwędzone z obicia jakiejś starej kanapy, wecowanej przez pięćdziesiąt lat rozepchanymi przez spaghetti poślądkami całej włoskiej rodziny i w końcu wyrzuconej na deszcz, bo rodzinka nabyła śliczny, nowy narożnik rzeźbiony w aniołki, patery pełne wino-gron,

Marię Dziewicę i Świętą Weronikę dzierzającą swą zakrwawioną chustę oraz kariatydy ze sterczącymi cyckami - prosto ze sklepu Franco Cozzo, króla mebli, mającego składy w Footersgray i Brunerzwick. Zdaję sobie sprawę z tego, że nic wam to nie mówi, chyba że mieszkacie w Melbourne (Australia) i oglądacie wiele nocnych programów telewizyjnych, ale żyjmy i dajmy żyć, zgoda? Niektórzy z nas nigdy nie mogą zrozumieć tych wszystkich odnośników do Macy'ego lub Marksa i Spencera, ale was to nigdy nie powstrzymuje, pra-wda? Nie spędza wam to snu z powiek, no nie?

Ta pierś dziewiczej ciotki - starej panny! Te przygarbione plecy! Zęby jak pieńki! Tyłek wielkości podjazdu pod dom. Przytrzymując się tłustego tyłka Mariette Planck mogli-byście się uchronić przed pójściem na dno razem z Titanikiem i utrzymać przez tydzień w lodowatej, smaganej szkwałami, słonej wodzie.

Widzicie sami, że Sopwith oceniał wartość swojej asystentki według ciasnych, bigote-ryjnych kryteriów. Mariette w swym jednocześnie kostiumie nigdy nie zdobyłaby tytułu Miss Mleczarzy, choć miała odpowiednią twarz.

Dlaczego więc trzymał ją przy sobie? Ponieważ Sopwith, chociaż nie był geniuszem, nie był również idiotą.

Mariette Planck była jego tajną bronią.

Gdyby zobaczono ich razem, na pewno byłby zakłopotany. Inni prezenterzy telewizyjni przemykają przez życie otoczeni słodką, zwiewną chmurką długonogich seks-kociaków mają-cych dyplomy z bibliotekoznawstwa, lecz nie mogą się równać z Sopwithem, ponieważ Sop-with posiada bezcenny klejnot.

Dopóki Mariette pozostawała niewyczerpanym źródłem zdumiewających, błyskotliwie przygotowanych koncepcji programowych, dopóty był na nią skazany.

- Dzięki, dziecino - rzekł niechętnie. Potrzebował jej, to prawda, ale wcale nie musiało mu się to podobać. Zerknął na leżące na biurku notatki i sięgnął po płaszcz. - Ten kawałek o akcjach załatwił sprawę.

Krasnolud uśmiechnął się do niego, wzruszająco uradowany.

- To wszystko nie na wiele by się zdało, gdybyś nie wystrzelił z tym w tak cudownie bezbłędnym momencie, pod koniec programu.

Tak też było, więc przyjął to skromnym wzruszeniem ramion. Niestety, ta odrobina uwagi, jaką ją obdarzył, dodała jej skrzydeł. Podskoczywszy, z głuchym pomrukiem wydzwi-gnęła się na brzeg

jego biurka (poufałość, której nie cierpiał) i zmierzyła go mętными oczka-mi.

- A jednak, chyba byłeś odrobinę nieuprzejmy. On może zaskarżyć stację, wiesz?

- Nie ma mowy.

Sopwith położył rękę na klamce i przez chwilę pozwolił jej tam zostać, myśląc o tym, co powiedział przed kamerami. Robił to, co było w scenariuszu Mariette, no nie? o czym ona, do cholery, mówi?

- Chryste. Naprawdę myślisz, że będzie się sądził?

- Sopwith, nie miałam zamiaru cię straszyć. Oczywiście, jutro lub pojutrze będziemy musieli się z tego wycofać, ale wyjedziesz z tym tuż przed jakąś łzawą historyjką i nazwiesz to sprostowaniem.

- Racja - stęknął z ulgą. - Niech drań przez kilka dni smaży się we własnym sosie.

Mariette poważnie skinęła głową.

- Ta świnią zasługuje na to. Szkoda, że nic możemy wsadzić go w prawdziwe gówno, jakie odkryłam grzebiąc w jego życiorysie.

Sopwith ponownie się zaniepokoił.

- Hej, dziecino, tylko nie wpakuj mnie do więzienia. Aż tak bardzo nie zależy mi na popularności.

- Osiągniesz to - powiedziała mu, wyciągając rękę i dotykając jego rękawa. Odsunął się. - Za rok nie będzie niczego, czego nie mógłbyś powiedzieć publicznie.

To brzmiało dla jego uszu jak fanfary. Wielkodusznie przewyciężył odrazę i wyciąg-nawszy rękę, poklepał dłoń dziewczyny.

- Racja. Racja. Hammil Krzyżowiec.

Z zamglonym wzrokiem obrócił się do drzwi.

- Zobaczymy się jutro, mała.

Mariette mocno zacisnęła swoje małe, szczurze pazurki.

- Wiesz co, Sopwith? Może znalazłbyś dziesięć minut, żeby wziąć swoją sprytną asyste-ntkę na drinka?

Stanął w uchylonych drzwiach, próbując powstrzymać oblewający go na myśl o tym zimny pot.

- Na Boga, przykro mi, Mar. Bardzo chciałbym, ale jestem wykończony. Miałem ciężki tydzień. Może w przyszły piątek, razem z chłopakami.

- Cudownie - powiedziała, znów odwracając wzrok. Na rogu

biurka odnalazła zaklejoną kopertę i podała mu ją. - Masz, prawie zapomniałeś - to twoje bilety na przedstawienie nowej sztuki Williamsona, na dziś wieczór.

- Chryste, masz rację.

Umówił się już z Cynthią Belvue-Bennet, że zabierze ją na Linde Ronstadt w klubie Starlight i te cholerne bilety kosztowały go majątek. Na występy Lindy Ronstadt nie przysyłają wejściówek. To jest dopiero szpan! Williamson może poczekać.

- Słuchaj - powiedział wylewnie - weź je sobie i wykorzystaj, zabierz przyjaciółkę lub kogoś innego. Ja muszę się dzisiaj położyć. Cześć, dziecino.

Zostawił ją osowiałą, zabierającą się do porządkowania biura i ruszył do swojego ślicznego porscha, czekającego nań na podziemnym parkingu, w sektorze oznaczonym jego nazwiskiem i numerem rejestracyjnym samochodu.

Sopwithowi Hammilowi z pewnością nie przyszło do głowy, że przeznaczone mu było spotkać ogromną pajdę razowego chleba i maszynę czasu z czterdziestego siódmego wieku.

Zresztą nawet gdyby wiedział, nic by mu z tego nie przyszło. Przyszłość jest jedyną rzeczą, jakiej nie da się uniknąć za pomocą modłów.

Rozdział czwarty

Hsia Shan-yun ocknęła się w wilgotnej, śmierdzącej, niemal zupełnie pozbawionej światła celi, w której - osądziła ze zgrozą - prawdopodobnie gnieździły się szczury.

To, oczywiście, było niemożliwe.

Przyszłość tak nie wygląda. Wy o tym wiecie i ja też to wiem.

Ludzie żyjący w przyszłości wiedzą lepiej niż my.

Rany, jeśli cokolwiek zostało kiedykolwiek ustalone ponad wszelką wątpliwość to fakt, że przyszłość jest czysta.

Wysterylizowana.

Każdy układa tam buty równo pod łóżkiem, zanim pójdzie spać,

co czyni najpóźniej o 22.15.

Przyszłość nie jest bananową republiką. Istotnie, przez kilkanaście najbliższych lat czekać nas drobne kłopoty, z tymi ajatollahami, pastorami i tak dalej, ale nic nie jest doskonałe, nawet utopia.

Tam po prostu nie ma zaszczurzonych cel, zardzewiałych łańcuchów i czarnych śladów na kamiennych ścianach podejrzanie przypominających zaschniętą krew (nie zawsze zaschniętą). Związki zawodowe, rząd i instytucje społeczne nie dopuszczają do tego. Przyszłość to ostatni bastion schludności.

Hsia Shan-yun wiedziała o tym równie dobrze jak my i właśnie dlatego siedziała dygo-cząc, przyciskając dłonie do ust i wbijając równe, białe zęby w skórę knykci.

Po krótkiej chwili przestała, usiadła prosto na drewnianej ławie i wydała stłumiony okrzyk.

Wbiła sobie bowiem drzazgę w goły tyłek.

Potrząsnęła głową, usiłując odzyskać jasność myśli. Przez małe, zakratowane i ubłocone okienko, znajdujące się wysoko na przeciwległej ścianie celi, wpadała wątła smuga światła. Lśniła w strudze autentycznej wilgoci sączącej się po grubo ciosanych i na oko twardych jak żelazo głazach, z jakich zbudowano mur, najwidoczniej rękami skazańców.

- Absurd - wymamrotała Hsia Shan-yun.

Drząc tak samo jak wy drzelibyście, gdybyście - spędziwszy całe życie w budynkach z centralnym ogrzewaniem - znaleźli się nadzy w celi nawiedzanej paskudnymi przeciągami, postawiła drobne nóżki na ziemi.

To był jej następny błąd i natychmiast gwałtownie tego pożałowała. W tej celi nie tylko ściany były wilgotne. Podłoga była jeszcze wilgotniejsza.

Shan-yun pospiesznie podwinęła ubłocone stopy pod pośladki i mocno objęła się ramionami usiłując opanować dreszcze.

Trzeba przyznać, że w obejmowaniu się miała sporą wprawę. W tym nadzwyczaj głu-pim świecie, 197 lat po Sopwithu Hammilu, nikt inny jej nie obejmował - więc musiała sama opanować tę sztukę. Nikt nie ścisła brzydali, jeśli może tego uniknąć, a ludzie przyszłości są lepsi nawet od nas w unikaniu tego, co może być miłe dla drugich, ale nam nie przynosi wie-łkiego profitu.

- Oślizgła podłoga - mamrotała Hsia Shan-yun z niedowierzaniem. - Zakratowane okna.

To, czego doświadczała zostało opisane przez psychologa społecznego, Leona Festinge-ra jako dysonans poznawczy. Zaistniał rozdźwięk między tym, w co wierzyła, a tym, czego doświadczała.

Mimo wszystko, jest oczywistym, że Hsia Shan-yun uważała istniejący ład społeczny za tak całkowicie i nieodwracalnie przegniły, że osiągnęła pożałowania godny stan ducha, który kazał jej posunąć się aż do próby naprawienia go przez wysadzenie w powietrze głównego banku danych za pomocą ukrytej w swym własnym ciele Pasiastej Dziury.

Tak naprawdę, to podjęcie tej rozpaczliwej próby uzdrowienia sytuacji ułatwił jej fakt, że była kompletnie pozbawiona poczucia własnej wartości. Jeśli ludzie często przytulają cię, kiedy jest ci smutno - albo dlatego, że cię lubią, czy też dla samej frajdy - zaczynasz przy-zwyczajać się do myśli, iż twoje ciało jest cenne i wymaga opieki. Rozwalenie go na kawałki w imię jakichś politycznych racji jest ostatnią rzeczą, jaka przyszlaby ci do głowy.

(Czy to prawda? Czyż członków grupy Baader-Meinhof nie łączyły mocne więzi? A może mam na myśli tych ciemnoskórych ludzi w beretach, którzy zaadoptowali Patty Hearst? Może któryś czytelnik zechce przeprowadzić wnikliwe dochodzenie i przedłożyć wyniki w postaci krótkiego wypracowania, na zaliczenie. Przyślijcie mi kopię. Nienawidzę się mylić.)

A jednak nawet w swoich najgwałtowniejszych oskarżeniach wysuwanych przeciwko Państwu, w najdzikszych anarchistycznych wizjach, Hsia Shan-yun nie wyobrażała sobie, że Oni mogą posunąć się aż do takiego barbarzyństwa.

- Paskudni krzywdziciele! - wrzasnęła nagle ile sił w płucach, podrywając się z ławy i skacząc w mokrą glaję pokrywającą posadzkę. Bezcelowo załomotała pięściami w niewzru-szone, kamienne mury. - Wypuście mnie stąd!

Temu wybuchowi odpowiedział równie przeraźliwy wrzask za jej plecami.

Obróciła się błyskawicznie, usiłując dojrzeć coś w zalegających ciemnościach. Za swoją ławą dostrzegła inną, zawieszoną pod ścianą na grubych, zardzewiałych łańcuchach.

Teraz już widziała niewyraźną postać, także skuloną, nagą i

panicznie przerażoną.

- Zostawcie mnie w spokoju, wy bestie, albo wydrapię wam oczy!
- krzyczał głos, drżący nieco ze strachu. Nagle załamał się i przeszedł w okropny szloch. - Róbcie ze mną co chcecie, tylko zostawcie w spokoju mój umysł, wy parszywce!

Shan-yun była zaskoczona i zaszokowana. Niewyraźna postać okazała się dojrzałym mężczyzną i to bardzo podnieconym!

Dwoma sprężystymi skokami przekroczyła cełę, nie zważając na odrażającą maź chlu-począcą pod nogami, kępy pleśni i wywołujące dreszcz obrzydzenia odpadki oraz inne świń-stwa walające się na podłodze.

- Hej, uspokój się - powiedziała szybko. - Ja też jestem więźniem, kochasiu. Opanuj się.

- Odejdź - pisnął samiec, zginając palce jak szpony. Widziała, że był to piękny okaz. Musieli od tygodni pompować w niego testosteron.

- Przestań głądzić, chłopie - powiedziała uspokajająco, próbując podejść go jak doświa-dczona bibliotekarka rozwścieczonego czytelnika zalegającego ze zwrotem książki. Prze-szedłszy po niewymownie ohydny blok pokrywanym posadzką usiadła na trzeszczącej, kołyszącej się ławie i próbowała delikatnie objąć mężczyznę ramieniem

Paznokcie rozorały jej twarz.

Na szczęście były krótkie i tępe. Mimo to, niewiele brakowało, a małym palcem wydłu-bałby jej oko.

Odrząciła opadające ramię, złapała oba jego szczupłe nadgarstki w jedną dłoń, a drugą ręką mocno nim potrząsnęła.

- Słuchaj, pusty łbie, weź się w garść. Nie jestem lekarzem ani kapusiem i wydaje mi się, że oboje jedziemy na tym samym wózku.

- Akurat - chlipnął samiec.

Cierpliwie mówiła dalej:

- Nazywam się Hsia Shan-yun i znalazłam się tutaj ponieważ próbowałam skasować bank danych za pomocą Pasiastej Dziury.

To powinno dać mu do myślenia.

- A kim ty jesteś?

- Powinnaś to wiedzieć, ty załgana świnió - wybełkotał.

Był, oczywiście, bezmózgim mięczakiem, dzięki wpływającemu na DNA promieniowa-niu z satelitów, które pięćdziesiąt lat wcześniej

rozwiązało problemy ludzkości, czyniąc wszy-stkich uprzejmymi, społecznie odpowiedzialnymi, bojowo pacyfistycznymi, szanującymi się, gardzącymi wszelką rywalizacją i niezdolnymi zapomnieć o kupnie kwiatów na Dzień Matki. Mimo wszystko, Hsia Shan-yun wydawało się, że w jego mięczakowatych rysach dostrzega niezłomną wolę, co było, z wyżej wspomnianych powodów, dość niezwykle.

Popatrzył na nią załzawionymi oczami, w głębi których błyskała maleńka iskierka możliwego jeszcze do uratowania człowieczeństwa. Dla Hsia Shan-yun, biorąc pod uwagę jej niewielkie do tej pory doświadczenie, był to widok niezwykle podniecający.

- Nie, nie wiem, jak się nazywasz - powiedziała cierpliwie - i nie wiem, w jaki sposób możemy się zaprzyjaźnić, jeżeli nawet tego nie chcesz mi powiedzieć.

Podniecony, pożałowania godny samiec nie odpowiedział.

- No więc, spod jakiego jesteś znaku?

Najwidoczniej wciąż podejrzewał, że ona kłamie.

- Ty i twoi oprawcy na pewno zdążyliście mi już przenicować mózg! Czemu się ze mną droczysz? Czy nie ma w was żadnych uczuć, wy sadyści? Róbcie swoje do końca, niech was szlag. Zamieńcie mnie w zombie. Wydrzyjcie mi mózg i przepuście go przez maszynkę do mięsa. Wypalcie mi płyty czołowe i obierzcie pozostałe jak cebulę. Rozerwijcie mi...

- Hej, uspokój się wreszcie!

- Porwijcie mi w strzępy obwodowy układ nerwowy i wyprasujcie fałdy korowe - zróbcie to! Zróbcie! A potem mnie wypuście - przynajmniej wydostanę się z tego okropnego miejsca.

I znów zaczął płakać, rozdierająco zanosząc się łkaniem, ze złością płynącą z nowo-nabytej odwagi stawiając czoła prastarym lękom, zuchwale przewyciężając obawy w głębi archetypu psyche, instynktownie walcząc z zaszczepionym stosunkowo niedawno i nie sprawdzonym historycznie systemem społecznych wartości, dobrem przeciw złu i słodyczą przeciwko goryczy.

Hsia Shan-yun spędziła kilka minut ocierając słone zły, którymi skraplał jej dość wydatny biust.

Nawet najgwałtowniejszy wybuch uzewnętrzniających się emocji musi się kiedyś, choć przykro to mówić, skończyć.

Prawdę mówiąc, w ze zrozumiałych względów podejrzliwym umyśle Shan-yun zaczęło powoli kiełkować przypuszczenie, że ten

dorodny samiec oskarżający ją o to, iż jest wtyczką, sam jest kapusiem, i że obrzydliwie prymitywne warunki były starannie przygotowaną i wy-konaną zasłoną dymną, mającą ją zmiękczyć, przełamać opór psychiczny i spowodować, że wyjawia nazwiska, adresy i kontakty swoich współników (których przecież nie miała).

Nie dano jej możliwości wypowiedzenia tych brzydkich podejrzeń. Wokół, z sykiem ozonu, rozbłysły ostre jak nóż światła.

Ściana - nierówne głązy, zaschła krew, zardzewiałe łańcuchy, błoto, śluz, maź i inne odpadki - wszystko ze zgrzytem uniosło się w górę, w jednym monumentalnym kawałku, prosto w zasnutę pajęczynami sklepienie.

Ogromny, naprawdę brzydki robot-nadzorca z brzękiem toczył się ku niej na biezniko-wanych kołach, złowrogo błyskając rubinowymi tarczami zegarów.

W tej samej chwili, tylko 197 lat wcześniej, Sopwith Hammil właśnie wychodził spod prysznic w swojej luksusowej kawalerce na dziesiątym piętrze budynku przy Collins Street, w centrum miasta. Chwycił ręcznik i zaczął się energicznie wycierać.

Ponieważ Sopwith praktycznie każdą minutę swego dnia spędzał we wnętrzu jakiegoś pomieszczenia albo swojego hermetycznego porscha, możecie się dziwić, dlaczego w ogóle musiał się myć. Tajemnicę kryjącą się za tym zagadkowym faktem wyjaśnia istnienie zespołu gruczołów potowych, jakie posiadał każdy dorosły człowiek w czasach Sopwitha, a w rzeczy samej we wszystkich czasach począwszy od *Australopithecusa boisei*.

Niewątpliwie pot jest drugą co do obrzydliwości substancją wydalaną przez ludzkie istoty i tylko on, z tych dwu, jest zazwyczaj pokazywany publicznie przez ludzi w wieku po-wyżej dwóch lat.

Możecie uznać ten osąd za nazbyt pochopny, ponieważ pocenie się - co do czego zape-wne wszyscy się zgadzamy - jest metodą, za pomocą której naczelne regulują temperaturę swoich ciał, gdy nie regulują jej używając ubrań, mieszkań, klimatyzacji, basenów kąpielowych i ognisk, na których wesoło pieką się korzenie ślazu.

To prawda. Jednak nie ma przecież potrzeby śmierdzieć.

Od najdawniejszych czasów aż do chwili odległej o pięćdziesiąt, czy coś koło tego lat od momentu, gdy Pluskwa-robot schwytała Hsia

Shan-yun, ludzkie istoty osiągnawszy wiek dojrzały wysyłały proste, chemiczne liściki do swych najbardziej intymnych organów.

Te hormonalne depesze niosą takie treści jak: „Wstawaj. Wszystko w porządku zrób to. Teraz może ci się to wydawać okropnie ambarasujące, ale przywykniesz do tego.” I właśnie tak się to potem dzieje.

Wśród gruczołów, które w tym czasie pracują w nadgodzinach są apokrynowe gruczoły potowe.

Nie mylcie ich z ekrynowymi gruczołami potowymi, które wykonują większość pracy związanej z regulacją ciepłoty ciała i nie wydzielają żadnego zapachu.

To jest prawdopodobnie odpowiedź na wasze początkowe zastrzeżenia.

Apokrynowe gruczoły potowe, wprost przeciwnie, lubią się reklamować. Działają w następujący sposób:

Żyją na owłosionych częściach ludzkiego ciała, przytulone do cebulek włosowych. Większość z nich gromadzi się we wstydliwych zakamarkach, takich jak wzgórek łonowy lub pod pachami.

Takie właśnie one są.

Niesolidne gruczoły.

Nieokrzesane gruczoły.

Nietowarzyskie gruczoły.

Nie chciałbym się zapędzić zbyt daleko w ich krytyce.

Na przykład, one nie obawiają się pracy. Są aż nazbyt chętne, by przyłożyć się do robo-ty.

Owocami ich działalności są kwasy tłuszczowe wyrzucane kanalikami w momencie, gdy dorośli tracą panowanie nad sobą. Mógłbym to jakoś wytrzymać. Kwasy tłuszczowe mają swoje prawa. Jednak to, co się wtedy z nimi dzieje sprawia, że skręcają mi się bebechy.

Bakterie zżerają te kwasy tłuszczowe i zostawiają tylko nieprzyjemny zapach. Nie żartuję; przeżuwiają te nienasycone tłuszcze i zamieniają je w smród.

Wielu cwaniaków usiłuje udawać, że wszystko jest w porządku. Lubią się pocić. Tak przynajmniej twierdzą.

Pot jest dla nich wizytówką prawdziwego proletariusza, śmiało wywieszoną flagą, zdecydowaną deklaracją.

Powołują się na fakt, że w „Encyclopaedia Britannica” słowo

„pocenie” znajduje się między hasłami „perspektywa” i „przekonanie”.

Perspektywa jest tym, czego - oczywiście - wszyscy pragniemy. Punkt widzenia męża stanu, przenikliwość dobrze poinformowanych. Taką perspektywę miał Winston Churchill i obiecał Brytyjczykom „krew, łzy, znój i pot”. Dalszy dowód w podobnym stylu. Muszę wyznać, że mnie osobiście to nie przekonuje.

Rzecz jasna, tym o co chodzi w procesie pocenia się jest przekonanie. Mocny, dobry powiew ma nam powiedzieć, że jest tu autentycznie ludzka osoba o prostych, prozaicznych potrzebach seksualnych. Człowiek, który się z tym nie kryje.

O tym właśnie ta woń przekonuje mnie - że dana osoba jest świnią, która powinna nie-zwłocznie udać się do domu i wziąć prysznic.

A tak przy okazji - nieprawdą jest, że w „Encyclopaedia Britannica” słowo „pocenie” znajduje się między hasłami „perspektywa” i „przekonanie”.

Słowo „pocenie” jest poprzedzone hasłem „perspex”, oznaczającym rodzaj polimetylo-metakrylanu, z którego robiono szyby w staroświeckich Goggomobilach.

Perspex jest przezroczystą przegrodą. Rodzajem syntetycznej ochrony przed brutalną siłą przyrody.

Twierdzenie dowiedzione.

Zmyślnie umieszczony wentylator zdmuchnął kłęby pary z połyskującego odcieniem starej miedzi, sięgającego od podłogi do sufitu lustra, zostawiając na nim litościwą mgiełkę. Energicznie posługując się ręcznikiem, Sopwith z satysfakcją spoglądał na swoje odbicie.

Brzuch miał płaski, choć może niezupełnie tak płaski jak wtedy, gdy uprawiał wioślarstwo. Trzy razy tygodniowo po dziewięćdziesiąt minut w klubie „Chłop jak Tur” załatwiało sprawę.

Zmarszczył brwi. Jego opalenizna z Fidzi definitywnie przybladła. Byłoby dobrze zapi-sać się na dziesięć seansów pod Doktorem Słoneczko, inaczej ludzie zaczną myśleć, że się przepracowuje.

Sopwith upuścił ręcznik, kopniakiem odrzucił go w kąt łazienki, gdzie później znajdzie go dochodząca pomoc, po czym spryskał się

dezodorantem i wodą kolońską.

Ci sami ludzie, którzy przepadają za ostrym zapachem potu śmieją się jak wariaci na widok innych, bardziej delikatnych osobników najpierw zmywających z siebie naturalne sygnały seksualne, by zaraz potem spryskać się podrabianymi sygnałami płciowymi otrzymanymi z zabitych i zmielonych zwierząt.

Są to ludzie o wadliwie funkcjonującej wrażliwości.

Są to ludzie, którzy dotarłszy do domu po całodzienną pracę na słońcu zdejmują buty i zasiadają przed telewizorem w skarpetkach, które powinny zostać zdjęte, wyprane i wysuszone gdzieś na tyłach domu.

Są to ludzie, którzy śmieją się i drwią, gdy jadąc samochodem miną na ulicy faceta w średnim wieku uprawiającego jogging.

Są to, mówiąc szczerze, ludzie niewarci naszej dalszej uwagi i więcej im jej nie poświęcimy.

Potężne fale rozłupującego głowę rocka wylewające się z odtwarzacza kompaktowego Sopwitha sprawiły, że skondensowane kropelki wilgoci spływały po powierzchni zwierciadła, tworząc misterne wzorki.

Załóżyl płaszcz kąpielowy z grubego batiku. Światło w łazience wyłączyło się samo-czynnie piętnaście sekund po tym, jak z niej wyszedł. Za piętnaście minut miał spotkać się z Cynthią. Podszedł do barku i zaczął przygotowywać sobie drinka.

Odtwarzacz kompaktowy nawalał.

Oto cały kłopot z technologią. Dają ci laser i mówią, że możesz macać płyty zatłuszczonymi paluchami nie pogarszając jakości dźwięku, ale dlaczego mieliby ci mówić prawdę? Co im z tego przyjdzie?

To brzmiało strasznie, naprawdę strasznie.

A może to właśnie nowe brzmienie „Brzytwą po Gałach”? Jeżeli chodzi o ten heavy metalowy zespół z lat osiemdziesiątych i jego styl, wszystko było możliwe, jednak wydawało się to mało prawdopodobne.

Przez wciąż dudniący rytmicznie rock przebijały się dźwięki przypominające beczenie, jakie słyszeliśmy ostatnio na powtórkowych pokazach filmów fantastycznonaukowych z lat

pięćdziesiątych, zwiastujące przybycie Straszliwych Obcych.

W dzisiejszych czasach robią takie rzeczy na moogach i komputerach Fairlight, a pra-cownie radiofoniczne BBC mają to na pięciu kilometrach taśmy i pakują we wszystkie seriale dla dzieci, więc nie robi to już takiego wrażenia.

Z drugiej strony, słysząc coś takiego we własnym domu, gdy jesteś sam na dziesiątym piętrze w biurowej dzielnicy głównej metropolii, na sobie masz tylko płaszcz kąpielowy i stopniowo zaczynasz zdawać sobie sprawę, że źródłem tego nie są kolumny twojego drogiego kombajnu dźwiękowego, słysząc coś, co brzmi jak kiepski film o inwazji z kosmosu, można się naprawdę zdenerwować.

To, co Sopwith zobaczył na swojej pokrytej wytłaczaną skórą kanapie, długie na dwa metry i woskowane lśniące, pozbawiło koloru jego zarumienione ciepłą kąpielą policzki.

Zaś to, co nastąpiło potem wywołało dreszcz zgrozy i niedowierzania. Zapomniał o szklance, którą trzymał w ręku. Szkocka i lód w zwolnionym tempie uderzyły o jego gołą no-gę, dzwoniąc i rozpryskując się jak w zakazanej reklamie papierosów Sama szklanka kilka-krotnie odbiła się o jego goleń, zostawiając niewielkie lecz bolesne stłuczenie.

Niczego nie pojmujące oczy Sopwitha odebrały i bez komentarzy przekazały do jego mózgu następujące obrazy:

Po pierwsze, wirującą, mglistą sylwetkę wyłaniającą się z nicości. Najpierw był szary dym przeszywany błyskami iskier i szkarłatnych płomieni.

Elektroniczne pipczenie stawało się coraz przeraźliwsze, aż Sopwitha zaczęły rwać zęby.

- O Boże - zakwiczał. Chybnął się w tył, opierając o grubo ciosany barek. Szklanki i butelki zadzwoniły ostrzegawczo.

Ogromny bochen chleba osiadł w naszej rzeczywistości.

Nawoskowany papier, w który owinięty był bochen, rozsunał się u góry jak zamek błyskawiczny.

Jedna, smakowita pajda razowca wyłoniła się zeń w sposób, w jaki gotowe tosty wyska-kują z opiekaczy do grzanek, tyle tylko, że jak na grzankę była zbyt blada.

Sopwith natychmiast zrozumiał, że ta pajda chleba, krojonego zupełnie idiotycznie wzdłuż, była obcą formą życia. Z powodu wspomnianych wcześniej braków w wychowaniu błędnie uznał, że

obca istota pochodzi z Kosmosu, a nie z czterdziestego siódmego wieku, jednak wiedział, że była żywa i bystra jak koniec bata.

Czekał, zastygły z przerażenia, podobnie jak wy, a nawet jak ja, jeśli o to chodzi, zasty-glibyśmy w takiej sytuacji.

Pajda chleba otworzyła jedno niebieskie oko i spojrzała nim na Sopwitha.

Rozdział piąty

Jestem pewien, że zastanawiacie się, gdzie podział się O'Flaherty Gribble po swoim, cokolwiek kłopotliwym gościnnym występie w programie Sopwitha.

A oto odpowiedź: nieortodoksyjny astrolog miał randkę z przeznaczeniem czekającym nań tysiąc kilometrów dalej.

W ciągu następnych dwunastu godzin, jeżeli dopisze mu szczęście, jego mocno kontro-wersyjna hipoteza (niesławny efekt Kallisto) zostanie poddana pierwszej, trudnej próbie.

Ta kusząca perspektywa stanowiła, pod wieloma względami, szczytowe osiągnięcie całego jego życia, ponieważ hipoteza efektu Kallisto groziła obaleniem niemal każdej znanej doktryny w dziedzinie Sztuk Astralnych. Nikt nie ośmieliłby się postawić wszystkiego na tak niepewnego konia, nie przygotowawszy się wcześniej i nie uzbroiwszy w trzy doktoraty z odległych od siebie dziedzin wiedzy, dwa dyplomy (w tym jeden z ratownictwa przybrzeżne-go) i licencjat.

O'Flaherty zgodził się na udział w programie jedynie pod warunkiem, że Kanał 8 zarezerwuje dla niego taksówkę, która będzie czekać przed budynkiem. Wskoczył z fotela, gdy tylko zaczęły się reklamy, zmył z twarzy szminkę i został ze świstem przewieziony auto-stradą do portu lotniczego Tullmarine, gdzie z trzyminutowym zapasem zdążył na nocny samolot do Sydney.

Tak się pokiełbało, że cogodzinne przeloty między Sydney a Melbourne obie najwię-ksze australijskie linie lotnicze zaplanowały w ten sposób, że starty następują w odstępach pię-ciu minut. Nastąpiło to

w rezultacie interesującego kompromisu między wolną konkurencją, a kontrolą rządu, usiłującego zapobiec stratom, jakie któreś z przedsiębiorstw mogłoby ponieść z powodu nieuczciwego współzawodnictwa.

Ludzie żyjący w tym czasie w Australii byli na przeróżne, skuteczne sposoby chronieni przed rzeczami, które mogłyby im zaszkodzić.

Na przykład nie wolno im było nabywać „twardych” narkotyków działających na korę mózgową, ponieważ kupowanie heroiny lub LSD wytworzonych, rozprowadzanych i sprzedawanych niezgodnie z Ustawą o Zdrowej Żywności miałoby okropny wpływ na ich kręgosłup moralny.

Wskutek tego, raczej niewielka część populacji pragnąca używać tych substancji była ośmielana przez rząd do włamywania się do prywatnych domów innych ludzi i zabierania stamtąd wszelkich poręcznych przedmiotów, jakie tam znaleźli, a szczególnie magnetowidów, by w pierwszym lepszym sklepie wymienić je na narkotyki. Jeżeli mieszkańcy domów sprzeciwiali się temu, trzeba było jedynie tak długo wytlukiwać z nich gówno, aż przestawali protestować.

Chociaż może się to wydawać dość przewlekłą procedurą, przynosiło rozliczne korzyści.

Rozwijało mile widzianego ducha współzawodnictwa w społeczeństwie narkomanów. W innych kręgach duch ten został poważnie osłabiony w wyniku niepoohamowanej ekspansji państwowej opieki społecznej.

Poszerzało rynek zbytu na magnetowidy, zapewniając jednocześnie możliwość nabycia ich tym ludziom, którzy nie mogli sobie pozwolić na nowe.

Oznaczało to też, że policjanci mogli powiększyć swoje niewystarczające dochody po-magając zarządzać tą gałęzią handlu bez potrzeby babrania się w przepisach i prowokowania obelżywych żądań ze strony Izby Skarbowej.

Co najlepsze, prowadziło to do szybkiej śmierci wielu gustujących w narkotykach ludzi, bowiem towar, który sobie wstrzykiwali mógł być do woli wzmacniany dodatkiem śmiertelnych bakterii, wirusami AIDS, strychniną, mielonym szkłem i innymi dodatkami. Było to niezwykle pożądane, ponieważ większość

ludzi zamieszkujących w tym czasie Australię nienawidziła ćpunów za ich okropnie nieodpowiedzialny zwyczaj wpadania bez uprzedzenia do domów, w których nie używano narkotyków i zabierania, po uprzednim wytluczeniu gó-wna z mieszkańców, wszystkich ruchomości, jakie prawowici właściciele nabyli dzięki dłu-giej i ciężkiej pracy.

Tym razem O'Flaherty postanowił lecieć Australijskimi Liniami Lotniczymi, które z dwu towarzystw lotniczych były mniej ostentacyjnie kapitalistyczne. Australijskie Linie Lotnicze działały w oparciu o identyczne zasady, co ich konkurent, Ansett, ale ich właściciele płacili podatki w kraju.

Tylko rzucając monetą można by zdecydować, które z nich było bardziej irytujące, lecz muszę wara powiedzieć, że standardy czystości, jakości usług, osobistego uroku personelu latającego i napraw plastikowych elementów wnętrza samolotu diabelnie przewyższały te, jakie zazwyczaj obowiązują na liniach obsługujących wschodnie wybrzeże Ameryki lub w towarzystwie United.

Przyznaję, że ta różnica znajduje odbicie w cenach biletów. Chcąc w Australii przelecieć z jednego miejsca do drugiego, wpada się po uszy w długi.

Tego wieczoru, O'Flaherty z szerokim uśmiechem szczęścia zasiadł w fotelu w sektorze dla niepalących, w pierwszej klasie szerokokadłubowego samolotu należącego do Australijskich Linii Lotniczych, startującego do Sydney jako lot nr 104 o przewidywanym czasie wy-noszącym jedną godzinę bez paru minut, i zapiął pasy.

O'Flaherty Gribble uwielbiał latanie. Rozwinął w sobie umiejętność śnienia sugesty-wnych snów o lataniu, zawsze kolorowych, które nawiedzały go przynajmniej dwa razy w tygodniu.

Przypuszczał nawet, że w którymś z poprzednich wcieleń mógł być potężnym jastrzę-biem, spadającym jak grom ze swej skalnej komyszy, by wyrwać surowym wichrom jakiegoś mniejszego ptaka i rozedrzeć go, łykając słoną krew w prymitywnym, lecz uzasadnionym ekologicznie uniesieniu.

Prawdę mówiąc przypuszczam, iż jest bardziej prawdopodobne, że w poprzednim wcie-leniu O'Flaherty Gribble był bielinkiem kapustnikiem.

Samolot był na wpół pusty i huczał potężnym rykiem maszyny z końca dwudziestego wieku, doskonale przystosowanej do pełnienia

swych zadań. Zgrabne, wrażliwe kobiety w ponurych uniformach kręciły się między rzędami foteli, odbierając ludziom cięższe przedmioty i upychając je w wolnej przestrzeni pod fotelami lub mimowolnie przytulając się do nich przy wciskaniu zwiniętych płaszczy do schowków bagażowych umieszczonych powyżej iluminatorów, wydając z tych schowków lekkie koce oraz małe poduszki i pomagając niespokojnym, pocącym się ze strachu pasażerom wygodnie usadowić się w fotelach, lub po prostu z głuchym, kojącym mlaśnięciem zatraskując szerokie, wygięte, aluminiowo-plastikowe drzwiczki tych szafek.

Jakiś człowiek przecisnął się obok stewardessy o krótkich, rozjaśnionych włosach i opadł w fotel przy O'Flahertym, zajmującym się obserwowaniem małych, jasnoczerwonych, żółtych i zielonych światełek na zewnątrz, co nie było łatwe, ponieważ światła palące się we wnętrzu kabiny zamieniały podwójne szyby iluminatorów w nieco brudnawe, odrapane lustra.

- Dobry wieczór, O'Flaherty - powiedział nieznajomy, poprawiając spodnie w kroku i próbując zapiąć pas nie wybijając przy tym oka O'Flaherty'emu.

- O, cześć - odpowiedział zaskoczony astrolog. Nie rozpoznał tego huczącego, głębokiego głosu, który działał bardziej uspokajająco niż spacerowanie pewnych siebie stewardess. Obrócił się raptownie i spojrzał sąsiadowi w oczy, ale nadal go nie poznawał.

To było naprawdę dziwne, bo w toku swoich niezwykłych badań i jeszcze dziwniejszych doświadczeń życiowych O'Flaherty posiadał ejdetyczną pamięć.

Jeżeli nie czytaliście wystarczająco wielu książek fantastycznonaukowych, aby wiedzieć, co to oznacza, powinienem wyjaśnić, że ludzie obdarzeni pamięcią ejdetyczną potrafią zapomnieć twarz i głos kogoś widzianego przez szesnaście sekund siedemnaście lat temu na rojnej ulicy w Bangkoku mniej więcej tak samo, jak Lady Joan Sutherland potrafi nie wyciągnąć najwyższej nuty w scenie szaleństwa w „Lucji z Lammermooru”. Nie jest to zupełnie niemożliwe, ale moglibyście wtedy zażądać zwrotu pieniędzy za bilet.

- W porządku, O'Flaherty - powiedział mężczyzna o ojcowskim wyglądzie, uśmiechając się szeroko - nigdy się nie spotkaliśmy. Oczywiście, znam pańskie prace.

O'Flaherty poczuł, jak pierś wzbiera mu dumą i zadowoleniem.

Uwielbiał swoich fanów.

Przeważnie spotykał kpiarzy, niedowiarków i tępych ignorantów, którzy nie odróżniliby swojego Układu Gwiazd od dziury w ziemi.

- Jestem George Bone - jego nowy przyjaciel wyglądał jak skrzyżowanie Orsona Welle-sa i Charltona Hestona. - Zobaczyłem pana kupując bilet i pozwoliłem sobie poprosić dzie-wczynę, żeby dała mi sąsiednie miejsce. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu?

- W żadnym razie, George. Miło mi cię poznać.

Tak naprawdę, to O'Flaherty był odrobinę niezadowolony, mimo iż upajała go możli-wość rozmowy z kimś, kto znał jego prace z dziedziny astrologii. Ponieważ latanie było jego najgorętszym pragnieniem, prawie każdą minutę lotu spędzał gapiąc się pustym wzrokiem za okno i podziwiając bezkresne, błękitne niebo, ziemię tak dalekow dole i obłoki wiszące ni-czym wielkie, białe wieloryby lub postrzępione i pierzaste, gdy przemykał przez nie samolot, albo ogromne i napęczniałe obok i poniżej, kiedy wzbijali się przez warstwę chmur ku spoko-jnym bezmiarom niebios.

Jednak w nocy, kiedy samolot opuści pas startowy, i tak niewiele widać.

- Złapałem koniec pańskiego dzisiejszego występu w programie Sopwitha Hammila - powiedział George Bone, sadowiac się wygodnie w fotelu. Zaświeciły się właśnie napisy „NIE PALIĆ” i stewardessy zaczęły zwyczajowe przemówienie o małych, plastikowych maseczkach, jakie opadną wam na twarze, jeśli samolot rozleci się w powietrzu na kawałki. - Bardzo mi się podobało. Dobry występ, O'Flaherty.

- No cóż, dziękuję. Czy pan też robi dla mass mediów?

- Można tak powiedzieć. Zajmuję się sprzętem, programowaniem, zaprogramowywa-niem i wszelkim działaniem związanym z przekazem. Jednak proszę mi powiedzieć, chodzi mi o to, o czym zaczął pan mówić, ale Sopwith panu przerwał...

To, oczywiście, zupełnie zmieniało sytuację i twarz O'Flaherty'ego stężała.

- Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, wołałbym nie...

- Ach tak, rozumiem - mruknął w zadumie George Bone. Koła samolotu zamruczały wraz z nim, silniki zawyły, wszystko przechyliło się na bok i wystartowali; nagle samolot przestał dygotać, podwozie

wciągnięto, a George Bone mówił dalej: - Chodziło o badania efektu Kallisto, prawda? Fascynująca praca, zrewolucjonizuje całą astrologię.

O'Flaherty nie wierzył własnym uszom.

Ten człowiek był aniołem zesłanym z nieba.

- Jest pan pierwszą osobą, która nie roześmiała mi się w twarz - powiedział z nieoczekiwanym grymasem goryczy.

- Z Galileusza też się śmiali - odparł Bone.

- Tak, ale to byli Włosi.

- Efekt Kallisto - mówił w zadumie Bone.

- Efekt Kallisto i Ganimeda, dokładnie mówiąc - rzeki O'Flaherty.

- Dwa największe księżycy Jowisza. Wie pan, każdy z nich jest większy od naszego Księżyca. Oczywiście, Kallisto silniej wpływa na horoskop, ponieważ porusza się po dalszej orbicie.

- Nie dostrzega pan więc wpływu innych księżyców? Niezależnie od naszego własnego?

- No cóż, rzecz jasna, zastanawiałem się nad tym. Jest Tytan wokół Saturna i Tryton orbitujący przy Neptunie i Charon obiegający Plutona. Jednak one wszystkie są nazbyt odległe. Nie ma między nimi wystarczającej odległości katowej, gdy przecinają horyzont, chociaż Tytanowi brakuje zaledwie troszeczkę. Widzi pan, planety maskują wpływ swych satelitów.

- Kawę, herbatę czy mleko? A może coś z baru?

- Proszę o szkocką. A pan, O'Flaherty?

- Jestem abstynentem. Proszę o białą kawę.

Australijczycy, w tym nawet aborygenowie, którzy często są czarni jak noc, mówiąc o kawie z mlekiem używają określenia „biała kawa”. Gości przybywających z Australii do takich krajów jak Stany Zjednoczone, zamieszkiwanych przez ogromną liczbę wrażliwych, ciemnoskórych ludzi, którzy stosunkowo niedawno byli skuwani łańcuchami jak psy, a trakowani jeszcze gorzej, martwi to, że uważani są za prowokacyjnie bezczelnych, kiedy zamawiają „białą kawę” u ciemnoskórej kelnerki. Kelner z reguły okazuje się być ciemnoskóry, podobnie jak tragarze, służący i inni wykonujący prace nieatrakcyjne dla wybredniaków, zupełnie inaczej niż w krajach takich jak Australia, gdzie ze względu na znikomą ilość ciemnoskórych takie prace wykonują biali, często przybywający z krajów, w których jedna grupa społeczna ludzi mniej lub bardziej białych nabija w butelkę członków innej grupy, lub grup o podobnym kolorze skóry i w zamian

bywa wysadzana w powietrze. W Stanach Zjednoczonych uważa się za dopuszczalne zamówienie „kawy ze śmietanką”. Co w praktyce zwykle oznacza „tanie, sproszkowane zmiotki w jasnym zagęszczeniu”.

- Wydaje się, George, że jest pan osobą dostatecznie dobrze zorientowaną w arkanach Sztuki - powiedział O'Flaherty. Otarł z czoła kawę. Samolot jeszcze kilkakrotnie uniósł się i opadł o czterdzieści czy pięćdziesiąt metrów i powrócił do spokojnego, stabilnego lotu, jakby wszystko to było cudaczną sztuczką z perspektywą.

- Miałem niezwykle życie, O'Flaherty.

- Cudownie - rzekł O'Flaherty pełen entuzjazmu. - Może pan wie, że jestem wnikliwym badaczem życia we wszystkich jego aspektach. Być może uda nam się zajmująco spędzić tę godzinę podróży, dzieląc się kilkoma co ciekawszymi przypadkami, jakimi w swym bogactwie obdarzyło nas życie.

- Jeszcze jedną szkocką, proszę.

- Dolać panu jeszcze?

- Białą kawę, dziękuję. Czy sądzi pani, że mógłbym dostać jeszcze kilka tych smakowitych, czekoladowych biskwitów?

- Który z nas zacznie?

- Och, pan pierwszy, George. Jeżeli czytał pan moje książki, to niewiele nowego mógłbym panu opowiedzieć.

Jak zobaczymy później, O'Flaherty nie mówił szczerze. Jednak prawdą jest to, że istotnie straszliwie fascynowały go opowieści, sądy i triumfy innych. Kiedy sam zaczynał mówić, okazywał się wspaniałym gawędziarzem, lecz był też równie wspaniałym słuchaczem. Z błogim uśmiechem oczekiwania oparł się wygodnie w fotelu, gdy George Bone wychylił drugą whisky, wyciągnął się wygodnie, zgasił małą lampkę obok napisu „NIE PALIĆ”, kłującą go w oko swoim długim żółtym palcem, i zaczął swoją opowieść.

DZIWNE OKOLICZNOŚCI TOWARZYSZĄCE TRANSFORMACJI GEORGA BONE'A

Gdyby spotkał mnie pan w czasach, o których mówię - zaczął George Bone - zobaczył-by pan człowieka o zaskakująco odmiennym wyglądzie. Byłem wtedy niewysokim, krępyim człowiekiem o

twardych dłoniach i złamanym nosie zawodowego boksera. Prawdę mówiąc, zapewne wyglądałem tak jak ten spocony idiota, który nadepnął panu na nogę w tramwaju. Tylko ci, którzy dobrze mnie znali widzieli we mnie bibliofila posiadającego kolekcję średniowiecznych ksiąg wiedzy tajemnej, które wylewały się z mojej pracowni i zajmowały dwie ściany salonu oraz sportowca, który (całkowicie nielegalnie) zdobył dwa kły słoniowe wiszące nad kominkiem. Uważałem się za człowieka, który wie czego chce. Jeśli zaś nie mogłem mieć tego od razu, to udawałem się na poszukiwanie i przynosiłem do domu.

Tego szczególnego wieczoru w tysiąc dziewięćset którymś tam roku poprzysiągłem sobie wyruszyć po zdobycz największą z możliwych. Podczas gdy w przeszłości stawką było moje życie, teraz położyłem na szali moją duszę.

Jeśli George Bone, wygodnie rozciągnięty w bucującym samolocie u boku O'Flaherty'ego zauważył, że astrolog poblądł i wybałuszył oczy słysząc te złowieszcze, wypowiedziane obojętnym tonem słowa, to nie zwrócił na to uwagi, kontynuując swoją opowieść, tak jak-by upiorne zaklęcia sług Szatana były najnaturalniejszym na świecie tematem do rozmów.

Kwaśny odór kadzielnicy - ciągnął niewzruszenie Bone - sprawił, że z niesmakiem marszczyłem nos. Szybko umieściłem czarną, łojową świecę na każdym wierzchołku wpisanego w okrąg pentagramu, który nakreśliłem kredą na dywanie w moim salonie, po czym poszedłem do kuchni po sól i spodek z krwią.

Rozsypałem sól w węzłowych punktach Podwójnego Kręgu i jeszcze raz pomaszerowałem do kuchni, by przynieść moją zbutwiałą, drogocenną księgę kabalistyczną. Odświeżyłem nieco pamięć co do kilku istotnych szczegółów, zamknąłem księgę i zgasłem światło.

Saletra w świecach syczała i pryskała jak miniaturowe sztuczne ognie. W tym migotliwym świetle dobrze znany mi pokój przybrał zdecydowanie niesamowity wygląd. Mój puls namacalnie przyspieszył i przez chwilę zastanawiałem się, czy naprawdę powinienem kontynuować przyzywanie.

Naturalnie, wziąłem się w garść, nieco zirytowany tym, że

poddałem się czemuś, co nie było niczym więcej jak serią prymitywnych, psychologicznych trików. Spodek z ciepłą, świeżą krwią, akurat! Ponownie otworzyłem księgę

Nie po raz pierwszy w życiu poczułem wdzięczność dla moich nauczycieli, którzy - jako ludzie starej daty - wbijali mi w głowę klasyków, kiedy byłem dzieckiem.

W tym momencie O'Flaherty posłał Georgowi Bone'owi ciepły uśmiech zrozumienia i aprobaty.

- Ja również nauczyłem się w dzieciństwie łaciny i greki - mruknął. - Są niezastąpione, nie uważa pan?

- Absolutnie - odparł Bone, obdarzając astrologa spojrzeniem sugerującym, że powinien powstrzymać się z komentarzami aż do kulminacyjnego punktu opowieści.

- Przepraszam - powiedział O'Flaherty.

- W porządku.

Umieściłem spodek wewnątrz Trójkąta Sztuki, który miał schwytać i uwięzić demona - rzekł Bone podejmując swoją opowieść - i czystą solą nakreśliłem dodatkowy, wewnętrzny trójkąt. Bardzo ostrożnie wstąpiłem w moje izolowane kręgi i zamknąłem ich nakreślone kre-dą granice. Mój magiczny wzór został nakreślony tak, aby był skierowany na sześcian klipo-tycznego ołtarza, wykonanego ręcznie i starannie pokrytego rzeźbami. Same te rzeźby stanowiły poważną inwestycję liczoną w pieniądzu, w czasie i wysiłku.

W końcu, zaglądając do starej księgi, pozwoliłem Słowom Wezwania Demonów i Pomniejszych Duchów spłynąć z moich warg: „Acteusie, Magelsjusie, Ormenusie, Lycasie, Niconie i Mimonie” - i tak dalej w tym samym stylu.

Nic się nie stało, czym właściwie nie byłem zaskoczony. Jednak czułem, że łydki prze-stały mi dygotać. Czułem, że w tym momencie mogę bez żadnych konsekwencji wycofać się z całej tej bzdurnej afery, jednak nawet w moich szaleństwach byłem człowiekiem metody-cznym. Uśmiechnąwszy się, doprowadziłem rzecz do uświęconego zwyczajem końca, przez recytację Ojciec Nasz na odwrót.

- Amen. *Malo a nos libera sed. Tentationem in inducas nos ne et. Nostris debitoribus dirnittibus...*

Nagły huk sprawił, że podskoczyłem. Fioletowa iskra przeskakiwała od jednej migo-czącej świecy do drugiej, zostawiając po sobie jasnoblękitną poświatę spowijającą każdą ze świec. Śmierdziało ozonem.

Talerzyk, co zauważyłem z satysfakcją, pozostał nietknięty. Pocąc się lekko, kontynuowałem.

- *Terra in et, caelo in sicut, tua voluntus fiat; tuum regnum adveniat.*

Dokładnie na północ od mojego kręgu, nad talerzykiem z krwią, pośrodku Trójkąta zaczęła się formować niewielka chmurka czarnego dymu. Cofnąłem się o krok, rozważnie pozostając wewnątrz opisanego okręgiem pentagramu.

- *Tuum nomen sanctificetur; caelis in es qui, noster pater.*

Efekty pirotechniczne przygotowały mnie na najgorsze. Nim ukończyłem diabelską modlitwę, twardo wziąłem się w garść.

Głośny trzask wstrząsnął wirującym dymem. W milczącej zadumie uniosłem brwi i opadłszy w wygodny fotel, założyłem nogę na nogę.

Dym znikł. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem rozjuszonego demona. Nie był to miły widok.

Stwór w Trójkącie miał siedem stóp wzrostu, a łuski na jego ciele lśniły w blasku świec jak nowiutkie miedziaki. Sterczące uszy i skośne oczy można było zaliczyć do cech tradycyjn-nych, natomiast wściekły wyraz twarzy - nie.

Prawa stopa demona do połowy tkwiła w spodku z krwią i wcale go to nie bawiło.

- Dlaczego? - spytał retorycznie, kierując oczy ku niebu. - Dlaczego?

Bez entuzjazmu rozejrzał się po pokoju. Tonem kogoś, kto musi cierpliwie znosić czyjąś głupotę, poskarżył się:

- Jakby nie dość było tego, że gołego wrywają mnie z łóżka w środku nocy, to jeszcze muszę sterczeć po kolana we krwi?

Diabeł wzdrygnął się mimowolnie.

- Mój Boże, ależ z was prymitywne stworzenia!

Przyznaję, że siedziałem swobodnie, splótszy ramię na brzuchu i słuchałem skamlącego demona nie bez rozbawienia.

Nie byłoby prawdą, gdybym twierdził, iż to mnie nie zaskoczyło. Ten gadatliwy czart był antytezą wszystkich podstępnych, złośliwych

stworów na jakie natknąłem się w mych lekturach. Byłem jednak człowiekiem o ogromnych możliwościach intelektualnego przystosowania się i przypuszczam, że opanowałem się w pełni wyjmując paczkę Cameli, wytrząsając jednego z nich, chwytając wargami i zapalając go. Zgadza się, to wstrętny nałóg. Demon rozpromienił się.

- Myślałem, że zostały zakazane.

- Jeszcze nie. Po prostu wyszły z mody. Ludzie nie mają ochoty umierać w mękach na raka płuc.

- Pan nie ma nic przeciwko rakowi płuc?

- Mam inne plany - zaciągnąłem się głęboko i z najwyższym trudem powstrzymałem gwałtowny atak kaszlu.

- Czy mógłby mi pan poczęstować? - demon podszedł do brzegu swojego Trójkąta i spojrzał na mnie błagalnie. - W końcu, mamy środek nocy...

- Czemu nie?

Nie widziałem powodu, dla którego miałbym nie być wspaniałomyślny. Rzuciłem paczkę przez nakreśloną kredą linię, choć nie byłem pewny czy przejdzie przez niewidzialną ścianę. Demon zręcznie złapał papierosa. Szponiaste łapy drżały mu z podniecenia jak alkoholikowi, który potknął się o na pół pełną butelkę. Wyciągnąwszy dwa papierosa naraz, łączywie wsadził je do ust i zapalił prychnięciem z nozdrzy.

- Ooo - rzekł z wdzięcznością, wydmuchując grube kółko zielonego dymu ze swego niewiarygodnego nosa.

Spróbował odrzucić mi paczkę; poczułem ogromną ulgę widząc, że papierosy uderzyły o niewidzialną barierę i spadły na podłogę.

- Zdaje się, że mam prawo do trzech życzeń - powiedziałem.

- W porządku - dawka nikotyny uśmierzyła zły humor demona. - Wysłuchajmy ich i grajmy uczciwie. Mam obowiązek uprzedzić pana, że nic panu z tego nie przyjdzie.

Oparł się wygodnie na ogonie, który stał się twardy jak stal.

Dygocząc w duchu z podniecenia, wstałem z fotela. Wróciłem myślą do ideogramów, które doprowadziły mnie, mimo mego sceptycyzmu, do tej chwili niezwykle delikatnego wyboru.

- Dlaczego nic mi z tego nie przyjdzie?

Demon znów stał się rzeczowy.

- Słuchaj pan, wałkowanie tego z panem przez całą noc nie należy

do moich obowiązków. Niech pan wypowie swoje trzy życzenia i wracajmy do łóżek.

- Jeżeli chcesz być takim formalistą - odparłem chłodno - to moim pierwszym życzeniem jest, żebyś wyjaśnił mi dokładnie i bez wykrętów, dlaczego nikomu nie udało się osiągnąć korzyści ze spotkania tego rodzaju.

Przez chwilę wydawało się, że demon oklapnie jak pęknięty balonik.

- No dobrze - twój popadł w filozoficzny nastrój - sędzę, że było to nieuniknione.

- Semantyka - kontynuował po chwili. - Hipoteza Whorfa. Ontologiczna Zasada Symboli Przedustawnych.

- Przestań gdakać - przerwałem mu ostro. - Wyrażaj się precyzyjnie.

- Świat jest sposobem, w jaki się go postrzega - powiedział demon z wyrzutem. - W pewnych, określonych warunkach.

- Czy tworzymy go myślą? Przecież to nieprawda - odparłem z gniewem. - Gdyby tak było, magia byłaby rzeczą prostą - i powszechną.

- To nie jest prawdą ze względu na efekt konsensu - rzekł demon. - Wszyscy postrzegają Wszechświat, który przyjmuje najniższy wspólny mianownik jako swój Stan Podstawowy.

- Wszyscy - zdumiałem się. - Czyż to nie dotyczy też ciebie i tobie podobnych?

Demon pospiesznie odwrócił wzrok.

- To nie jest tak. My mamy swój własny Wszechświat.

Z pewnością rozumie pan tę falę emocji, jaka ogarnęła mnie po usłyszeniu tej wiadomości.

- Zatem jest ich więcej niż jeden?

- Słuchaj pan, to żadna rewelacja. Chcę powiedzieć, że to, o czym tu mówimy to jedy-nie nieszablonowa wersja kwantowej interpretacji „Wieloświata” kanonika Hugh’a Everetta, na miłość boską! Potencjalnie istnieje nieskończona liczba równoległych światów. Oczywiście, w ten właśnie sposób działają te cholerne „Trzy życzenia”. Przesuwamy energię z jakiegoś pustego Wszechświata do tego.

- Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego ludzie wypowiadający te życzenia nigdy nie mają z tego pożytku?

- Prawa zachowania masy, materii i energii. Czyżby nie uczył się pan fizyki?

Jednak mój umysł pracował na najwyższych obrotach.

- Semantyka - powiedziałem. - Konsens. No tak, rozumiem. A więc oba nasze Wszech-światy zostały jakoś złączone...

- Przypadek - rzekł z goryczą demon. - Niespodziewana, głupia zbieżność symboli i słów w wykonaniu jakiegoś bufona w brudnych szatach i stożkowej czapie. Nic dziwnego, że nazywano to „mrocznym średniowieczem”.

Z wściekłością spojrział na spodek z krzepnącą krwią.

- Co wcale nie oznacza, żebym dostrzegął jakąś znaczącą poprawę.

- A więc zakłęcie otwiera semantyczne przejście między naszymi światami. I przypu-szczam, że jesteś tu uwięziony dopóki energia nie zrównoważy się i skompensuje. Stąd te trzy życzenia.

- Nie energia - powiedział demon ze zniecierpliwieniem. - Właściwym określeniem byłaby perspektywiczna równowaga.

Wstałem i przez kredową linię twardo spojrziałem w kocie oczy demona.

- Czy jest jakiś sposób na obejście tych trzech praw? Coś, co mógłbyś zrobić, aby moje życzenia nie obróciły się przeciwko mnie?

Znow umknął spojrzeniem w bok.

- No, w zasadzie...

- Chcesz wrócić do domu, prawda? - w tym momencie musiałem niewątpliwie wyglądać na faceta, który wywalił bardzo dużą dziurę w największym zwierzęciu na Ziemi, a potem odrąbał mu kły, żeby powiesić je sobie nad kominkiem. - Myślę, że mógłbym cię tu zatrzymać na zawsze.

Diabeł wyglądał na mocno przestraszonego.

- To nic nie da. Musiałby pan zużyć drugie życzenie na obejście praw zachowań i zostałoby panu tylko jedno. A co, jeśli pożałuje pan tego wyboru? Zawsze tak się dzieje; wie pan, jak to jest. Niezmiennie. To żalotne. Kielbasa przyrośnięta do nosa, genitalia jak u ogie-ra... och, jakie historie mógłbym panu opowiedzieć...

Tobie, O'Flaherty, nie muszę chyba mówić, jaką ogromną, niebotyczną radość poczu-łem stwierdzając, iż znalazłem się o krok od celu moich poszukiwań.

- Użyj więc w ten sposób mojego drugiego życzenia. Jedno

skuteczne życzenie jest le-psze od trzech wypowiedzianych nadaremnie.

Demon zmarszczył brwi. Podniósł pokrytą łuskami dłoń i nakreślił nią w powietrzu szereg tajemniczych znaków. Pokój zadrżał. Diabeł skłonił się z ironią.

- Dalej, ciemniaku. Cały pusty Wszechświat czeka na twoje rozkazy. Powiedz trzecie życzenie. Nie spodziewaj się jednak, że będę w pobliżu, żeby cię wyciągnąć z bagna, bo wła-śnie wracam do łóżka.

I zniknął w obłoku siarczanego smrodu.

Przez dobrą chwilę siedziałem nieruchomo. W końcu poszedłem sobie zrobić filiżankę mocnej kawy. Słońce za oknami robiło swoje tuż nad horyzontem. Piekł mnie oczy. Zastana-wiałem się, czy nie pójść spać, by z jasnym umysłem dokonać lepszego wyboru mojego trze-ciego życzenia, które wstrząśnie światem.

Jednak nie mogłem zaryzykować snu. Freud. Podświadome pragnienia we śnie. Nocne koszmary. Zdmuchnąłem świece. Dość dziwne, lecz ich kwaśny zapach już mnie nie drażnił.

Tak oto, O'Flaherty, ziściło się moje chłopięce marzenie. Marzenie dojrzewającego szczeniaka, który śnił o żądzy, władzy i bogactwie. Sen, któremu, w istocie, poświęciłem i wiek dojrzały.

Cały Wszechświat, powiedział diabeł, a był zobowiązany mówić całą prawdę, i tylko prawdę.

Niewątpliwie było to możliwe z powodów, o jakich napomknął. Fizyka kwantowa, o ile wiedziałem, przyznawała mu rację. Mogło być nieskończenie wiele pustych, czekających na spenetrowanie wszechświatów, równoległych do naszego.

Nie mogłem jednak całej tej energii przenieść do własnego Wszechświata. Miałbym na głowie kwazar!

Opanowanie. Oto, czego potrzebowałem. A jednak nie mogłem stracić takiej okazji. Teraz albo nigdy! Jeden strzał.

O jaki jeden dar mógłbym poprosić?

Wieczna młodość? Już przewidywałem niebezpieczeństwo uwięzienia w jakimś labo-ratorium, gdzie zazdrośni naukowcy kroiliby mnie i badali bez końca, chcąc wydrzeć mi tajemnicę, które nie potrafili zgłębić.

Pieniądze? W każdej chwili może przyjść wymiana i wszystko szlag trafi.

Siła? Tylko jakiego rodzaju? Polityczna? Seksualna? Zawsze

żałowałbym, że nie poprosiłem o więcej.

- Więcej - zamruczałem pod nosem.

Wypiłem ostatni łyk kawy i odstawiłem szklanę. W moim umyśle już wykryła się odpowiedź.

Wszystko. Chciałem wszystkiego.

Nieograniczona energia, powiedział demon. A więc doskonale - nieograniczone życzenie.

- Chcę - powiedziałem powoli, starannie dobierając słowa - aby od tej chwili spełniało się każde moje życzenie.

Tak samo jak diabeł, panie O'Flaherty, zniknął cały świat, zniknął bez śladu, pozostawiając po sobie pustkę.

Zapanowała absolutna i wszechobecna ciemność.

Stałem się samym *ego*, płonącym i samotnym.

Osaczył mnie lęk przed samotnością, uczucie do tej pory zupełnie mi nie znane. Spoglądałem w niezmierzone obszary mojego, nagle obcego mi umysłu. Szukałem choć jednego punktu oparcia i stwierdziłem, że uciekam, biegnę na oślep i płaczę nad sobą milionem ech.

Moja wiedza była bezgraniczna i pozbawiona jakiegokolwiek sensu.

Oczywiście, domyśliłem się, co się stało. Podświadomie zawsze chciałem wiedzieć wszystko.

Niezmiernymi obszarami mojego „ja” targnęła obawa. A co z moimi innymi podświadomymi pragnieniami?

Mrok był nieskończonością. Zajrzałem weń i dostrzegłem jedynie swoją twarz.

Zawsze był czas który nadchodził, trwał i przemijał, ale przede mną było go zawsze więcej.

W końcu nie mogłem już tego dłużej znieść.

Zdając sobie sprawę z konsekwencji, w pełni świadomy wszystkiego, okropnego bólu, płaczu i zgrzytania zębów, obłudy i fałszu, jaki miałem spowodować, wiedziałem co muszę zrobić.

Wiedziałem nawet, ze zdumiewającą pewnością, jakie słowa powinienem wypowiedzieć.

I stało się. Światło.

O'Flaherty spojrzał na Georga Bone'a rozdziawiając ze zdziwienia usta.

- Chce pan powiedzieć... - wyjąkał. - Chce pan powiedzieć, że jest pan Bogiem?

Bone pochylił głowę.

- Do pańskich usług.

Rozdział szósty

Beztrioskie szczebiotanie ze stwórcą lokalnego wszechświata nad filiżanką kawy, na wysokości 15 000 metrów - to jedno. Zaś spotkanie chłodzonego helem, automatycznego kla-wisza to zupełnie coś innego.

Pluskwa zignorowała Hsia Shan-yun. Wszystkie siedem swoich paskudnych, paciorko-watnych, płonących czerwienią fotoreceptorów skierowała na kryjącego się za nią pod drewnianą ławą, trzęsącego się ze strachu samca.

- Eks-obywatelu Turdingtonie Jimbo, moim przykrym obowiązkiem jest poinformować was...

- Aargh, aargh, tylko nie pranie mózgu! - zawył towarzysz Hsia.

- ...że dokonano ostatecznej analizy waszego zbrojenia - ciągnął nadzorca nie znoszącym sprzeciwu, apodyktycznym tonem. - Biorąc pod uwagę fakt, że jesteście zdeklarowanym recydywistą...

- Kim?

- Już to kiedyś robiłeś - usiłowała mu pomóc Hsia Shan-yun - i uważają, że zrobisz to ponownie, jeśli dadzą ci choć cień szansy.

- Och. Załapałem.

- ...zostaniecie zabrani do punktu korekcyjnego, gdzie wasza nieodpowiednia osobo-wość zostanie wymazana i zastąpiona przez bardziej odpowiadającą naszym normom.

- Nie, nie! Tylko nie pranie, wy bestie!

Nie zważając na ten wybuch emocji, Pluskwa wyjęła mały dokument przedstawiający dość pochlebny, trójwymiarowy wizerunek Turdingtona Jimbo opuszczającego w towarzysztwie kilku przyjaciół knajpkę „Japoński Kącik”. Na dokumencie nie było żadnych napisów, po pierwsze dlatego, że za 197 lat nikt (z wyjątkiem zatwardziały

recydywistów, takich jak Hsia Shan-yun) nie będzie umiał czytać, a po drugie, ponieważ Pluskwy postrzegają głównie ultrafioletową część słonecznego promieniowania.

- Winniście przekazać to zawiadomienie o skierowaniu dyżurnemu lekarzowi. Surowe kary będą konsekwencją składania na pół, zginania, skręcania lub uszkodzania karty przez osoby nieupoważnione. Proszę uprzejmie za mną.

Maszyna obróciła się majestatycznie i powoli potoczyła się w kierunku jasno oświetlo-nego korytarza.

Ponieważ jedną ze swych metalowych macek mocno chwyciła wrzeszczącego mężczy-znę za ramię, Turdington Jimbo sunął za nią po śmierdzącej, wilgotnej i śliskiej podłodze celi, kopiąc i tłukąc robota wolną ręką.

Ściana znów zaczęła opadać, aby ponownie zatrzaskać Hsia Shan-yun w celi.

- Czekaj, facet!

Wściekłość zmieszana ze zdumieniem sprawiły, że głos Hsia Shan-yun brzmiał nieco skrzekliwie. Nie odczekawszy poprawiającej integrację korowo-ośrodkową pauzy, zalecanej przez czołowe autorytety w dziedzinie zdrowia psychicznego, rzuciła się naprzód.

To, czego zaraz będziecie świadkami, jest efektem odruchowego, instynktownego działania Prymitywnej Bestii.

Shan-yun obijając się boleśnie wturlała się do korytarza ułamek sekundy przed tym, jak ściana opadła w swoje wyżłobienie z trzaskiem, od którego Pluskwa zachwiała się na gąsieni-cach.

- Zabierz od niego swoje macki, blaszany kretynie!

Pluskwa z oszałamiającą szybkością obróciła się do niej, niby to przypadkiem zwalając z nóg Turdingtona Jimbo i rozplaszczając go na ścianie korytarza, która przynajmniej była nieco gładsza od grubo ociosanego granitu celi.

- Eks-obywatelko Hsia Shan-yun - wykrzyknął szczególnie oficjalnym tonem, wycelowując w nią swój skaner. - Widzę, że bezprawnie przebywacie na wolności. Czy postradali-ście zmysły? Natychmiast wracajcie do celi!

Za plecami Hsia Shan-yun granitowa płyta ze zgrzytem uniosła się pod sufit.

Shan spojrzała przez ramię. Cella wyglądała jeszcze mniej zachęcająco niż wtedy, gdy była w niej zamknięta. Hsia czekała, aż

glina-robot uruchomi swoje rzygacze.

Teraz uważajcie, ponieważ właśnie zbliża się decydujący moment, kiedy ujawnimy jedno z najistotniejszych ograniczeń sztucznych umysłów.

Łatwo się gorszą.

Pewne sytuacje zaskakują policyjne roboty, bowiem wykraczają poza granice prawdo-podobieństwa. Mówiąc konkretnie - czy opuścilibyście swoją celę bez zezwolenia odpowiednich władz?

Pluskwa stał cicho mrużąc i czekając, aż Hsia Shan-yun posłusznie potupta z powrotem do karceru.

Zdumiewająco wysoka, brzydka i silna kobieta znowu nieświadomie wykorzystwała epistemologiczno-etyczną wadę oprogramowania robota.

Roboty nie mają w swoich mózgach odpowiedniego wzgórza pozwalającego im działać odruchowo, co może być powodem tego, że spośród 1.482.965 światów w naszym odgałęzieniu Drogi Mlecznej, o których wiadomo, iż są zamieszkane, tylko jeden (Alfa Szekli) zarządzany jest wyłącznie przez inteligentne maszyny. Zresztą i ten szczególny przypadek potwierdza regułę, ponieważ wiemy już, że mechaniczne życie na Alfa Szekli wyewoluowało z samobieźnych łapek na myszy porzuconych na tej radioaktywnej planecie siedem milionów lat wcześniej, przez zwiedzających ją Bargleplodów.

Zgiąwszy się w pół, aby utrudnić celowanie, Hsia Shan-yun przemknęła obok Pluskwy i pognęła jasno oświetlonym korytarzem.

Glina obrócił się z przejmującym skowytym i ruszył za nią.

Shan-yun zatrzymała się, gwałtownie hamując bosymi stopami, odbiła się od ściany i popędziła z powrotem.

Tak jak na to liczył jej ośrodkowy układ nerwowy, w pogoni za nią klawisz uwolnił Turdingtona Jimbo. Trudno gnać jak chart z człowiekiem pod pachą i choć nadzorca mają nadmierną swobodę poczynań i niezbyt wysoką opinię o przedstawicielach życia organicznego to napady i pobicia nie leżą w ich charakterze.

Tak więc Hsia Shan-yun zawierzyła życie truizmowi, którego prawdziwości - o ile wiedziała - nikt nigdy nie sprawdzał: roboty mają zaprogramowany w centralnym procesorze kategoryczny zakaz zabijania ludzkich istot.

Prawie go dopadła, gdy wystrzelił chmurą klajstru.

Ładunek przeleciał jej nad głową, ponieważ ośrodkowy układ

nerwowy kazał jej wywi-nać w powietrzu salto, które rzuciło ją wprost pod gaśienice toczącej się maszyny.

- Hsia! - wrzasnął samiec, przyciskając dłonie do pobladłych policzków. - Och, nie! Zabije cię tak dokładnie, że nie dadzą rady złożyć cię do kupy!

Oczywiście, robot gwałtownie zahamował, gdy tylko połapał się, co jest grane, a biorąc pod uwagę szybkość działania dzisiejszych procesorów wielkiej skali integracji i ekstrapolu-jąc ją o 197 lat w przyszłość, możecie sobie wyobrazić, jak szybko to nastąpiło.

Jednak i tak zareagował zbyt wolno.

Niemal już na nią najeżdżał. Zrobił więc jedyną rzecz, jaką w tej sytuacji mógł zrobić. Uniósł cały swój korpus w powietrze jak na teleskopowym podwoziu, dokładnie tak, jak to robi Inspektor Gadget.

Ośrodkowy układ nerwowy Hsia nie działał na ślepo, przyspieszając w ten sposób bieg wydarzeń. Widziała już, jak szybko poruszające się roboty wykonywały ten sam numer, aby uniknąć niespodziewanie pojawiających się na drodze przeszkód. (Myślę, że chcielibyście, abym was zapewnił, iż jej działania nie były pocho-
pne ani bezsensowne.)

Wciągając mięśnie brzucha próbowała upodobnić się do węża, na tyle, na ile było to możliwe dla kobiety o jej budowie ciała.

Gaśienice ze szczękiem, chrzęstem i łomotem ominęły ją - jedna z prawej, druga z lewej strony.

Konwulsyjnym ruchem sięgnęła w górę i wszystkimi czterema kończynami złapała za podbrzusze Pluskwy i trzymała się ze wszystkich sił.

Z podbrzusza Pluskwy zwisały girlandy przewodów i dźwigni. Wisząc tak Shan-yun z radosnym rechotem zaczęła naciskać, szarpać i ciągnąć wszystko, czego tylko zdołała dosię-gnąć jedną ręką. Nadzorca nie mógł obryzgać jej klajstrem, dopóki pozostawała tam, gdzie była, lecz zachodziła obawa, że może opuścić swój tułów na zwykłą wysokość i rozsmarować ją po podłodze jak masło na grzance.

Nagle ciałem dziewczyny wstrząsnął przykry dźwięk, podobny do tego, jaki mógłby wydać dzwon garbusa z Notre Dame uderzany odpowiednio dużymi widłami do rozrzucania gnoju. A potem nastąpiła równie nagła, upiorna cisza.

Pluskwa zatrzymała się z gwałtownym szarpnięciem.

Hsia Shan-yun odpadła, uderzając plecami o ziemię.

Gdzieś dalej, w głębi korytarza, dorodny samiec wydawał dziwne, zduszone łkania. Shan uniosła oczy w górę, westchnęła, potrząsnęła głową, wydostała się spod nieruchomej maszyny i usiadła, by wysmarkać się

Wbrew jej podejrzeniom, Turdington Jimbo wcale nie łkał z przerażenia. Siedział na środku korytarza zgięty w pół ze śmiechu.

Zatykając sobie usta dłonią, próbował ukryć niestosowną radość. Kiedy Shan-yun zmar-szczyła się groźnie, zaczął się śmiać jeszcze bardziej i potrząsając głową zamiast wyjaśnienia i przeprosin, gestem wskazywał na coś za jej plecami.

Dwadzieścia siedem roboczych macek nadzorcy sterczało ze stalowego korpusu jak igły jeżozwierza. Wszystkie jego lampki zgasły.

Załatwiła go na amen i zamieniła w poduszkę do szpilek.

- Hsia... - zaczął mężczyzna.

- Mów mi Shan - ku jej zaskoczeniu i niemal nie trudząc się zawiadaniem o tym mózgu, skurcz przerażenia przeszedł w rytmiczne pulsowanie podniecenia seksualnego.

- Turdington Jimbo - powiedział dorodny samiec, rycerskim gestem przykładając dłoń do piersi.

- Cześć. To chyba nie od...?

- To jest właśnie Jimbo. - Kapuję.

W oczach Turdingtona Jimbo płonęła żądza znana tylko cudownie ocalonym. Erogeń-czne strefy obojga więźniów uaktywniły się, powiększyły i uwidoczniły. Korzystali ze sposobu porozumiewania się, jaki ludzie opanowali jeszcze w czasach *Australopithecus boisei*, jednak obecnie mało kiedy wykorzystywanego ze względu na rozpowszechniony wśród większości z nich zwyczaj noszenia odzieży.

Jednak Shan-yun, zamiast zatracić się w akcie prokreacji, podbiegła do Jimbo, złapała za rękę i postawiła na nogi.

- Wstawaj, człowieku. Musimy się pospieszyć.

- Nie psuj zabawy - powiedział nadąsany Jimbo. - Zabawmy się. Zróbmy to. To może być świetne, naprawdę świetne. Pomówmy o tym. Znam pyszne miejsca, gdzie aktorzy wpa-dają po występach; możemy coś zjeść, zamówić butelkę Chianti lub białego słodkiego, jeśli takie wolisz, potańczyć...

Shan-yun dała mu na odlew po pysku. Zachwiał się, dotknął

rozciętej wargi, oszołomiony potrząsnął głową i odwrócił wzrok.

- Przepraszam. Wiesz, jak to jest. Chciałem po prostu, aby to była ostatnia rzecz, jaką zapamiętam zanim wypalą mi mózg.

Znów usiadł na twardej, białej, syntetycznej posadzce i zaczął płakać.

W tym momencie światło zgasło i w odległym końcu korytarza pojawiła się ogromna, zajmująca całą ścianę twarz siwowłosego biurokraty.

Ogromne usta poruszyły się i usłyszeli potężnie wzmocniony głos, który łomotał w skroniach jak taran:

- Stać, ani kroku! Ze wszystkich stron znajdują się wycelowane w was nerwomiazdżuchy. Nigdy nie uda się wam uciec.

- W nogi, Jimbo! - wrzasnęła Hsia Shan-yun.

Ręka w rękę, na chwilę zapomniawszy o żądzy i użalaniu się nad sobą, pomknęli w kierunku ogromnej, wyświetlonej na ścianie gęby.

Z naprawdę okropnym, przyprawiającym o ból zębów skowytom nerwomiazdżuchy wkroczyły do akcji.

Hsia Shan-yun i Turdington Jimbo natychmiast runęli na posadzkę, a straszliwy ból skręcił im każdy mięsień w splot rozżarzonych, termitowych drutów.

Rozdział siódmy

Mniej więcej 197 lat wcześniej, Sopwith Hammil, patrzący na błękitne oko spoglądające nań bez mrugnięcia z pajdy chleba nie-z-tej-Ziemi, również czuł piekące ukłucia nerwo-bólów i niezwykle nieprzyjemne, nawracające nudności.

Oko nie mogło mrugać, bo nie miało powiek.

Podobne oczy możecie ujrzeć u muchówek, jeżeli podejście do nich bardzo blisko i obejrzyjecie ich głowy przez szkło powiększające.

Pajda chleba, która pojawiła się znikąd przyglądała się Sopwithowi jednym wielkim, błyszczącym, drobno siateczkowatym, owadziim narządem wzroku.

Dysonans poznawczy w biednym, nieskomplikowanym łbie

Sopwitha osiągnął apogeum wykraczające poza skalę Richtera, przez chwilę dygotał boleśnie, po czym zwałił się w dół i legł płasko.

Sopwith nie przyjął do wiadomości tego, co zobaczył. Niestety, to wcale nie oznacza, że bochen chleba nie-z-tej-Ziemi po prostu zniknął. Zasada Rzeczywistości poprzez Konsens, objawiona Bone'owi przez sardonicznego demona z sąsiedniego Wszechświata w roku 19... nie funkcjonuje w tak dogodny sposób.

To prawda, że jesteśmy tym, co zjadamy.

Na szczęście nieprawdą jest, przynajmniej na ogół, że zjadamy to, czym jesteśmy.

Sopwith Hammil nie mógł znieść wstrząsającej i niebezpiecznej moralnie myśli, że ktoś-regoś dnia mógłby nieświadomie, przeglądając przy śniadaniu dział finansowy swojej porannej gazety, posmarować masłem i zjeść grzanekę z obcego, zapijając go kawą.

Ontologiczna Zasada Symboli Przedustawnych ostro zabrała się do roboty.

Ohydne, siateczkowate oko owada pozostało tam, gdzie było, zdecydowanie zakotwiczone w czasie i przestrzeni, spoglądając ponad włochatym dywanem na Sopwitha.

Wszystko inne w otaczającej go przestrzeni zawirowało i zmieniło kształt.

Zielonkawe błyski światła rzucanego przez kosztowne kinkiety i odbijającego się od łuskowatej, chitynowej czaszki obcego nagle wystrzeliły w kierunku Sopwitha.

Złowrogie szczęki kłapnęły, gdy istota otworzyła swą odrażającą paszczę.

Sopwith jednocześnie zmarł z przerażenia i odetchnął z ulgą. Ośmiostopowy owad po-zaziemskiego pochodzenia spadający z orbity okołoziemskiej, by zmaterializować się w jego salonie to coś okropnego - z pewnością przez całe miesiące dręczyć go będą koszmarne sny - ale był daleko bardziej możliwy do przyjęcia niż sześciostopowa pajda inteligentnego razowca nie-z-tej-Ziemi, w dodatku krojona podłużnie.

Jeżeli nie rozumiecie, dlaczego tak się dzieje, większość z naszej skomplikowanej, stopniowo rozkręcającej się opowieści niepostrzeżenie umknie waszej topornej, niepoprawnie ograniczonej świadomości. Proponuję, abyście zażądali zwrotu pieniędzy za tę książkę i zamiast niej kupili któreś z dzieł wielebnego Jerry'ego

Falwella.

W końcu jedno z poleceń, jakie wysyłał rozdygotany ośrodkowy układ nerwowy Sop-witha dotarło do celu, choć spocilo się po drodze i zaraz potem padło z wyczerpania. Kończy-ny podjęły niezborne działania. Cofnął się do westybulu służącego wszystkim czterem kawa-lerkom mieszczącym się na dziesiątym piętrze budynku zamieszkanego przez osoby samotne.

Może ciekawi was, dlaczego Sopwith nie chwycił pierwszego lepszego egzemplarza broni palnej i nie rozwalił insektowi łba.

Po pierwsze, wszystko to działo się w Melbourne, w Australii, gdzie przysługujące każdemu naturalne prawo noszenia broni nie zostało uświęcone zapisem w Konstytucji Wolnych Ludzi Wierzących w Boga Jedyne i w wyniku tego pożałowania godnego niedopatrzania tylko niewielu ludziom udaje się zginąć od kuli.

Po drugie, rewolwer Sopwitha był w sąsiednim pokoju, w szafce obok łóżka.

Pomimo niewielkiej ilości broni dostępnej Australijczykom, co nie pozwala im zała-twiać swoich sporów jak prawdziwym mężczyznom przystało - bez uciekania się do pośredni-ctwa cholernych sądów, których bujający w obłokach i cierpiący na rozmiękczenie mózgu członkowie są najczęściej skłonni po uwolnieniu ewidentnego przestępcy przyznać mu je-szcze zwrot kosztów procesu, nawet jeśli jest czarnuchem i pedałem - Sopwith posiadał broń i miał na nią zezwolenie.

W tym przedziale czasu Australia była tak zacofanym krajem, że wolni, biali obywatele, którzy zapragnęli posiadać śmiercionośną broń musieli prosić policję o zezwolenie. Wprost nie do wiary.

Kilka miesięcy wcześniej Sopwith, po anonimowym, lecz rzeczowym telefonie grożą-cym mu śmiercią lub kalectwem, otrzymał przedmiot swych marzeń: kopyto, gnata, spluwę - broń.

Oczywiście, drzwi i okna jego luksusowego gniazdka, włącznie z otwieraną kluczem windą były podłączone do sterowanej elektronicznie i uruchamianej przez impuls radaru instalacji alarmowej, naprawdę najlepszej, jaka była dostępna na rynku.

Jedynym błędem, jaki popełnił, było nie wzięcie pod uwagę możliwości zmaterializo-wania się zmiennokształtnego, pozaziemskiego intruza na pokrytej wytłaczaną skórą i ręcznie obszywanej kanapie.

Macająca na oślep dłoń Sopwitha natrafiła nagle na coś znajdującego się za nim, na barku. Nie było to wystarczająco ciężkie czy twarde, lecz w tym momencie samo zaciśnięcie dłoni na czymś konkretnym wystarczyło, aby jego roztrzęsione, zaszokowane ciało przeszył radosny dreszcz ulgi.

Nawiasem mówiąc, chęć podniesienia i rzucenia czegoś, co mieści się w pięści jest na-prawdę uświęconym wielowiekową tradycją odruchem, zakodowanym w ludzkim genotypie w wyniku wydarzeń, z jakimi codziennie borykał się *Australopithecus boisei*, nieskomplikowany osobnik stale niepokojony przez różne tygrysy szablozębne, małe, ciepłokrwiste dino-zaury pozostałe w spadku po okresie kredowym, żarłoczne rekiny i tym podobne stwory.

Podczas gdy lśniąca istota o ociekających śliną zuwaczkach uczyniła jeden, niewielki dla obcego (ale, jak okazało się później, ogromny dla ludzkości) krok w kierunku Sopwitha, ten, będąc w prostej linii potomkiem *Australopithecus boisei*, zacisnął swą bezwłosą łapę na przedmiocie z tyłu, zamachnął się potężnie i bez dalszych konsultacji z ośrodkowym układem nerwowym czy korą mózgową, cisnął nim w intruza, wkładając w ten ruch każdą odrobinę krzepy, jaką wypracował w swych bicepsach, trzy razy w tygodniu rzucając żelastwem w klubie „Chłop jak Tur”.

Tak się jednak złożyło, że obiekt, którym Sopwith tak morderczo cisnął w swojego pozaziemskiego gościa niezbyt nadawał się do tego celu. Był to bowiem pilot sterujący jego wielopokojowym kombajnem dźwiękowym marki Bang & Olafsen, cud techniki z końca dwudziestego wieku, umożliwiający mu włączanie, ściszenie, wzmacnianie, zmianę stacji, uruchamianie klasycznego gramofonu lub odtwarzacza kompaktowego, a także wyłączenie tego całego, bajecznie drogiego systemu Banga & Olafsena, posiadającego oddzielne, stereo-foniczne kolumny w każdym pomieszczeniu, nie wyłączając łazienki. Ten klejnot duńskiego kunsztu i miniaturyzacji, pilot sterujący zestawem był tak mały, że mieścił się na dłoni sprzedawcy i tak lekki, iż chętnie nosiło się go z pokoju do pokoju. W rezultacie, nie była to rzecz, jaka ja wybrałbym by cisnąć nią w pozaziemskiego natręta, ale są sytuacje, w których nawet bogaci młodzi gwiazdorzy telewizyjni nie mają żadnego wyboru.

Po drugiej stronie kanapki rozległ się przerażający trzask.

Przeciawszy okrytą łuskami czaszkę obcego, jakby nie istniała,

pilot, choć lekki, odbił się od przeciwległej ściany, wyrócił wydrukowane w ograniczonym nakładzie, podpisane przez Bretta Whitleya dzieło o dużym czepiaku należącym do naczelnych, po czym upadł jak plastikowy kamień, łamiąc delikatną dźwignię regulatora barwy dźwięku.

Obcy odwrócił się, aby obejrzeć zniszczenia.

- Doprawdy, Ziemianinie, twoje zachowanie pozostawia wiele do życzenia - powiedział z niechęcią.

- He? Aargh! Co...?

Obcy ponownie spojrzął na zniszczone urządzenie.

- Może moi koledzy z Werbunku Dnia Zagłady pomylili się oceniając tak wysoko twój Wskaźnik Stabilności.

- Ty... ty mówisz po australijsku? - Sopwith wytarł dłoń o gładkie drewno za plecami, próbując jednocześnie opanować upokarzające drżenie nóg.

- *Ja. Sehr angenehm, Herr Hammil. Vielen Dank fur Ihre Gastfreudenschajt. Abfalle in den Mulleimer! Das stimt so. Die Zweit links. Store ich?*

- Co? Aargh? He?

- Och. Zdawało mi się, że powiedział pan „po austriacku”.

- Angielsku - zaskrzeczał słabo Sopwith. - Australijczycy mówią po angielsku.

- Mój dobry człowieku - rzekł stwór z lekką, lecz wyraźną urazą w głosie - jeśli ty mówisz po angielsku, ja czynię podobnie. Nasza rozmowa byłaby raczej bezprzedmiotowa, gdybym zwracał się do ciebie po baskijsku lub po chińsku.

Z irytacją wskazał na bar.

- A teraz zażyj narkotyk, napij się alkoholu lub czegokolwiek, co zwykle pomaga ci się wziąć w garść. Wasze słońce niedługo zgaśnie, a nim to smutne wydarzenie nastąpi, muszę jeszcze obsłużyć wielu innych ludzi.

Rozdział ósmy

Ufam, iż powszechnie wiadomo, że słońce nie zgaśnie pograżając cały świat w Nowej Epoce Lodowcowej, zmuszając tym samym resztki ocalałej z katastrofy ludzkości, aby przez kilka nędznych tygodni lub miesięcy czepiała się swej pożałowania godnej egzystencji, ko-rzystając ze światła i ciepła dostarczanego przez te same reaktory atomowe, przeciwko któ-rym zidiociali lub podbechtani przez komunistów ekologiczni szaleńcy (wraz ze swymi tuba-mi z mass mediów, takimi jak Sopwith Hammil) demonstrowali zaledwie kilka godzin przed tym, jak pośród zimnej, bezkresnej, pustej nieskończoności międzygalaktycznych przestrzeni Słońce zostało zdmuchnięte jak kapiąca świeca.

Wiemy przecież (nawet jeśli Sopwith o tym nie wie), że jego insektoidalny interlokutor jest gościem z czterdziestego siódmego wieku, tak więc Słońce nie może niebawem zgasnąć, proste?

W rzeczy samej, w tym rozumowaniu tkwi jednak pewien błąd.

Kromkę razowca, która - uderzona niewiarą Sopwitha - zamienia się w potwora z drugorzędnych filmów s-f z trudem można uznać za potomka ludzkiej rasy, nieprawdaż?

Wyobraźcie sobie taką możliwość:

Cztery i pół tysiąca lat po tym, jak nasza żalosna, dzielna, wojownicza cywilizacyjka została zdmuchnięta mroźnym oddechem Wszechświata, Galaktyczny Patrol Specjalnych Sił Policyjnych pałętający się przypadkiem w bezgwiezdnej pustce napotyka ośnieżony, wyma-rły, mroczny świat, wędrujący przez nicość donikąd.

Poirytowane i znajdujące się w kłopotliwej sytuacji z powodu konieczności zmiany koła Kosmiczne Gliny przeszukują tę trupiarnię, sprawdzając czy gdzieś nie zostało naruszone prawo. Wystarczy im zaledwie kilka pikosekund, aby połączyć się z oszałamiająco potężnym, lecz aroganckim Symbiotycznym Komputerem, wyłożyć mu całą tę wzruszającą historię, posłać paru gliniarzy do Działu Sądownictwa Archaicznego, tajną dziurą przerzucić drabów z patrolu do najbliższego osiągalnego momentu przed Wielkim Kichnięciem i schwytać Ham-mila wraz z wybraną gromadką ludzi - przedstawicieli rasy nigdy przedtem nie odnotowanej w bezgranicznej pamięci bezgranicznie ciekawego komputera.

No, jeżeli coś przemawia za takim scenariuszem, to możemy mieć duże kłopoty.

Zaraz, poczekajcie, czy o czymś nie zapomnieliśmy? Czyż Hsia Shan-yun nie jest przedstawicielką ludzkiej rasy? Czy nie weszła w zatarg z prawem w czasie określonym prawnie dokładnie na 197 lat po Sopwithu?

Jest człowiekiem i weszła. Możecie odetchnąć.

Jednak jeśli nawet tak jest, to czy ktoś tu sugerował, że Shan-yun żyje na Ziemi?

Czy - biorąc pod uwagę, że niewiele wiemy o jej sytuacji - nie jest prawdopodobne, a nawet całkiem możliwe, iż ona sama, siwowłosa biurokrata, Turdington Jimbo, Pluskwy i cała reszta są potomkami tej gromadki ludzi, którzy zostali w ostatniej chwili uratowani przez pozaziemskie gliny z czterdziestego siódmego stulecia?

A widzicie? Niczego nie można z góry uznawać za oczywiste. Prawdę mówiąc, to twierdzenie jest istotną częścią systemu filozoficznego opracowanego przez Sir Karla Poppera, utrzymującego, że jedyne założenia godne przydomka „naukowy” są z zasady eksperymentalnie falsyfikowalne. Ktoś mógłby sądzić, że to dość paranoiczny pogląd na życie, ale tak to jest. Najważniejszym wnioskiem wynikającym z wielokrotnie potwierdzonej teorii Poppera jest ten, że przebiegu i wyników naukowego eksperymentu (o czym zresztą zapewne słyszeliście) nie da się przewidzieć ani z góry założyć. Brzmi to rozsądnie - jeśli nie wykonałeś doświadczenia próbującego zafałszować swoją hipotezę, to jeszcze nie wiesz, czy Wszechświat jej nie wygwizdże.

Aby zejść z tego wysokiego konia, wykroczę teraz poza temat, którym do tej pory się zajmowaliśmy i opowiem co nieco o dniu, który nastąpił po szarpiącym nerwy spotkaniu Sopwitha Hammila z obcym z czterdziestego siódmego wieku.

Rankiem tego dnia, gdy słońce jak struga złota wlewało się przez stylowe okno jego sypialni, biochemik nazwiskiem Joseph Wagner obudził się bezgranicznie szczęśliwy.

Zauważcie słońce w tym opisie. Jazda, nie ma się o co martwić.

Joe ziewnął, przeciągnął się i usiadł, tak by móc obserwować wczesnoranną krzątanicę mieszkańców Sydney przez okno swojej małej sypialni znajdującej się na poddaszu budynku używanego przez niemal dwieście lat przez prostytutki i pokątne położne wywołujące

sztu-czne poronienia, a teraz będącego przytuliskiem studentów, nieżonatych, świeżo upieczonych doktorków, którzy zasmakowali w tanim, burzliwym życiu opodal King's Cross, słynnym na całe Sydney miejscu spotkań striptizerek, dziwek, napalonych starzejących się wdówek i aptekarzy z ich wytresowanymi do zabijania dobermanami.

Ranek wyglądał cudownie.

Joe wyskoczył z łóżka, uśmiechnął się szeroko i z plaśnięciem klepnął się po brzuchu. Ten odpowiedział mu bulgotem, ale Joe nie miał nic przeciw temu. To był najlepszy dzień w roku. Jego urodziny. W tym dniu Joseph Wagner kończył czterdzieści dwa lata i jakież piękny był to poranek na czterdzieste drugie urodziny!

Wyskoczył w górę, trzaskając piętami w autentycznym hołubcu, a potem w szaleńczych podskokach okrążył zasypaną papierami sypialnię.

Przykro mi to mówić, ale popełnił błąd, ponieważ przypadkowo dostrzegł swoją twarz w lustrze.

Głupawy uśmiech natychmiast zniknął mu z twarzy.

- Czterdzieści dwa - jęknął pod nosem. - Boże, cóż to był za sen. A tu cholernie czter-dzieści dwa.

Nie zdejmując nieco przybrudzonych gacek, które zastępowały mu piżamę, wbił się w stare dzinsy.

- Kolejny okropny dzień cholernie okropnego życia - rzekł sam do siebie, popadając w tragiczny nastrój.

Poszedł do łazienki i ochlapał sobie twarz zimną wodą.

- Kolejny dzień pustej egzystencji i przerzucania peptydów z jednej próbówki do drugiej.

Po namyśle wsadził cały łeb pod kran, po czym cofnął go z prychnięciem.

- Kolejny morderczy dzień spędzony na poświęcaniu szczurów na ołtarzu medycyny, w nadziei znalezienia jakiegoś cudownego leku, na który mikroby jeszcze się nie uodporniły. I po co?

Jak przemoczony, krótkowłosy wyżeł niemiecki otrząsnął wodę z kudłów, na oślep przetarł twarz i uszy nieświeżym ręcznikiem i gorączkowo, po omacku zaczął szukać grzebienia. Pouczający jest fakt, że gdy wszyscy inni faceci w budynku golili pały na łyso pozostawiając ufarbowane na różowo i czerwono czuby, lub też splatali włosy w najeżone strąki usztywnione superklejem, Joe Wagner wciąż poświęcał część poranka na czesanie włosów

grzebieniem.

- Po co? - pytał ponuro i sam sobie odpowiedział: - No cóż, po to, żeby tej, i tak już przeludnionej planecie przybyło jeszcze kilkanaście milionów drani. Cud, że nikt jeszcze nie zrobił z tym porządku.

Zmrużył oczy patrząc na rozfiglowane promyki słońca tańczące na kafelkach łazienki i odbijające się od lekko skorodowanej armatury z nierdzewnej stali.

- To wstyd, że ktoś po prostu nie zgasi tego cholernego słońca.

Spojrzał na swoje odbicie w lustrze i jęknął. Właściwie Joe Wagner był niczego sobie, lecz wszystkie poszczególne cechy jego wyglądu razem wzięte nie były w stanie zatrzymać wzroku ewentualnego obserwatora na tak długo, by w związku z tym cokolwiek poczuł. Trudno go opisać. Był po prostu przeciętny.

Jednak wszyscy chcą jakiegoś opisu. Oto on: Joseph Wagner miał prawie pięć stóp i pięć cali wzrostu, ciemne, przerzedzone włosy (większość z nich stracił podczas ostatniego roku i było diablo mało prawdopodobne, by pozostałe przetrwały następny rok), osadzone blisko siebie, błękitne oczy osłabione czytaniem i działaniem par przemysłowych chemikaliów oraz niewielki ślad po przebytej w dzieciństwie operacji zajęcej wargi, który - jak wierzył - czynił go straszliwie szpetnym w oczach wszystkich kobiet, ponieważ za wszystkie kobiety były obiektem seksualnych zainteresowań Wagnera, przekonanie to stało się dlań źródłem okropnego utrapienia.

Smętnie opuściwszy ramiona, odwrócił się od lustra.

Ten wzruszający rytuał odbywał się każdego ranka: konfrontacja z lustrem, zgarbienie ramion, pogodzenie się z nieuniknionym, zamknięcie się w swojej skorupie.

Oto życie pędzone w nieustannym oczekiwaniu na ciosy. Splot tragedii i smutku.

Jednak zaczekajcie!

Słońce nadal świeci i jego promienie drażnią zwilgotniałe oczy Joe Wagnera, a w jego jaźni zaczyna tańczyć ruchem Browna pęcherzyk podniecenia, próbując wyrwać się z więzienia szarej substancji i obudzić kuksańcem ośrodkowy układ nerwowy.

Joe zwalczał w milczeniu szlachetniejsze odruchy, rozpaczliwie usiłując pograżyć się z powrotem w trzęsawisko przygnębienia, które było jego zwykłym bezpiecznym siedliskiem.

Podszedł do okna, wkładając jednocześnie koszulę non-iron i

zawijając krawat. Po przeciwnej stronie ulicy, na tarasie, brązowy kocur wylegiwał się w pierwszej, porannej sadzawce ciepła. Kocisko podchwyciło jego spojrzenie i zwięziło ślepią w dwie autokratyczne szparki. Po raz drugi tego dnia, pierwszego takiego od wielu miesięcy, szeroki, sentymentalny i głupawy uśmiech rozciągnął szczęki Joe Wagnera.

Nadal uśmiechnięty, włączył maszynkę do kawy i usmażył sobie na śniadanie dwa pla-sterki boczku oraz parę jaj.

Idąc schodami w dół, żeby złapać autobus, minął właścicielkę pensjonatu. Shirl O'Toole była zasuszonym stworzeniem w nieokreślonym wieku. Uśmiechnął się do niej i pomyślał, że spojrzała na niego jakoś dziwnie.

- Miły ranek, pani O'Toole.

- Tiiia, no ni? Jakżeż si pan miwa, słociutki, czyma si pan?

Mijając frontowe drzwi widział, że wciąż stoi jeszcze na półpiętrze, odprowadzając go ukradkowym spojrzeniem, z zastanawiające wygłodniałym wyrazem twarzy. Wzruszywszy ramionami zamknął drzwi za sobą i pomaszerował wzdłuż Palmer Street w kierunku przy-stanku autobusowego na Taylor Square.

Wiosenny poranek ożywiały efekty dźwiękowe wzięte z taśmy wykorzystywanej we wszystkich filmach, których akcja toczy się w miejskiej scenerii. Nawet brud Palmer Street natrętnie atakował oczy bodźcami kipiących życiem kolorów. Zmysły Joego podrażniły drzewa i niedotlenione, lecz dzielnie kwitnące krzewy z małego parku, położonego obok restauracji rybnej.

Joe rozluźnił krawat i odetchnął głęboko. Pomimo tych spalin, czuło się coś dobrego! Zaskoczyło go to. Podniósł głowę ku niebu i ponownie powąchał.

Ze wszystkich stron, małe strzępki życia popisywały się przed nim jak na wielkiej gali, przed jego nagle rozbudzoną, kosmiczną, planetarną i miejską świadomością. Dwa lśniące, brązowoskrzydłe karaluchy kochające się zapamiętałe w szczelinie trotuaru potrząsnęły na niego czułkami, a Joe rozpromienił się w odpowiedzi, przechodząc obok tak, by ich nie rozde-ptać.

Obok przepelnionego kosza na śmieci leżał rozciągnięty na ziemi ćpun, któremu z prze-krwionej powieki zwisała igła, lecz nawet ten znajomy widok nie zdołał popsuć Joe Wagne-rowi dobrego humoru. Niedbale rzucił monetę małemu gazeciarzowi, wziął „Haralda” i

cisnął dodatek dla poszukujących pracy do pojemnika na odpadki przy stojaku z romansidłami Millsa i Boona oraz magazynami porno, zaś zasadniczą część gazety wsunął sobie pod ramię.

Już samo to było wyraźną oznaką otwartego, uczuciowego nastawienia do świata, albo-wiem typowe dla Joego zachowanie polegało na zakopaniu się po uszy w kłopotach całego świata i próbie zapomnienia o własnym istnieniu. Tego ranka, absolutnie nie uświadamiając sobie na co się zanosi, Joe dostrzegał jedynie ciepłe, rozjaśniające się niebo i rdzewiejącą koronkę żelaznej kraty tarasu.

Jego autobus czekał na światłach. Joe poszedł prosto na górny pomost. Zamiast zapaść się w mrok tylnego siedzenia, przecisnął się wzdłuż przejścia i otworzył okno.

Gdyby jechał jedną z bardziej uczęszczanych tras w północnej części miasta miałyby ze swego miejsca wspaniałe widoki na port; mógłby sycić wzrok rozległym łukiem hartowanej stali rozpinającym się na lśniącym przestworze błękitu, mógłby też dostrzec mały prom, który - żwawo młócąc wodę łopatkami - przepychał się przez fale jak żółtozielony żuk.

A tak, odrobina pyłu wpadła mu do lewego okna i musiał ją wyciągać rogiem chuste-czki, którą dostał na Boże Narodzenie od ciotuni.

Konduktor - Wietnamczyk o twarzy pozbawionej wszelkiego wyrazu - pobrał opłatę za przejazd. Joe zatrzasnął okno i zajął się krzyżówką.

Autobus szybko się zapełnił.

Kilka lat temu, po przeczytaniu książki Germaine Greer, Joe nieodwołalnie zdecydował, że Ruch Wyzwolenia Kobiet wcale nie walczył o ustępowanie damom siedzącego miejsca. Aby z powodzeniem stosować tę zasadę, najważniejsze było wyćwiczenie w sobie stanu koncentracji człowieka popychanego do czytania gazety psychopatycznym przymusem, nie pozwalającym mu dostrzec chorych, starych lub aroganckich krytyków, surowym okiem oceniających ten brak uprzejmości. Jednak nawet wtedy często ulegał pokusie ukradkowego zerknięcia w okno, aby sprawdzić swoją prezencję - i teraz, kiedy tak uczynił - poprzez rutynowy nawyk popadł ponownie w ten rutynowy nawyk.

Autobus tłukł się wzdłuż Oxford Street, obok wojskowych koszar Wiktorii, gdzie znajdowała się antena umożliwiająca kontrolę

amerykańskich satelitów naprowadzających głowice nuklearne, przeciął supernowoczesne Paddington usiłujące przebudzić się dopiero po wieczorze fascynujących kolacyjek, importowanej kokainy, nużących ekscesów seksualnych i drapieżnych rozmów o interesach, minął też piękne, rozległe przestrzenie Parku Stulecia pełne trawników, drzew i sadzawek, ptaków, ludzi uprawiających jogging i laureata Nagrody Nobla, Patricka White'a, rozmyślającego w czasie przechadzki, po czym skierował się wreszcie ku pałacom i sklepowym arkadom Bondi Junction.

Podczas tego przebijania się przez zatłoczone miasto Joe Wagner na próżno szukał dwunastoliterowego słowa oznaczającego „podejrzewam, iż to ukradkowe skrobanie świadczy o tym, że za moją cholerną półkę z książkami wlaźła mysz”, równocześnie czując, że włosy na głowie jeżą mu się coraz bardziej, aż zaczynają sterczeć jak nylonowa szczotka, której używacie do wyczyszczenia brudu za paznokciami po przeglądzie motocykla.

Nagle zeszytniał, czując, że ktoś na niego patrzy. Ostrożnie podniósł wzrok.

Poczerwieniał, potem poczerwieniał jeszcze bardziej, wreszcie zbladł jak płótno.

Niewidoczne detektory, ukryte głęboko w ośrodkowym układzie nerwowym, nie nabierały go.

Młoda osoba przed nim, chyba dziewczyna, mająca na głowie cztery wygolone kwadraty pokryte odrastającą szczecina, mocno wykręcała szyję, by na niego patrzeć.

Siedząca obok niego starszawa dama z dużą, niebieską rośliną w doniczce, też na niego patrzyła.

Po drugiej stronie przejścia, dwie gospodynie w średnim wieku udające się do Bondi Junction także wyciągały szyję, aby go zobaczyć, przy czym ta z tyłu napierała na pierwszą, żeby lepiej widzieć.

Niewiele czasu zajęło mu ustalenie, że wszystkie pozostałe pary damskich oczu (jedno-okich nie było) również się na niego gapią.

Jeśli pierwszą jego reakcją był rumieniec zakłopotania, to wkrótce zastąpił go dreszcz dziwnego przerażenia. Jeszcze nigdy w czasie czterdziestu dwóch lat szarego, monotonnego życia Joe Wagner nie doświadczył czegoś, co choćby w przybliżeniu przypominałoby to wrażenie.

Wypuścił długopis z prawej ręki, a z pozbawionych czucia palców lewej szeleszcząc wyfrunęła gazeta. Przekazawszy całą władzę ośrodkowemu układowi nerwowemu, Joe Wagner rozpaczliwie sprawdzał swoją twarz, włosy i stan ubrania.

Czyżby opadły mu spodnie? Dzięki Bogu nie!

A może jakiś bydlak opryskał mu włosy na zielono? Jednak w ten sposób nie różniłby się zbytnio od wielu dwa razy młodszych od niego osób.

Mocno zaciskając powieki, w cichej udreńce zastanawiał się nad sobą i swoją sytuacją.

Odważył się na jeszcze jedno, ukradkowe spojrzenie.

Wciąż się na niego gapiły.

Zaryzykował szybkie spojrzenie przez ramię.

O mój Boże! Jeszcze więcej oczu. Wszystkie damskie!

Naukowe przygotowanie dało o sobie znać, skłaniając do analizy ilościowej. Zaczął liczyć i systematyzować

Szesnaście par spoglądających nań z maniackim uporem oczu to w sumie daje trzydzie-ści dwoje oczu.

Przeważnie były to oczy młodych kobiet: operatorek komputerów ryzykujących (jak się domyślał) poważny wypadek w drodze do pracy, farmaceutek mających czarny pas w aikido, paru mężatek udających się na zakupy z dużymi rafiowymi torbami oraz jednej starszej pani o wyraźnej sieci kurzych łapek otaczających wyżej wymienione organy.

Oczy te gapiły się na niego, obezwładniając go nieruchomymi spojrzeniami.

Joe Wagner dokonał pospiesznej inwentaryzacji swojej osoby. W jego wyglądzie nie było niczego szczególnego. Obmacał swoją twarz, dotykając chłodnej i nagle bezkrwistej skóry. Normalna. Niczym się nie wyróżniająca. Jedna z wielu w tłumie.

Czyżby w nocy jakiś znany, podobny do niego kryminalista uciekł z Long Bay? Może przypomina ludziom jakiegoś Śpiewającego Gwałciciela?

Joe Wagner czuł, jak wzbiera w nim gwałtowna chęć zakrycia twarzy gazetą, ześliznię-cia się schodami w dół i opuszczenia autobusu na najbliższym przystanku.

- Hej, co tu się dzieje - zapytał opryskliwie jakiś człowiek.

Poniewczasie kilku mężczyzn zauważyło dziwne zachowanie się

kobiet. Raz po raz któryś z nich siedzący obok oczarowanej kobiety - być może mąż, kochanek, krewny lub po prostu mający na nią ochotę - posyłał Joe'emu paskudne spojrzenie i gniewnie mruzczał coś do swej towarzyszki.

Zmasowane damskie spojrzenie ani drgnęło. W powietrzu narastało napięcie, którego Joe, nigdy nie uczestniczący w żadnym festiwalu rockowym ani w koncercie nieboszczyka Presleya w Las Vegas, nie potrafił określić.

W jadącym autobusie wolno rozchodziła się woń dżungli.

Joe poddał się. Trzy miejsca przed nim siedziała dobrze wyglądająca dziewczyna, blondynka o włosach zbielejących od słońca i jasnoniebieskich oczach od Bondi'ego. Joe zrobił najlepszą rzecz, jaką mógł zrobić w tej sytuacji i wlepił w nią wzrok.

Zaczęła gwałtownie dyszeć.

Joe zadrżał. Przed trzydziestu laty widywał zaślepione namiętnością uczennice, wtedy kiedy i jego ogarniała namiętność, nawet jeśli on nigdy nie był obiektem ich zaślepienia.

Te tutaj go kochały.

Każda z nich. Całym sercem, całą duszą.

Były zauroczone.

Joe ukrył twarz w dłoniach, wzdrygając się z niedowierzaniem.

Spojrzał przez palce na apetyczną piękność przed nim i statyczna dotychczas scena eksplodowała ruchem. Z kwikiem niepohamowanej radości młoda kobieta zerwała się z miejsca, przebiegła przez przejście kołyszącego się autobusu i przez niezadowoloną sąsiadkę rzuciła się w ramiona Joe'go Wagnera.

Wybuchło piekielne zamieszanie. Wirowały spódnice, trzeszczały skórzane szorty, a koszyki fruwały w powietrzu, gdy każda z kobiet, od krostowatej uczennicy na przednim siedzeniu do włoskiego typu babuni odzianej w czerń, usiłowała oderwać szczęśliwą blondynkę od zaskoczonych obiektów ich szalonej namiętności i zagarnąć go dla siebie.

Blondynka jęcząc składała mu zatykające dech w piersi propozycje, obejmując go i zasypując mu twarz lepкими pocałunkami posiadaczki. Za nią, pod nią i na niej toczyła się gwałtowna walka o nieśmiałego przeciętniaka - Joe Wagnera.

Z dolnego pomostu nadciągnął konduktor, powiększając ogólny harmider swoimi ochryplymi i zupełnie niezrozumiałymi pytaniami.

Mężowie skoczyli w wir potyczki, usiłując okiełznać swoje rozszalałe połowice.

Do akcji wkroczyły prawa fizyki.

Ciężar wszystkich ciał próbujących dostać się do jednego siedzenia przy oknie zakręcającego właśnie autobusu spowodował, że pojazd gwałtownie się przechylił. Ludzie obijali się o szyby i metal.

Jęki i zawodzenia dodały emocjonalnego kolorytu całemu zamieszaniu. Pasażerowie z dolnego pomostu poczęli się przepychać do góry, żeby zobaczyć, co się właściwie stało.

A stało się to, że Joe zaczął się dusić.

Konduktor, przypomniawszy sobie kilka zawodowych sztuczek, jakich nauczył się pod-czas ewakuacji Sajgonu, wydobył się z kłębowiska walczących ciał, złapał składany parasol jakiegoś gościa z Melbourne i dzierżąc go jak miecz zablokował schody. Z tej pozycji mógł sztychem odpierać ataki ciekawskich szturmujących z dołu, a od czasu do czasu zadać celny cios kotłującym się z tyłu.

Spurpurowiały na twarzy i tracący przytomność obiekt pożądanego rozpaczliwie próbo-wał wyrwać się spod stosu ludzkich ciał.

Blondynka wciąż jeszcze na nim wisiała, a jakaś inna dama, zapewne wiedziona chęcią zdobycia unikatowej pamiątki, rwała mu z głowy resztki włosów.

Świadomość Joe'go nie wierzyła w to, co się stało. Zakopała się głęboko w zwojach kory mózgowej i drżącym głosem liczyła barany.

Wreszcie do głosu doszły pierwotne instynkty *Australopithecusa boisei*. Pierś Joe'go wezbrała potężnie. Nabrał tchu. Kierowca autobusu w końcu zorientował się, że ma kłopoty i nadepnął na hamulce. Nie namyślając się ani chwili, Joe gwałtownym szarpnięciem otworzył połówkę najbliższego okna, konwulsyjnym ruchem odbił się od siedzenia i wyprysnął przez wąski otwór jak przyduża paczka wciśnięta przez listonosza w zbyt małą szparę na listy, z tą jedynie różnicą, że Joe nie został odkształcony nieodwracalnie. Blondynka trzymała go za kostkę, lecz wyśliznął się jej jak żaba w chwili, gdy autobus znowu ruszył.

Szeroka, płócienna markiza sklepu „Naturalne Zdrowe Smakołyki Roślinne” sięgała niemal do samego krawężnika i to właśnie jej skraj uchwycił się rozpaczliwie szukający jakiegoś oparcia Joe.

Przez moment wisiał wysoko nad brukiem, trzymając się drewnianej ramy. Spojrzały nań liczne, zdumione twarze, ale nie

trwało to długo. Z głośnym trzaskiem, przypominającym odgłos, jaki wydaje polisa ubezpieczeniowa, gdy próbujesz z niej skorzystać, markiza pękła pośrodku i Joe poleciał na łeb na szyję na spotkanie cynicznie twardego, betonowego chodni-ka.

Rozdział dziewiąty

- Uwolnić więźnia!

Hsia Shan-yun z trudem wyzwoliła się ze smagających wici piekącego bólu i usiadła, patrząc mętным wzrokiem na twarz siwowłosego, unoszącą się nad nią na holograficznym ekranie. Ogromne wargi wydeły się z niesmakiem.

- Nie może pani uciec, panno Hsia. Panie Turdington, proszę wstać, jeśli łaska.

Turdington Jimbo, który przedziwnym trafem nie poniósł żadnego szwanku, wyprostował się bojaźliwie i zaczął odsuwać się od skrzywionej z bólu towarzyszki.

- Przykro mi, dziecino. Wiem, że moglibyśmy poszaleć, kapujesz? Gdybyśmy spotkali się w bardziej sprzyjających... na przykład... no, wiesz... Szanowanko gruczołom, mała, bez kitu.

Shan-yun rzuciła krótkie spojrzenie zmykającemu rozplodowcowi i znów popatrzyła na olbrzymi wizerunek biurokraty. Potrząsnęła głową i odczuwając to tak, jakby z szyją łączyły ją rozżarzone druty i klamry.

- Panno Hsia, jestem pani lekarzem. Ta psychodrama potwierdza ponad wszelką wątpliwość diagnozę zatwardziałej dewiacji postawioną przez przesłuchujące panią komputery.

- Co!? Ty załgany wariacie, ja nie byłam przesłuchiwana! Właśnie ocknęłam się w tej parszywej celi...

- Oczywiście, przesłuchanie przeprowadzono, gdy była pani nieprzytomna. To było godne pochwały, efektywne działanie, ponieważ techboty i tak musiały panią uspić, aby wy-dobyć Pasiastą Dziurę, którą ukryła pani w swoim ciele.

Turdington Jimbo nadal ukradkiem cofał się w głąb korytarza.

Hsia spojrzała na niego z budzącym się zrozumieniem.

- Jimbo! Czy ten kutas chce powiedzieć, że ty...

- Ja tylko wykonywałem swoją robotę, kochaniutki - zakwilił.

Dysząc zemstą, prawie dopadła go jednym gwałtownym, konwulsyjnym skokiem, gdy ściana korytarza wybrzuszyła się, rozwarła, wypuściła mackę i wciągnęła wściekle wierzgają-cego kapusia.

Ogromne usta na ekranie wydeły się i westchnęły.

- No proszę. Całkowity brak opanowania. Jest pani pożałowania godnym atawizmem, panno Hsia, genetyczną pomyłką, którą musimy naprawić.

Shan rozpaczliwie rozejrzała się wokół, obmacując silnymi palcami ściany i podłogę. Babel zniknął i zasklepił się. Była w potrzasku, skazana na łaskę i niełaskę przeszywającego ją wzrokiem lekarza. Skóra na jej ciele zdawała się kurczyć, mięśnie drżały i wydawało jej się, że każdy nerw ma zaznaczony na czerwono-niebiesko i trzeszczący przepływającą elektrycznością. Wyglądała jak dzikie zwierzę z ilorazem inteligencji równym 150.

- Wyleczenie pani przekracza możliwości psychotechniki dwudziestego drugiego wie-ku. Pozostało mi tylko jedno. Zostanie pani zabrana stąd i poddana...

- Praniu mózgu! - to słowo wytrysnęło z jej ust jak krew.

- Ależ skądże! Bierze nas pani za dzikusów?

Usta Shan wykrzywił grymas, określający przez autorów trzeciorzędnych czytadeł mia-nem „niewesołego uśmiechu”. Pewne jest, że w tym momencie niewiele miała powodów do chichotu.

- Tak zwane „pranie mózgu” to po prostu dogodny wymysł, służący jako straszak na zboczeńców. Nie jesteśmy potworami, niezależnie od obrzydliwych tez pani pokrętnej filozo-fii.

- Ale Pluskwa powiedziała...

- Jednostkę KS749 zaprogramowano do psychodramy, która była sprawdzianem pani wierności wobec Państwa. Proszę pozwolić mi mówić dalej. Nie pozostawia nam pani żadnej alternatywy prócz Hyperspacyjnej Restrukturyzacji Morfologicznej

Musieliście już zauważyć, w jak irytujący sposób biurokraci i politycy lubią upraszczać rzeczy naprawdę skomplikowane, rozdając swoje Nagrody Złotego Runa ludziom, których wyobraźnia oraz rozmach myślenia skazuje na kuśtykanie za niknącym w dali

parowozem historii i wynosząc na piedestał gładko gadające miernoty.

To, co lekarz zamierzał zrobić Hsia Shan-yun, przełożone na ludzki język, było równo-znaczne z amputacją większej części każdej z jej kończyn, chirurgicznym usunięciem wszy-stkich cech odróżniających ją od bezbarwnych rówieśniczek, z uszkodzeniem rogówki dla upośledzenia zdolności widzenia, z nafaszerowaniem narkotykami dla ośpienia umysłu, czyli ogólnie rzecz biorąc, ze zmianą oszałamiająco brzydkiego stworzenia, jakim była, w standardowego osobnika z końca dwudziestego drugiego stulecia.

- Kiedy pani stan zdrowia ulegnie orto-retro-poprawie, przetransportujemy panią do gwiazdoportu Strefy Pacyficznej, skąd zostanie pani odprawiona w miejsce dożywotniego zesłania, a mianowicie do Karnego Świata ZRL25591. W towarzystwie innych skazanych dewiantów spędzi tam pani resztę życia, na zawsze pozbawiona tych udogodnień i zalet cywi-lizacji, które uważa pani za tak dokuczliwe. Wyrok zapadł.

Twarz mówiącego zmniejszyła się do małego, świecącego punktu, a i ten szybko zni-knął. Światła korytarza zgasły, pozostawiając Hsia Shan-yun w kompletnych ciemnościach. Rozległ się syk gazu. Jednak Hsia Shan-yun nie sprawiło to już żadnej różnicy. Nawet jeśli znajdujecie się w stanie najwyższego pobudzenia, gotowi walczyć na śmierć i życie, drapać i gryźć, a wasz ośrodkowy i obwodowy układ nerwowy łączy jedna myśl, zdarzają się sytuacje po prostu zbyt okropne, aby stawić im czoła.

Przykładem takiego właśnie wyzwania rzuconego przez los jest perspektywa skrócenia wam wszystkich dłuższych części ciała, abyście się zmieścili na prokrustowym łożu.

Zanim jeszcze gaz zaczął wypełniać korytarz, Hsia Shan-yun padła jak podcięta.

* * *

W przybliżeniu 197 lat wcześniej, plus minus kilka godzin lub dni, Sopwith Hammil poczuł się naprawdę niedobrze.

- Słońce? - zabeczał słabo. - Zgaśnie?

Oniemiały, odwrócił się i zupełnie odruchowo nalał sobie whisky z lodem. Z dzwonią-cym szkłem w ręku, potykając się dotarł do obitego skórą fotela stojącego obok sofy, na któ-rej obcy niedbale

wymachiwał jednym ze swych dolnych odnóży.

- Wyjaśnijmy to sobie - powiedział redaktor, wydychając gęste opary whisky przy każdym słowie. - Jesteś z kosmosu, tak? Jesteś stworem z innego świata?

- Licz się ze słowami! - warknął insekt. - Nie podobają mi się implikacje tego bełkotu. Chociaż jesteśmy zmuszeni porozumiewać się za pośrednictwem waszego ułomnego i opłaka-nie prowincjonalnego języka, wolelibyśmy - gdybyśmy istotnie, co nie jest prawdą, pochodzi-li spoza Ziemi - aby mówiono o nas jako o dżentelosobie z innego świata.

Niewiele z tego docierało do Sopwitha.

Odkrył, że wciąż jeszcze ma w dłoni butelkę. To sugerowało wychylenie kolejnego kielicha. Z wdzięcznością przyjął tę sugestię i zastosował się do niej. Przełknął trunek jednym haustem.

- O rany! - w oszołomieniu potrząsnął głową. - Tak nagle. Słońce. Zmusił się, by obejrzeć obcego od stóp do głów.

TO wyglądało gorzej niż myślał w pierwszej chwili.

Owalny, łuskowaty łeb był najmniej obcą cechą tamtego. Reszta była po prostu okropna: chitynowy, segmentowany tułów; owłosione, wielostawowe, patykowane odnóża; brzuch, który zwisał jak u zaniedbanego, przepracowanego konia pociągowego, różniąc się od niego tylko obecnością małych, sterczących, pokrytych szczecina brodawk.

Sopwith cicho zakwilił, nalał sobie, wypił, czknął, zakrył dłonią usta, a potem twarz, przez dłuższą chwilę dygotał solidnie, aż wreszcie, z godną pozazdroszczenia przytomnością umysłu cechującą wytrawnego telewizyjnego dziennikarza, który oglądał więcej porozrywa-nych i zmiżdżonych w wypadkach samochodowych ciał ludzkich niż przeciętny człowiek widział zgniecionych karaluchów, wziął się w garść.

- Przepraszam - powiedział do obcego. - Proszę kontynuować swoją opowieść. To był dla mnie szok, to wszystko.

- Dlaczego „szok”? Parafializm. Niesmaczne, gruboskórne i - rzecz można - prowincjo-nalne.

- Nic na to nie poradzę - rzekł Sopwith nieco opryskliwie. - Nigdy jeszcze nie widzia-łem stwo... osoby z kosmosu.

- Nie jestem z kosmosu, imbecyłu! - wrzasnął potwór. - Czy ja wyglądam na kogoś z kosmosu?

Sopwith nic nie powiedział. Czasami tak jest najlepiej.

- Reprezentuję pewne stronnictwo polityczne z czterdziestego siódmego wieku - oznajmił insekt z widocznym zadowoleniem. - Obecnie odsunięto nas od władzy, lecz niebawem znów ją obejmiemy. Na zebraniach przedwyborczych otrzymujemy spore poparcie. Przeciętny obywatel nie będzie dłużej siedzieć cicho, podczas gdy...

- Polityczne - wymamrotał Sopwith. Jego umysł uczeplił się pierwszego znajomego słowa i odrzucił pozostałe. - Dlaczego do mnie? Czemu nie do premiera? Przemysłowcy, faceci faktycznie sprawujący władzę? A w ogóle, na Boga, dlaczego właśnie Australia? Spodziewałbym się raczej, że zasiądziesz w Białym Domu albo na Kremlu; co do cholery...

Owad wydał krótkie prychnięcie. Spojrzał w sufit.

- Gdyby był pan tak bystry, jak zapewne przypuszczali moi koledzy, bo to oni umieścili pana na mojej liście, natychmiast zrozumiałby pan powód.

Sopwithowi opadła szczęka. Przez chwilę ktoś, kto przypuszczałby, iż redaktor zaraz wybuchnie płaczem, nie byłby daleki od prawdy.

- No cóż, nie mam czasu, by zastanawiać się nad ich oceną - powiedział obcy z rozdrażnieniem w głosie. - Jednak ich tok rozumowania jest oczywisty. Pomyśl, człowieku. Osobnicy, których pan wymienił, jako rozplodowcy najlepsze lata mają już dawno za sobą.

- Słyszałem co innego - wymamrotał Sopwith.

- Nie mam ochoty dyskutować o ich małych, paskudnych łóżkowych sekretach - powiedział z godnością przybysz. - Mówimy tu o przetrwaniu gatunku, a nie o zabawach w komórki do wynajęcia. Pański świat za kilka godzin zostanie zamrożony, a pan chce wymieniać ze mną kuchenne plotecki. O tępoto!

Sopwith zerwał się na równe nogi.

- Wojna światów?! - wrzasnął. - Inwazja! Zamierzacie zniszczyć Ziemię!

- Siadaj, ty cholerny głupcze.

Insekt z kieszeni na piersi wyjął cienkie cygaro i zapalił je cienką smugą zielonego, ostrego światła, które wytrysnęło mu z czoła. Umysł Sopwith przeszyła igła zwątpienia. Nie wydawszy głosu z impetem opadł z powrotem w swój cudownie wygodny, skórzany fotel.

- Uważaj. Powiem ci to tylko raz. Wasze Słońce ma być wyłączone przez moich politycznych przeciwników z Partii Konserwacjonistów Energii Słonecznej. Zostawią włączonego pilota, ale w ciągu najbliższych tygodni wasze oceany zamrzną, a większość atmosfery ulegnie skropleniu i spadnie na Ziemię.

- Dlaczego? - krzyknął Sopwith zamierającym głosem. - Dlaczego ktoś z przyszłości chciałby zrobić taką okropną rzecz swoim przodkom?

- Stwierdzam, że nie jest to aż tak trudne do zrozumienia, mimo iż chodzi o moich przeciwników politycznych. Czy zrobiliście cokolwiek dla swoich potomków? Pozbawiliście ich wszystkiego - oto co zrobiliście. Zużyliście wszystkie zapasy. Ogołociliście planetę. Przerobiliście nieodnawialne zasoby surowców na płaskie ekrany edytorów tekstów i kasety wideo z Dolly Parton. Zakręcają wam kurek, panie Hammil, i choć nie pochwalam ich działań, szanuję ich prawo do własnego zdania.

- Nie rozumiem! Dlaczego Słońce? Czemu nie... no nie wiem - dlaczego nie zabiorą całego uranu lub czegoś w tym rodzaju? Czy oni nie są przeciwnikami nadużywania energii jądrowej?

- Ależ oczywiście, że są! A jak myślisz, czym jest Słońce, ty kretynie? Termonuklearnym reaktorem. Spala prawie pięć milionów ton gazu na sekundę. Czy masz choćby mętne pojęcie o tym, jaki to daje rachunek za paliwo? Mówimy o 3,86 razy 10³³ ergów na sekundę. To nie w kij dmuchał. Z punktu widzenia czterdziestego siódmego wieku to potworne marno-trawstwo. Dlaczego wszystko to ma przypaść ludzkiej rasie stojącej na tak niskim szczeblu drabiny ewolucyjnej? Powiedz mi!

Oczywiście, ślina, którą w trakcie przemowy zapluł się owad nie doleciała do Sopwitha, oddzielona od jego rzeczywistości Hyperprzestrzennym Zakrzywieniem Łączącym.

- Zaczekaj. Czy to twoje poglądy, czy poglądy twoich politycznych przeciwników?

- Mój Boże, czy ty mnie w ogóle słuchasz? Sądysz, że lubię robić takie rzeczy? Czy spędza się niedzielne wieczory w takim przekłętym, dusznym, lepkiem środowisku, jakim jest wasz parszywy wiek dla przyjemności? Nie, na pewno nie.

- Po prostu wyjaśnij mi coś. Ci źli faceci to twoi przeciwnicy, tak?

- Wie pan co, panie Hammil, to... naprawdę... niezwykle celne semantycznie pytanie. Dynamit. „Żli faceci”. Pyta pan mnie, czy ja jestem jednym z tych „złych facetów”, czy może moi wrogowie są „złymi facetami” i naprawdę oczekuje pan sensownej odpowiedzi. Bracie! Ależ okazy mi podrzucają. Bracie.

Obcy raz po raz przerywał swoją przemowę, aby wydmuchnąć dym z pyska i potrząsnąć głową.

Zmiażdżony jego słowami Sopwith wymamrotał:

- Czy jest coś, co mogę zrobić, żeby pomóc wam ich powstrzymać?

- Teraz już za późno na takie rzeczy - powiedział stanowczo insekt. - Nie. Przykro mi, ale dawno już minął moment, w którym można by naprawdę interweniować na większą skalę. Jednak...

- Tak? Tak? Jednak..?

- W mojej maszynie czasu jest dostatecznie dużo miejsca, aby wybrani przedstawiciele ludzkiej rasy przenieśli wasz gatunek z tej epoki do innej. Otóż i odpowiedź na pańskie poprzednie pytanie. Stare wałachy odpadają. Szukamy młodych, krzepkich, inteligentnych i przewidujących.

Przygnębienie Sopwitha zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Poczul, że pierś wzbiera mu dumą, a na usta wypływa słynny, męski uśmiech.

- I właśnie dlatego ja znalazłem się na tej liście?

- Przyznaję, że niełatwo w to uwierzyć.

Uśmiech Sopwitha zniknął.

Nie zwracając na to uwagi, potwór dodał:

- Oglądaliśmy programy telewizyjne i taśmy wideo z waszej epoki. Najwidoczniej Sym-biotyczny Komputer znalazł na nich pański obraz i przekazał mojemu pokładowemu mózdz-kowi, że warto pana zabrać. Choćby mnie zabito, nie potrafię domyślić się, co go do tego skłoniło, ale w końcu on ma w głowie o wiele więcej tadekwarek niż ja i prawie nieskończone-nie więcej niż pan - co widać na załączonym obrazku.

- Może istnieje jakiś związek środowiskowy - podsunął Sopwith z nadzieją w głosie. - Być może oglądaliście mój ostatni program specjalny o wydobywaniu uranu i niszczeniu lasów, i potrzebie wykorzystania energii słonecznej...

- Dość bicia piany! Wszystkie informacje otrzyma pan na

poładzie. Teraz bierzemy pańską towarzyszkę i natychmiast przyskamy.

Po świeżo umyтым ciele Sopwitha przebiegł nieprzyjemny dreszcz okropnego podejrzenia.

- Mojaa... towarzyszkę?

- Na Krisznę! Twoją małżonkę. Partnerkę póki śmierć was nie rozłączy. Lepszą połowę. Prawnie zaślubioną. Żonę. Twoją towarzyszkę, tępy Ziemiannie!

- Nie jestem żonaty - powiedział Sopwith cichutko. - Jestem kawalerem.

Obcy spojrział na niego jak ktoś, kto ujrzał łeb halibuta omawiającego znaczenie konsekwentyzmu w niespokojnych czasach.

- Nic nie szkodzi - dodał Sopwith, nabierając otuchy. - Chętnie obsłużę te wszystkie słodkie klaczki, które do tej pory na pewno już zebraliście.

Wstał i sięgnął po swoją skórzaną kurtkę.

- Co nas zatrzymuje, koleś? Ruszajmy.

- Coś ty powiedział?

Na owadziej twarzy istotnie pojawił się wyraz moralnego oburzenia, estetycznego nie-smaku, socjoseksualnego oburzenia i międzygatunkowej, siostrzanej solidarności.

Sopwith cofnął się o krok. Skurczył się z przerażenia.

- Przepraszani, ja... Chciałem powiedzieć...

- Parodia etycznego postępowania! Gdybym miała bat, wychłostałabym cię, młodzieńcze! Ośmielasz się stać tutaj i chełpić swoją gotowością do kopulacji z kobietą, której nie jesteś dogonnie poślubiony? Co za bezwstyd! Co za bezwstyd!

- Nie, nie, miałem na myśli...

- Najwidoczniej Symbiotyczny Komputer popełnił ewidentną pomyłkę! Kolosalny obciach. Przez sto trzy stulecia i na dwukrotnie większej ilości światów nie słyszałam czegoś tak nieprzyzwoitego!

W pokoju rozległ się przenikliwy, elektroniczny pisk.

- Sygnał do powrotu. Czas się kończy.

Sylwetka okropnego stworzenia lekko zmętniała. Jego ciało zaczęło powoli znikać, a głos cichł stopniowo, jak żalosne westchnienie wartego 600 milionów dolarów satelity komunikacyjnego odpalonego z kosmicznego promu na złą orbitę.

- Pozostało ci jeszcze kilka godzin życia - usłyszał Sopwith

słabnący głos insekta - na rozmyślania o twojej odrażającej niezdolności do założenia rodziny.

Rozdział dziesiąty

Sopwith nie był, rzecz jasna, jedyną inteligentną osobą we Wszechświecie mającą kłopoty sercowe.

Jak Droga Mleczna długa i szeroka, pośród dziesiątek tysięcy parseków i setek milio-nów gwiazd spalających się w tempie określanym przez ich położenie na diagramie Hertz-sprunga-Russella (z wyjątkiem gwiazd gaszonych przez stukniętych konserwacjonistów) isto-ty małe i duże łkały i szlochały, uderzały membranami grzbietowymi o wici, ronily słone me-tanowe łyzy, skręcały i szarpały mokre koronkowe chusteczki, łamały sobie serca, ślubowały wierność, smurgowały i ludłowały jedna drugą pod Wielkim Świszczącym - Księżycem i - najogólniej rzecz biorąc - zajmowały się dostarczaniem materiału autorom powieści serii Millsa & Boone'a.

Wicie, wszystkie szczęśliwe rodziny są podobne do siebie, ale każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób.

Choć dość niezwykle, twierdzenie to jest prawdziwe nawet na Alfa Szekli - jedynym pobliskim świecie zamieszkanym głównie przez myślące maszyny.

W wigilię Bożego Narodzenia, i zresztą w każdą inną wigilię także, nie porusza się tam nic żywego, nawet myszy. Właściwie to myszy pierwsze zniknęły z Alfa Szekli, która, jak już wspomniałem, została zasiedlona dość dawno temu przez potomstwo jednej w pełni autono-micznej myszołapki, pozostawionej na żywej powierzchni niewinnej planety przez niedbałe-go, międzygwiazdowego gościa.

Każda samopowielająca się maszyna, obojętnie jak bardzo prymitywna (a trudno zna-leźć coś prymitywniejszego od myszołapki) ulegnie mutacji, jeśli da się jej dostatecznie dużo czasu.

Nie ma w tym nic tajemniczego. Nie ma potrzeby zakładać, że istnieje jakieś dobro-czynne bóstwo, które stworzyło żyjące maszyny na obraz i podobieństwo swoje. Aby wyja-śnić, jak to się stało, że z jednej mizernej rodziny głodnych myszołapek rozkwitło tykające,

brzęczące, cwanotrybiaste, miedziopłenne mechaniczne środowisko istniejące dziś na nagiej powierzchni Alfa Szekli, zupełnie wystarczają prawa neodarwinizmu uzupełnione ostatnimi komentarzami do Zasady Niezrównoważonej Homeostazy.

Nie jest całkowitą prawdą twierdzenie, że nie ma tam w ogóle organicznego życia. Od 1937 roku spora, nosząca dwuogniskowe okulary zielona jaszczurka z sąsiedniej, wilgotnej planety Gamma Globulin piastuje dosyć odpowiedzialne stanowisko w najważniejszej gazecie stołecznego miasta zwanego Skałokruszczycem.

Oczywiście, żaden z czytelników nie zna jej nazwiska. Jeszcze mniej spośród nich zdaje sobie sprawę z tego, że redaktor ich ulubionej kolumny w codziennej gazecie jest organuchem i jak się domyślacie, ta tajemnica jest niezwykle pilnie strzeżona przez tych nielicznych, którzy o tym wiedzą.

Dzięki zabawnemu zrządzeniu losu - jednemu z tych, jakie tak często wykorzystują cyniczni gracze na wyścigach i pucybuci - udowodniono, iż nikt prócz istoty organicznej nie może prowadzić poważnej, wzruszającej rubryki Złamanych Serc.

Maszyny krwawią - to prawda. Może to być raczej smar niż rzadka, wodna zawiesina płytek, krwinek, białych ciałek, albumin, fibrynogenu, rozpuszczalnych odpadków azotowych i neuromediatorów udających się do pracy lub wracających z niej, ale ciachnij którąś palni-kiem, a zobaczysz czy nie krwawi. Ich pompy, podobnie jak ludzkie, mogą pęknąć od nieod-wzajemnionej miłości, w anodowych klatkach piersiowych mogą się równie dobrze kłębić uczucia jak liczby typu *boolean*; pod wpływem impulsów żądz mogą popełniać morderstwa lub szalone, heroiczne czyny. Jednak z jakiejś przyczyny nie mogą zdobyć się na zrozumienie i umiejętność wczucia się w położenie innej osoby - cechy nieodzowne na stanowisku redaktora działu listów od czytelników.

Oto powód, dla którego wywodząca się z dość zamożnej rodziny rencistka, brontome-gazaurzyca nazywana Emilia Aardwimble jako królowa Złamanych Serc rządzi na Alfa Szekli całym światem udęczonych, chorych z miłości i niepokoju, wiernych robocich rodziców, dzieci, zakochanych pannie i zwojogłowych młodzików podejrzanego autoramentu.

Tego ranka, o którym chcę wam opowiedzieć, kiedy to miały miejsce wypadki mające istotny wpływ na losy wszystkich w nie

zamieszanych, wśród których - tak się składa - nie znalazł się Sopwith Hammil, Joe Wagner, O'Flaherty Gribble, Hsia Shan-yun ani żadna z postaci, które do tej pory poznaliśmy, tego ranka, powiadam, robot imieniem Bruce Dioda zasiadł do śniadania ze swoją żoną Sally.

Nie byli szczęśliwym małżeństwem.

- Może i jestem, jak twierdzisz, starym kretynem - zauważył pan Dioda. - Ale ty, na dodatek, jesteś niechlujną starą kretynką.

Mówiąc to, jednym wysięgnikiem szuflował sobie grafit do otworu na minerały odży-wcze, łokciem drugiego przytrzymywał otwartą książkę i siorbał lekki smar z puszkii trzyma-nej w trzecim. Pomiedzy jednym a drugim wsadem zręcznie kruszonego grafitu wyjmował, polerował i wkładał na miejsce czyste soczewki swoich tylnych wizjerów, nie przestając wchłaniać i nie odrywając przednich optali od książki.

- No tak! - częste powtarzanie tego zwrotu przez panią Diodową już dawno stepiło tkwiący w nim cieriń oburzenia. - Czasami zastanawiam się, dlaczego w ogóle wyszłam za...

- ...takiego półgłówka i debila jak ty - wpadł jej w słowo Bruce Dioda, mówiąc jak z płyty. Te codzienne pogwarki brzmiały, jak robocim gambitem konwersacyjnym przystało, odrobinę mechanicznie.

Nie odrywając wzroku od książki znowu siorbnał, zgarniał resztki pożywnego, choć z trudem mogącego uchodzić za smaczny grubego, szarego pyłu, dziewięcioma dziesiątymi swojego jestestwa pogrąony w urokliwym, chociaż niebezpiecznym świecie straszliwych zbrodni, twardych prywatnych glin i ciętych dialogów.

Po drugiej stronie warsztatu śniadaniowego przeglądająca poranną gazetę Sally Dioda odwróciła stronę z działem rozrywek i zaczęła czytać swoją ulubioną rubrykę.

Po ślubie nabyła zwyczaju rannego czytania gazet. Widziała zbyt wiele komedii sytuacyjnych, w których głusi na wszystko mężowie kryli się za płachtami gazet, by pozwolić na to Bruce'owi.

Mimo iż w wyniku takiego posunięcia i tak nie widziała męża, już jej na tym nie zale-żało. A nowe ploteczki były daleko bardziej interesujące niż liczenie ilości zadanych ciosów w kieszonkowym wydaniu najnowszego, ociekającego sadyzmem dreszczowca.

Prawda była taka, że ich małżeńskie rozmowy szybko zmieniły się w swego rodzaju rytuał. Jeśli nieco wykraczali poza ustalony

algorytm, każde z nich czuło się wytracone z równowagi i dotknięte bardziej niż zwykle. Przestrzegając codziennych procedur potwierdzali świadomość swojej wspólnej egzystencji, unikając przy tym rzucania jej brutalnego wyzwania.

Bruce obrócił górne wizjery w szczytowej części swojej skrzynioczeszki o dokładnie taką ilość stopni, jaka była potrzebna, aby dostrzec umieszczony tam, ciekłokrystaliczny licznik czasu. Miał siedemnaście minut na dostanie się do miasta. Wykonał automatyczne obliczenia. Jedenaście i pół minuty wystarczyło, by podwiesić się do trakcji, dojechać do biu-ra, zaparkować w podziemnych garażu, wjechać podnośnikiem na czwarte pięto, przemknąć korytarzem i wpasować się w swój pulpit. Pozostało mu dokładnie tyle czasu, ile potrzebo-wał, aby skończyć rozdział i wydalić zbędny ładunek.

- Powinnaś się cieszyć, że w ogóle ktoś cię poślubił - rzucił obojętnie, modyfikując nie-co formułę ich dialogu.

Chwyciwszy rurę wyładowczą, skierował ją ku klapie brzusznej, wcisnął w odpowiedni otwór i poczekał aż wytworzy się odpowiednie podciśnienie, aktywujące czerwoną lampkę.

Nawet nie zauważył, że oświetlające kopułę nad nimi, jasne, bogate w promienie X słońce Alfa Szekli pocałowało go w skrzynioczeszkę. Wizjery miał przykute do książki.

Bruce Dioda w znacznym stopniu przypominał jedną z pierwszych, singerowskich ma-szyn do szycia, w których zastosowano prowadnicę nici, z niewielkim dodatkiem pozbawio-nego gustu, japońskich zabawek militarnych. Nie bez pewnego trudu poruszał się na czterech grubych, mocno sfatygowanych kółkach i, o ile to tylko było możliwe, wołał przemieszczać się korzystając z publicznych podwieszaczy.

Jego żona, Sally, przypominała artystycznie zaprojektowany odbiornik radiowy, z tych co to lśnią politurowanym drewnem, a po nagraniu wydzielają zapach palonego bakelitu, których panel kontrolny lśnieniem żółtych lampek i łagodnym pomrukiem przywodzi na myśl łagodnego kota, które mają pięknie wygrawerowaną skalę zakresów na podświetlonym pół-okręgu i duże gałki pokręteł do regulacji barwy i natężenia dźwięku.

- Bruce! To co powiedziałeś, jest dokładnie tym, co Meg Łagodne Serce nazywa tu „ostatnią kroplą goryczy” - powiedziała zaskoczona Sally.

Gazeta, otwarta na rubryce „Zawiedziona miłość” opadła sprzed jej panelu czołowego z szeleszczącym odgłosem gwałtownie składanego papieru. Przyjrzała się bacznie nieco po-rdzewiałemu już mężowi, zaskoczona tym, że jego pogląd zgadza się z poradą redaktorki.

- Nie wspominaj mi więcej o tej natrętnej, wścibskiej cholerze - powiedział ostro Bruce.

Oderwał wszystkie wizjery od swojego dreszczowca. Mimo rozdrażnienia spowodowanego faktem, że Sally złamała śniadaniową tradycję, w porę przypomniał sobie, że jeśli na całej Alfie Szekli było coś, czego nienawidził bardziej od czegokolwiek innego, to pakujących wszędzie swoje dzioby redaktorów rubryk dla samotnych i zakochanych.

- Tania psychologia - prychnął. - Bzdury dyletanta. Powinno się ją wyłączyć za uprą-wianie czarów bez zezwolenia.

- Ach tak! - Sally odczuła wewnętrzną radość łamiąc monotonię znormalizowanego programowania i ochoczo stając w obronie swej bohaterki. - Meg Łagodne Serce jest najwra-żliwszą maszyną na świecie!

- Ha! Cóż ty wiesz o wrażliwości!

Pani Diodowa ostentacyjnie strzeliła wyłącznikiem.

- Szkoda, że tak niewiele maszyn interesuje się uczuciami innych - powiedziała, obrzu-cając męża wyniosłym, miażdżącym spojrzeniem.

Odpowiedział prychnięciem i donośnie zazgrzytał trybami.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby te jej dyrdymały pisała sprzątająca redakcję Pluskwa. A jeśli nie Pluskwa, to jakaś stara, przerdzewiała winda towarowa, która swoją ostatnią szansę straciła pięćdziesiąt lat temu.

Z trzaskiem zamknął powieść i wcisnął na głowę kapelusz.

- Nikt nie nadaje się lepiej do udzielania porad od niereproduktywnej sztuczniachy.

Panel Sally stał się nagle biały. Cyfry zbladły. Jej manipulatory otworzyły się i zacisnę-ły kurczowo.

- Ty... ty stary koszu na śmieci! - wrzasnęła i wypadła z pokoju.

Bruce Dioda sapnął ze złością słysząc trzaśnięcie drzwi i powtórnie skierował swoje wizjery na zegarek. Zaklął stwierdzając, że się spóźnił. Podczepiając się do trakcji zdrapał sobie farbę z

wywietrznika. Zanim dotarł do pracy był już nieźle wkurzony. Gorące, wilgotne powietrze biura wcale nie poprawiło mu humoru. Po raz pierwszy od wielu lat coś zakłóciło mu codzienny rytym i cały, gładko działający system runął w gruzy.

Sally skrzywiła się słysząc zgrzyt trakcji. Bruce był dziś w szczególności kiepskim nastro-ju. Z westchnieniem wróciła na stanowisko smarownicze i pozbierała lejki. Spojrzała na swój własny zegar wewnętrzny. Bruce spóźni się dziś do pracy. Wrzuciła lejki do zmywarki.

Stojąc przy smarownicy podniosła gazetę i skończyła czytać rubrykę Meg Łagodne Serce.

Dlaczego on musi tak się zachowywać? Zaraz po ślubie było zupełnie inaczej. Litość nad sobą przeniknęła ją zgodnie z efektem Dopplera i Sally zaczęła się zastanawiać, zresztą nie pierwszy raz, czy nie powinni się jednak zreplikować, teraz, kiedy oboje byli jeszcze na tyle nowi, że mogli utrzymać w dozwolonych granicach mutację potomstwa.

Lśniące i czyste lejki wyskoczyły do góry i pustka wypełniająca jej życie ogarnęła ją z miażdżącą siłą.

Codziennie ten sam rytuał. Stała się wołem roboczym. Jakie Bruce miał prawo, by niszczyć jej marzenia? Już jej nie kochał, to było oczywiste. Myślał tylko o swoich głupich, tandetnych powieściadłach, o swoich policjantach, tajnych agentach i twardych jak stal prywa-tnych łapsach.

Straszne przypuszczenie wpadło jej na dysk pamięci bieżącej. Czyżby Bruce miał romansik z jakąś drukareczką z biura? Z jakąś szybką operatorką dwukierunkowej igłówki klasy NLQ?

Myśl o tym była nie do zniesienia. Megabajt upiornych, kreślonych ponurymi barwami obrazów przemknął przez jej bufor wideo. Sally pochyliła się nad smarownicą, oddając się wstydom i upokorzeniu.

Wkrótce jednak jej wybuch pobiegł ustalonym trybem. Wykonała samoinicjację syste-mu, podtoczyła się do lustra, uważnie przyjrzała się swojej sztywnej, choć nieco niemodnej obudowie i ciepłej poświacie neonówki rozjaśniającej jej skalę.

- Nie jestem jeszcze taka stara - mruknęła. - Prawie żadnych zadrapań, niech to szlag.

We wszystkich jej obwodach zapaliła się pełna determinacji myśl.

- Wepchnę mu kij między szprychy - powiedziała do swego odbicia. - Nie tylko on może robić takie numery. Moja rola cierpliwej kury domowej skończyła się na dobre!

Sally obróciła się i gdy jej wizjery przesunęły się po bocznych lustrach toaletki bezli-tosne promienie słońca Alfa Szekli ukazały jej sfatygowane dźwignie i podniszczoną osłonę chłodnicy. Opuściła ją odwaga. Potrzebowała wsparcia; moralnego poparcia dla swego nowe-go nastawienia do życia.

Nie ulegało wątpliwości, gdzie powinna go szukać.

- Meg Łagodne Serce! Napiszę od razu!

Bez dalszych ceregieli, Sally Dioda znalazła klawiaturę modemu i - nieświadoma tożsa-mości adresatki - zaczęła odsłaniać swą biedną, mechaniczną duszę przed jaszczurką z parnej Gamma Globulin.

* * *

W południe temperatura w biurze sięgała paru setek. Mimo izolacji i autonomicznych systemów chłodzenia Bruce Dioda czuł się rozbity i wytrącony z równowagi.

Wiedział, że na zewnątrz, w rてciowych basenach, pośród odpadków mineralnych i w palących płomieniach słońca baraszkowały młode maszyny, myślące jedynie o miłości i samopowielaniu.

Dla Bruce'a, któremu olej zalewał soczewki, ten dzień był piekielną udręką.

Przez cały ranek, od samego niepomysłnego początku, czuł się nadzwyczaj podle. On i Sally zabrnęli w ślepy zaułek. Od lat nie chciał spojrzeć prawdzie w oczy. Teraz było to nie-uniknione.

- Niech to szlag! - mruknął na lokalnym paśmie krótkich fal. - Szlag niech trafi!

Kilku młodszych referentów zwróciło nań swe wizjery i pospiesznie znów skierowało je na swoje pulpity, kiedy ich na tym przyłapał. Rozdrażniony, przerzucił pliki z powrotem do pamięci i zakipiał gniewem.

To ta suka Meg Łagodne Serce, pomyślał. Co za kretyńskie nazwisko! Ona wiedziała-by, czego brakuje jego małżeństwa, pomyślał z goryczą. Podałaby mu rozwiązanie problemu w pięciu wierszach, redagując odpowiedź w tak niejasny i zwodniczy sposób,

że mogłaby znaczyć wszystko i nic.

Co nie oznacza, iż w ogóle przeczytałby cokolwiek, co napisała ta idiotka. Nie, lepiej już się całkowicie rozładować. Zmęczony, odchylił się do tyłu, przenosząc ciężar ciała na ty-lne resory.

Przez jedną okropną chwilę statyczne ładunki elektryczne wirowały w jego głównym procesorze. Nagła inspiracja spadła nań jak piorun z jasnego nieba.

- Williamie?

Szczeniak przy sąsiednim terminalu przezornie osłonił wizjery klapkami.

- Tak, panie Dioda?

- Williamie, stary odprysku, czy możesz pożyczyć mi na chwilę swój egzemplarz „Intelligencera”?

- Oczywiście.

Młody mechanizm zdawał się odczuwać ulgę, że tym razem nie będzie się na niego wrzeszczeć. Pogrzebał wewnątrz swojej nogi.

- Proszę, sir.

Bruce skinął głową, odwrócił się tak, by nikt nie mógł zajrzeć mu przez ramię i odszukał „Zawiedzioną miłość”.

Zegar biurowy wyświetlił przerwę południową. Wszyscy prócz Bruce'a podnieśli się i opuścili pomieszczenie.

Pan Dioda przysunął do siebie klawiaturę i zaczął wystukiwać list do wścibskiej machi-ny, której tak bardzo nienawidził.

Rozdział jedenasty

Niektórzy ludzie mężnie stawiają czoła problemem, tak jak to uczynili, każde na swój sposób, Bruce i Sally.

Inni po prostu się poddają.

Znoszą pociski zawistnego Losu.

Patrzają w inną stronę.

Rzną przygłupa.

Sopwith Hammil nie skorzystał z żadnej z tych recept.

Widząc jak jego ostatnia i jedyna szansa ocalenia niknie mu w

nabiegłych krwią oczach jak rozplywająca się ektoplazma, chwycił się za włosy, wydarł sporą ich kępkę i zabecztał ze strachu.

- Przestań się wydzierać, człowieku! - usłyszał słaby, cichnący w dali głos obcego. - Okaż trochę godności odchodząc w niebyt wraz z resztą swego gatunku.

- Poczekaj! O mój Boże! Mój Boże. Czekać! Źle mnie zrozumiałaś!

Skoczył przez salon wyciągając ręce, co zrobiło na niematerialnej postaci obcego takie samo wrażenie, jakie robi na telewizjach wspaniale obsadzony i wystawiony niemałym ko-sztem Festiwal Komedi Szekspirowskich.

- To żart! - wykrzyknął ochryple. - Kawał w złym guście. Oczywiście, że mam partnerkę! Każdy ma partnerkę. Proszę nie odchodzić! Nie dajcie mi zamarznąć!

Niewyraźny kształt ponownie zgęstniał. Mierzący osiem stóp, krzywiący się z dezapro-batą insektoid zmierzył go groźnym spojrzeniem.

- Szczerze mówiąc, panie Hammil, nie chwytam pańskich dowcipów. Jednak cóż, będąc na Marsie zachowaj się jak... Zatem ma pan towarzyszkę?

- Tak, to jest... nieformalnie...

- Co?!

- Proszę poczekać! Widzi pani, właśnie dziś miało to nastąpić - plątał się Sopwith, ocierając pot z czoła. - Właśnie dziś miałem zamiar się oświadczyć. Dziewczynie, którą kocham, no nie? Młodej kobiecie, ot co. Tej osobie. Zaręczeni. Ona powie „tak”. Wiem, że powie. Od dawna próbowała mnie usid...

- Hmm. „Zaręczeni”? To nie znaczy zaślubieni?

- To prawie to samo. Tylko formalna różnica. I, oczywiście, religijna też - terkotał Sop-with - naturalnie i religijna. W dowolnym kościele czy synagodze, jaką zechce pani wskazać. O dobry Boże - zakwilił.

Obca istota podjęła decyzję.

- Przypuszczam, że to już jest coś. Jednak to nie wystarczy. Ile czasu zajmą panu te formalności?

Sopwith na pięć sekund stracił przytomność.

Fala ulgi, tak głębokiej, że usunęła całą krew z jego mózgu i przepchnęła ją do wewnętrznych jam jego ciała, całkowicie

pozbawiła go zmysłów.

Przez następne dwie sekundy, a każda z nich była wszechświatem pikosekund, w trakcie których Symbiotyczny Komputer mógłby obliczyć drogę każdej galaktyki w Kosmosie od chwili Wielkiego Wybuchu do zupełnie dla nas niewyobrażalnego, odległego okresu ich istnienia, ośrodkowy układ nerwowy Sopwitha usiłował zmusić swoje roztrzęsione resztki, by pozbierały się w kupę i zabrały do rozwiązywania Problemu Przerwania Ludzkości, Ze Szczególnym Uwzględnieniem Przetrwania Sopwitha Hammila.

Pół sekundy później, dzięki triumfowi homeostazy i prawidłowego żywienia, jego mózg znów zaczął funkcjonować.

Sopwith wyprostował się.

Jego pęcherz w ostatniej chwili połapał się, że jest bliski natychmiastowego opróżnienia się.

- Za mało czasu - zaskrzeczał.

- A ile go panu trzeba? I o jaki rodzaj „formalności” tu chodzi?

- Trzy dni.

- Dni? Właśnie w tej chwili inżynierowie podłączają chronosferę do termostatu, a pan myśli, że mamy trzy dni na pańskie wygłupy? Trzy godziny.

Sopwith wydał nieartykułowany, zduszony charkot. Odchrząknął i powtórzył to wyraźniej:

- No, to rzymskim targiem. Dzień. Proszę mi dać dwadzieścia cztery godziny.

- Trzy godziny - rzekł niewzruszony insekt. - Proszę wrócić z żoną, a dołączycie do kompletowanej grupy przetrwania. W przeciwnym razie wezmę na pokład o jedną parę mniej. Wtedy będzie po prostu luźniej.

Znów zaczęła znikać, pośród iskier, dymu i elektronicznych popiskiwań.

Zanim zniknęła na dobre Sopwith był pewien, że słyszy odległe i złośliwe, ostatnie ostrzeżenie:

- I proszę nie zapomnieć o dostarczeniu oficjalnego poświadczenia o zawarciu związku.

Rozdział dwunasty

Jeżeli kiedykolwiek stwierdzicie, że ktoś idzie na was z Hyperprzestrzennym Restrukturyzátorem Morfologicznym w rękú, jedyną radą jakiej mogę wam udzielić jest ta, żebyście wiali co sił w nogach w przeciwnym kierunku.

A biegnąc szukajcie w kieszeniach kapsułki z cyjankiem.

Jeżeli znajdziecie, weźcie ją w zęby i mocno zagryźcie. Przy odrobinie szczęścia po kilku minutach będzie martwi i już was nie dostaną.

Hsia Shan-yun nie miała tyle szczęścia.

Ocknęła się sztywna i obolała. Kiedy przesunęła ręką po piekącej twarzy stwierdziła, że nic się w niej nie zgadza.

Na kosmicznych transportowcach nie ma toaletek, ale gdy jej oczy odzyskały zdolność widzenia - na ile można tego oczekiwać od oczu po hyperprzestrzennym zarysowaniu rogówki - spostrzegła natychmiast, że gdy była naszprycowana, chirurdzy naprawdę zapracowali na swoje pensje.

Jej nogi miały teraz nieco mniej niż połowę poprzedniej długości i były solidnie zniekształcone.

Drżąc, podniosła dłonie do osłabionych oczu.

Szpony. Ptasie szpony. Pomarszczone, słabe ręce studziesięcioletniej kobiety.

Hsia Shan-yun jęknęła i spróbowała się podnieść.

Wszystkie części jej ciała zdawały się nie być połączone ze sobą. Tracąc równowagę, zatoczyła się w tył.

Kiedy spojrzała w dół targnął nią poryw przejmującego żalu. Jej piersi zniknęły. Jej biust pod szorstkim więziennym ubraniem był płaski jak u przeciętnie atrakcyjnej kobiety z dwudziestego drugiego wieku.

Shan-yun zaczęła płakać. Otumaniona, ześlizgnęła się na metalowy pokład i skuliła się, obejmując drobnymi rączkami utracone piersi. Początkowo płakała z żalu, a potem z rosnące-go gniewu, aż wreszcie zaniosła się głośnym szlochem wściekłości.

- Uwaga! Uwaga! Znajdujemy się teraz na orbicie Karnego Świata ZRL-25591.

Ryczący jej do ucha głośnik nie wpływał kojąco na dudnienie, jakie czuła pod czaszką.

Podniosła wątle rączki, jakie jej pozostawiono, aby zakryć nimi zniekształconą twarz, ale głos przecinał wszystko jak skalpel chirurga.

- Przygotować się do natychmiastowego opuszczenia statku. Po otwarciu się drzwi, opuście swoje cele. Podążajcie wzdłuż zielonej linii do kapsuły promu. Uwaga...

Wyjąc z wściekłości, Shan-yun przycisnęła się do chłodnej, wilgotnej metalowej ściany i w napięciu czekała na szcęk zamka od drzwi. Umierała z głodu. Czuła swój cuchnący od-dech, odbijający się od odrapanej, pokrytej obscenicznymi napisami płyty.

Drzwi otworzyły się ze zgrzytem. Hsia wypadła na korytarz i wpadła na gburowatą, śniadoskórą kobietę. Jeżąc się z wściekłości, uniosła rękę do ciosu.

I zamarła.

Proporcje jej wyglądu względem innych ludzi zostały postawione na głowie.

Przeciwniczka była wyższa o kilka centymetrów i wyraźnie silniejsza.

Hsia Shan-yun opuściła ręce i zachrypiała:

- Ty też jesteś przestępczynią?

Tamta również opuściła pięści i zmarszczyła brwi.

- Freda Odell - powiedziała. – „Przestępczyni” - to odpowiednie słowo. Przyłapano mnie na programowaniu maszyn edukacyjnych wywrotowym materiałem.

Shan-yun była pod wrażeniem.

- Teorią roboczych dziur?

- Nieee. Historią.

Wiedzione niespodziewanym odruchem uśmiechnęły się do siebie i objęły.

- Ruszać się! Nie stawać!

Zielona strzałka błyskała ponagląjąco na porysowanej ścianie korytarza. Wzruszywszy ramiona, obie kobiety poszły jej śladem do kapsuły promu.

Znajdowała się tam już siódemka pozostałych socjopatów, wyglądających na nieco zagubionych. Przed przybyciem Shan i Fredy

nie rozmawiali ze sobą, lecz zaledwie udało im się trochę ich ożywić przez wzajemną prezentację i wybuchy skarg, gdy włączył się kolejny system P.Cz.

- Kolejno wchodzić do kapsuły! Zapiąć pasy przygotowując się do natychmiastowego startu! Pospieszyć się. Na ospałych mamy nerwomiazdżuchy.

- Takiego wała!

Zapomniawszy już o rozsądnej pokorze, Shan-yun ruszyła bocznym korytarzem szuka-jąc kogoś, kogo mogłaby zabić swoimi nowymi, wątlymi rączkami. Zaniepokojona Freda zatrzymała się na progu kapsuły. Pozostali posłusznie weszli do środka.

- Z powrotem do promu, dewiantko! - ryknął P.Cz. - Natychmiast!

Jeden impuls nerwomiazdżucha przekonał Shan, że nie jest w stanie ani w odpowiedniej formie, aby szukać niezwłocznego rewanżu. Poskromiona, kulejąc wróciła na prom i pozwoliła, by Freda zapięła jej pasy przeciwprzyspieszeniowej koi.

Lot w dół, na powierzchnię odbył się przy włączonych silnikach i akompaniamencie ich potwornego ryku, trwającego dziesięć minut lub godzin, i prawie uniemożliwiającego rozmowy, spiskowanie, liczenie baranów i w ogóle jakąkolwiek inną działalność, wymagającą aktywności nieco większej jak ta, do jakiej jest zdolny nieboszczyk.

Wylądować w kosmicznym promie to tak, jakby dostać kijem golfowym po krzyżu, chociaż Hsia Shan-yun takie porównanie nie przyszło do głowy. W czasach Interregnum Wszechislamsko-Chrześcijańskiej Przyzwoitości golf został zakazany jako osłabiający morale i dzięki krótkotrwałemu lecz intensywnemu wykorzystaniu rozległych, zielonych terenów klubowych jako miejsca umacniających dyscyplinę zbiórek, nigdy już nie odzyskał utraconej popularności.

Shan zastanawiała się jednak, ile razy władze użyją jeszcze promu, zanim ten przeklęty grat rozleci się w drobny mak z powodu zmęczenia materiału.

Dręczona mdłościami, ósemka kobiet i jeden mężczyzna w ładowniku skazanych (zakładam, że moja karnomilitarna terminologia jest poprawna) zwlekli się z prycz i chwiejnym krokiem ruszyli w dół po plastikowym, trzeszczącym trapie, aby po raz pierwszy zobaczyć miejsce swojego wygnania.

Planeta była obrzydliwa.

- Typ E w skali Hubbarda! - Freda była przerażona. Zacisnęła pięści, aż Shan-yun usłyszała chrzęst palców. - To... to...

Mimo iż Freda była zatwardziałą dywersantką, potajemnie szkoloną w historii rozwoju ludzkich społeczeństw na powierzchni planet i poza nimi, nie była w stanie określić czegoś tak nieprzyzwoitego.

Shan zgrzytnęła zębami i wydusiła z siebie słowa, których szukała Freda Odell.

- Otwarta. To otwarta przestrzeń!

Z trudem łapała oddech. Błękitne, usiane białymi plamami, mgliste sklepienie rozciąga-jące się nieskończenie wysoko nad ich głowami było, jak się domyśliła mimo skracającego jej wnętrzości strachu, tym, co ludzie na Ziemi zwykli nazywać „niebem”.

Na samą myśl o tym zadrzała z emocji.

Niesamowicie rozległe przestrzenie otaczające ją ze wszystkich stron oślepiały jej - i tak już słabe - oczy. Po prostu nie była w stanie ogarnąć myślą takiej ilości otwartej, niezadaszo-nej, nieużywanej przestrzeni.

Tu i tam widziała plamy brązu, zieleni, żółci i innych stymulantów optycznych, poro-zmieszczane bez żadnego sensu.

Hsia Shan-yun doznała uczucia będącego dokładnym przeciwieństwem Ontologicznej Zasady Przedustawnych Symboli. Tu i teraz, surowa empiryczna rzeczywistość brutalnie oddziaływała na wejścia jej systemu sensorycznego, omijając normalne kody interpretacyjne i blokady.

Ujrzała rzeczy, których nie umiała nazwać.

Mówiąc dokładnie, widziała to, czego w rzeczy samej nie mogła zobaczyć.

- Na to potrzeba czasu - mamrotała, rozpaczliwie próbując utrzymać Fredę w pozycji pionowej, gdy ta osunęła się na nią, tracąc przytomność. - Przecież nasi przodkowie poradzili sobie z tym. Jesteśmy równie twarde jak oni. Freda, tam są jacyś ludzie i idą w naszą stronę. Freda, dziecino, myślę, że będziemy musiały wspinać się na palce.

Ludzie idący w ich kierunku przez nierówną, brudną podłogę przybywali, jak Shan do-myśliła się dzięki kolejnemu wlotowi swego intelektu - na szczyty możliwości, z kwadrato-wych, nakrytych spadzistymi wierzchami pudełek odległych o kilkaset kroków.

„Budynki” - tak się to nazywało. Mieszkania konstruowane „na zewnątrz” z suchej organicznej materii. „Drewna” - o właśnie z „drewna”.

Większość zbliżającej się grupy stanowiły samce, a każdy z nich wyglądał mniej więcej tak, jak Hsia Shan-yun zanim dobrali się do niej chirurdzy. To prawda, że nie przypominali dwumetrowych Walkirii, lecz ich kończyny były wyraźnie oplecione grubymi węzłami mięśni. W porównaniu z kurduplami z promu mogli uchodzić za przedstawicieli innego gatunku.

W powietrzu rozległ się ogłuszający, dudniący huk.

Shan okręciła się na pięcie, czując przy tym dość dotkliwy ból i zobaczyła widok, który zmienił jej wszystkie kręgi w galaretę.

Prom - jedyny porządny, ludzki, metalowy, wyprodukowany przedmiot jaki widać na tej całej planecie - na słupie ognia unosił się w górę.

Freda wrzasnęła. Jedyny mężczyzna w ich grupie przewrócił się i leżał twarzą w pyle.

Prom poszybował w niebo, ciągnąc za sobą warkocz ognia, aż stał się jasną plamką tkwiącą niesamowicie wysoko, w błękicie. Freda również osunęła się na ziemię i przybrała pozycję embrionalną.

- Hej, wy! Weźcie się w garść!

Dzięki jednej z tych niepojętych sztuczek perspektywy nieznanymi nagle znaleźli się przy skazańcach, przepychając się i szarpiąc, poklepywaniami i kuksańcami starając się przywrócić ich do rzeczywistości.

Shan gapiła się na nich bezwstydnie.

Popękane twarze, pokryte zmarszczkami od wystawiania ich na archiwalnych hologramach, zaskakująco jasne w ostrym blasku słońca.

Jeden z mężczyzn szarpnął ją za ramię. Gniewnym ruchem odtrąciła jego dłoń. Odzież, jaką nosił wykonano z wysuszonych zwierzęcych skór i splecionych włókien roślinnych. Shan czuła, jak maleńkie stworzonka czmychają z jego odzienia i rozłazą się po jej posinia-czonej skórze.

- No dobra, hołoto!

Najstarszy z nich, mężczyzna o twarzy do połowy pokrytej zaskakująco gęstą grzywą włosów wyrastających samcom w okresie dojrzewania płciowego i z równie szokująco wielkim plackiem łysiny

na opalanej czaszce, stanął przed nimi biorąc się pod boki.

Nowoprzybyły skazaniec, który właśnie odzyskał przytomność i podniósł się chwiejnie, dopiero teraz przyjrzał się stworowi, którym z wyroku losu miał zostać i natychmiast zwy-miotował w pył.

- Oczyszczyć drania i zabrać go do medpunktu - warknął wódz do podwładnych. - A teraz słuchajcie mnie, ludzie. Wiem, co czujecie, więc nie będę was od razu naciskał. Wszyscy przez to przeszliśmy. Przeżyjecie - no, chyba, że przedtem umrzecie - co nie jest niemożliwe.

* * *

Zaczynacie wyczuwać sprawę? Za każdym razem, gdy akcja dochodzi do tego punktu, każdy kto znajdzie się w typowej scenerii planety na pograniczu cywilizacji musi wysłuchać standardowego wykładu w tym stylu. Człowiek - najtwardsze, najbardziej podstępne stworze-nie w całej cholernej galaktyce. Ten, który rozsiewa swoje nasienie po całym Wszechświecie musi zachować w sobie prymitywną dzikość. Krew patriotów zwilża korzenie drzewa wolności. Nie może zabraknąć i buntowniczego ducha. Na końcu tej książki umieszczam krótką bibliografię problemu dla tych, którzy stykają się z nim po raz pierwszy i chcą nadrobić zale-głości. Co do reszty z was - odprężcie się, ludziska. Robię, co mogą, żeby gładko prześlizgnąć się przez ten rozdział. Za moment wrócimy do Joe'go Wagnera, obiecuję.

- Nie mamy nadmiaru personelu ani zapasów, aby was rozpieszczać. Wszystko co zje-cie, mieszkania, antybiotyki, narkotyki, używki - wyprodukujecie sobie sami.

- Nie mam pojęcia, co to są narkotyki - żałośnie krzyknęła któraś ze skazanych.

- A co to takiego „mieszkania”? - pyta szlochając inna.

- Oczywiście, będziecie się specjalizować w różnych rzeczach - powiedział stary czło-wiek. - Nauczycie się tego, czego nie umiecie teraz, albo poumieracie.

Wyglądało na to, iż ta perspektywa sprawia mu dużą frajdę, bo mlasnął kilka razy.

- W tym zespole nie ma miejsca dla mazgajów i tchórzliwych

liberałów. Będziecie mu-sieli być twardzi - twardzi i zdecydowani przeżyć.

Powiódł spojrzeniem po skazanych, mrużąc oczy przed słońcem. Hsia Shan-yun była w tym momencie równie bliska rzygnięcia jak ja. Jednak nie odwróciła głowy, gdy spojrzał jej w oczy.

Zatrzymał na niej spojrzenie, usiłując zmusić ją do opuszczenia oczu. W końcu powieki Shan zwęziły się, a białka oczu nabiegły krwią. Z satysfakcją wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu i powiedział:

- Ty! Spędź wszystkich razem i zaprowadź do Wielkiej Sali, kiedy będą gotowi. My musimy wracać do koszenia. Lada dzień może nadejść Pora Deszczów.

Skinał na towarzyszy i ruszył z powrotem ku drewnianym zabudowaniom.

- Chwileczkę - powiedziała głośno Shan-yun. Nagle wydało jej się, że głos ma stłumio-ny, będący cieniem dawnego pod względem siły. Przez moment zastanawiała się, czy to skutek działania atmosfery tego świata, czy kolejne łajdactwo wyrządzone jej przez lekarzy.

Mężczyzna zatrzymał się niechętnie i spojrzał przez muskularne ramię, mrużąc ośle-pione słońcem oczy.

- Rozumiem, że zwracasz się do mnie.

- Chcę wiedzieć, jak się nazywasz - wrzasnęła Shan.

- Nazywam się Anson. Możesz do mnie mówić „Szefie”. Pogadamy później - znów się odwrócił.

- Stójże, do cholery - Shan-yun chciała ruszyć na niego jak tygrysica, ale wyszedł jej z tego kaczy chód karzełka. Jednak nawet w tych okolicznościach osiągnęła tyle, że lekko zeszywniał, a jego ludzie przysunęli się bliżej niego.

- Jaki jest plan ucieczki?

Anson wyszczerzył zęby w sardonicznym uśmiechu i dość boleśnie klepnął ją w ramię.

- Podobasz mi się, kochanie, nawet jeśli brak ci co nie co, jeśli idzie o wygląd. Myślę, że tu, w Raju, nie będzie ci źle - jeśli nabędziesz trochę ogłady i dobrych manier.

- Plan ucieczki, Anson.

- Stąd nie ma ucieczki, droga pani. Prom przybywa raz na rok. Jest zdalnie sterowany z orbity, kierowany przez Pluskwę, nerwomiazdżuchy w pogotowiu na każdą okazję. Stąd nie ma

ucieczki. Wracając do manier - jak ty się nazywasz?

- Hsia Shan-yun, smarkojadzie.

Znów się wyszczerzył i widok jego pożółkłych, nagich dziąseł i brakujących zębów lekko ją odrzucił. W Raju nie było protetyki dentystycznej.

- Moja droga, choć posiadająca niewyparzoną gębę, eks-obywatelko Hsia, jeżeli przy-padkowo nie opanowałaś sztuki splatania Pasiastych Dziur, pozostaniesz tu aż do śmierci. Aż zgnijesz i zakopiemy cię w ziemi.

Shan-yun sprawdziła językiem wnętrze swojej jamy ustnej. Dzięki dziwnemu niedopa-trzeniu chirurdzy zostawili jej zęby. Radośnie wyszczerzyła je do Ansona i odeszła, by zebrać resztę towarzyszy z promu.

Rozdział trzynasty

Joe Wagner runął z nieba jak kamień.

Na całe szczęście upadł jak kamień owinięty w postrzępiony narożnik ciężkiej, płócien-nej markizy. Wytraciwszy w ten sposób szybkość, stoczył się w dół machając ramionami jak cepami i zwaliwszy z nóg grubego gapia, z głośnym „uff” wypuścił z płuc ostatki tchu.

Czując jednocześnie ulgę i przerażenie, odepchnął od siebie tłuste, leżące na wznak ciało. Na widok zbielejącej ze strachu i umazanej szminką twarzy Joe'go, ofiarę zatkąło, co było niewątpliwym dowodem łaskawości losu.

Jakiś inny idiota przeraźliwym głosem wzywał policję. Oszołomionego upadkiem Joe'go doleciał tupot biegnących stóp. Potrząsając głową z niedowierzaniem wstał postępując, a potem schylił się ponownie i pomógł podnieść się grubasowi.

Ten, jak większość grubasów w takiej sytuacji, stał rozdziawiając usta i nie wydając dźwięku, a jego nabiegająca krwią, nalana twarz świadczyła o zbliżającej się apopleksji.

Strzępy płótna zaświszczały koło uszu Joe Wagnera.

Rozhisteryzowany właściciel stoi-ska wrzeszczał na niego z oburzeniem, wywijając mu nad otumanioną głową dorodnym okazem selera.

Zaczęły zbierać się kobiety.

Mnóstwo kobiet.

Mnóstwo usychających z miłości, coraz bardziej napalonych kobiet.

Joe pospiesznie rozejrzał się wokół i dwadzieścia metrów dalej dostrzegł stojącą na światłach taksówkę.

Obawiając się zamieszek ulicznych i ze strachem myśląc o policji, bezwstydnie wziął nogi za pas i popędził w kierunku samochodu.

Kierowca taksówki obrzucił go baczny spojrzeniem.

- Pan jesteś ten gość, co prysnął z autobusu - stwierdził.

- Taak - zmieszany Joe pospiesznie zlustrował swoje poplamione ubranie. Ktoś załomotał w boczną szybę. Młoda kobieta w płaszczu przeciwdeszczowym, wyglądająca na mieszkankę Melbourne spędzającą w Sydney urlop, próbowała wcisnąć się do środka. Joe drgnął gwałtownie, zablokował drzwi obok siebie, po czym przechylił się i zrobił to samo z tylnymi drzwiami po swojej stronie.

Światła zmieniły się.

- Niech pan słucha, proszę zawieźć mnie do Purity Soaps, dobrze? Jeśli doda pan gazu, wpadnie panu coś ekstra.

- Mistrzuniu, za tego skika z autobusa podwiózłbym pana i darmo - kierowca przycisnął nogą pedał gazu.

Mimo iż podatny na szalone i straszliwie seksistowskie fantazje seksualne nasuwające się w owych czasach wszystkim młodym mężczyznom, Joe nie znajdował żadnej przyjemności w tej śmiesznej przygodzie. Przeciwnie, zdarzenie w autobusie miało w sobie coś niezwykle niepokojącego, a nawet przerażającego. Kiedy ścierał szminkę z twarzy, przyszła spóźniona reakcja organizmu. Skulony i drżący, nie był w stanie zaspokoić milczącej ciekawości nastawiającego uszu kierowcy niczym innym prócz przyziemnego, zawziętego milczenia.

Kiedy taksówka podjechała pod stary dom z cegły, posiadający mniej okien, a więcej rynien, wywietrzników i kominów niż przeciętny budynek, w pobliżu nie było widać żadnej kobiety. Nie chcąc jednak ryzykować, Joe ostrożnie rozejrzał się wokół.

Dopiero potem otworzył drzwi i wysiadł.

Przez chwilę spoglądał na uspokajającą, ceglana, brudną ścianę Purity, a następnie wci-snął banknot w rękę taksjarza i czmychnął do fabryki.

Ogarnęła go fala ulgi. Oto wkraczał w świat nauki, w którym nienaruszalne, stałe, kon-serwatywne prawa fizyki i chemii z pewnością nie pozwolą na dalsze objawianie się śmie-sznych, miłosnych anomalii.

Powodowany wyłącznie chęcią upewnienia się, iż tak właśnie jest, Joe prześlizgnął się przez drzwi wejściowe budynku i przemknął obok swojej sekretarki, zanim zdążyła popatrzeć na niego szklistym wzrokiem.

Znalazłszy się w swoim biurze ciężko dysząc oparł się plecami o drzwi. Po chwili otwo-rzył oczy i sam potoczył wkoło szklistym spojrzeniem, usiłując zorientować się w sytuacji.

Jego biuro i kilka małych pokoików laboratoryjnych znajdujących się za nim wyglądały normalnie. Wrzeszcząca tłuszcza nie zrywała się z ław i nie wylewała z klatek, w których rezydowali jego mali przyjaciele, a zarazem ofiary, witający go teraz skrzekliwą wrzawą radości lub przerażenia - w zależności od tego, po której stronie barykady obrońców praw zwierząt stoicie.

Dalszym postępowaniem Joego pokierowała wieloletnia rutyna, uspokajając go nieco, jednak nie wcześniej nim oderwał plecy od drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Włożył biały, poplamiony fartuch, uruchomił wentylatory i opadł na krzesło.

Co to było?

Koszmary sen?

Cały kłopot w tym, że określając to mianem snu jesteśmy skazani wyłącznie na przy-miotniki.

Joe przełknął ślinę. Gardło miał nadal ściśnięte. Potrząsnął głową. Obłąd był ostatnim z możliwych do przyjęcia wyjaśnień. Jeśli już ktoś tu zwariował, to raczej ta zgraja babek w autobusie.

Hej, zaraz! A może to feromony?

Ta myśl trysnęła nagle jak wesoły bąbel gazu z bulgoczącego szlamem gejzeru i spra-wiła, że uśmiechnął się radośnie, czując ulgę na myśl o własnej głupocie, która nie pozwoliła mu dostrzec tego wcześniej.

- Feromony - mruknął. Skoczył ku stercie sponiewieranych egzemplarzy „Nature”, czasopism i roczników biochemicznych; ku całej tej zbieraninie szpargałów niezbędnych pracującemu naukowcowi; i zaczął na chybił trafił przeglądać spisy treści.

- Gruczoły - zaskrzeczał. - Substancje godowe. Zapachy. Ćmy. Dobry Boże! Chemore-ceptory. Oznaczanie terytorium. To jest to! Oczywiście. Wpadłem na to przypadkiem. Jak Fleming i Florey. Nagroda Nobla, jak rany. W jakiś sposób zmieniłem mój metabolizm. Mu-siałem ostatnio coś łyknąć. Psiakrew! - wrzasnął radośnie, podrzucając papiery w powietrze. - Będę sławny! Będę mógł poprosić o podwyżkę!

Nie sędzę, by można zaprzeczyć, że entuzjazmując się swoją hipotezą Joe Wagner palił z działa nie sprawdzwszy czy nabite, ale w tej sytuacji, któż mógłby mieć mu to za złe? Teoria wyglądała na eleganckie i zgodne z faktami wyjaśnienie zagadki. Na przykład, popatrzcie na mysie szczyny. Prawdę mówiąc, lepiej byłoby je powąchać, szczególnie gdyby ktoś z was był myszą, ale mimo tego zastrzeżenia przyjrzyjmy się im.

Mocz mysiego samca nie tylko sprawia, że mysia dama piszczy do księżyca, lecz rów-nież, jak nic innego na świecie, wpływa na produkcję mysich estrogenów. Czy to nie brzmi znajomo?

Podniecony Joe wyciągnął swoje notatki i zagłębił się w zapiskach z poprzednich dni i tygodni, szukając jakiegoś wyjaśnienia chemicznego cudu, który zmienił cały jego metabo-lizm w świecę zapłonową dla przeciwnej płci.

Doszedł do wniosku, że to nie może być jego mocz.

No tak, spał w gatkach. Prawda też, że nie był najbardziej rozmiłowanym w czystości absolwentem szkoły prowadzonej przez Siostry Miłosierdzia. Jednak oddziaływanie jego osoby na kobiety w autobusie było czymś świeżym. Nie ujawniło się poprzedniego dnia, kiedy miał na sobie te same gatki.

W notatkach nie znalazł niczego istotnego.

Nie było w nich nic, co wskazywałoby, iż stworzył jakiś aktywator, jakąś esencję, czy wywołujący brudne myśli zapach erotyczny, który przemienił go w męskiego osobnika pe-wnego gatunku ćmy.

Unoszone podmuchami powietrza, drobniutkie, nieuchwytnie cząstki feromonu wydzie-lanego przez samicę tej ćmy ściągają z

odległości kilku kilometrów amantów, którzy muszą walczyć z niesprzyjającym wiatrem.

Joe zachichotał do swych myśli. Będzie bogaty! Bogaty!

Niezamężna samiczka jedwabnika gardzi zapachem Chanel nr 5, stosując zamiast niego wabik, który zwie się „bombikol”. Bracie! Nie uwierzysz. Ile bombikolu nosi w kosmetyczce niezamężna szukająca partnera samiczka jedwabnika? Zero, przecinek, zero, zero, jeden, pięć grama - to cały jej zapas.

Myślę, że zgodzisz się ze mną, że nie ma tego wiele, ale więcej jej nie trzeba.

Te zero, przecinek, zero, zero, jeden, pięć grama wystarczy, aby przywabić miliard wy-poszczonych, oszalałych z żądzy samców, o ile założymy, że w pobliżu znajdzie się miliard samców jedwabnika, co rzadko się zdarza.

Pasmo brzydkiej pleśni dało nam niegdyś penicylinę, a następnie uratowało miliony istnień i prawdopodobnie spowodowało eksplozję demograficzną.

Joe zadrżał na samą myśl o tym, jak Samczy Feromon Wagnera wpłynie na eksplozję demograficzną, jednak po najkrótszej w historii ludzkości chwili namysłu przestał się trząść. Sława! Sława!

Starannie wypisał wzory strukturalne wszystkich, nowych i starych związków chemicznych, jakie przeszły przez jego laboratorium w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

Odłożył zapiski do szuflady, dokładnie umył ręce i w dość skomplikowany sposób, stosowany w chirurgii oraz położnictwie, założył gumowe rękawice.

Zdrapał sobie trochę naskórka.

Chuchnął do szklanej kolby i dokładnie ją zapieczętował.

Zdjął z języka nieco śliny, pobierając ją z koniuszka i u nasady.

Wstydliwie spoglądając na zamknięte drzwi, opuścił gatki i potarł szkiełko mikroskopowe o swoje genitalia, zarówno z dziobu, jak i z rufy. Starannie zamknął szkiełka i wciągnął gatki.

Pobrał sobie krew z kciuka.

Wyrwał sobie trochę włosów.

Następnie, korzystając z kosztownego wyposażenia pracowni, zabrał się do roboty.

Elektronowy mikroskop skaningowy zmienił wydzielinę jego gruczołów potowych w ziarnistą mapę Księżyca, ale tym razem był to

Księżyc zamieszkały przez wijące się, małe stworzonka widoczne na ekranie monitora jako maleńkie, ciemne plamki.

Patrzył i porównywał. Zwiększył skalę powiększenia i ponownie ją zmniejszył. Nic. W każdym razie nic takiego, co byłoby warte Nobla.

Wyziwy ze swoich płuc poddał magnetycznemu rezonansowi jądrowemu, lecz choć protony posłusznie zmieniały swój spin na jego komendę, nie powiedziały mu nic ciekawego.

Kilkakrotnie zadzwonił telefon, ale Joe Wagner tego nie słyszał. Nie usłyszał również pukania do drzwi, zresztą po chwili ustało.

Przygotował kultury bakteryjne na szalkach Petriego i umieścił je obok siebie, by je dzielić, rozmnażać i poddawać testom na przeciwciała lub okropne chemikalia.

Nic.

O tyle, o ile można to było stwierdzić przy pomocy aparatury badawczej, jego metabo-lizm funkcjonował normalnie. Joe nie miał nawet kataru.

W końcu usiadł na taborecie i wbił wzrok w swoje dłonie. Niemal zapomniał o nurtują-cym go, niesamowitym problemie.

Menady. Może chodziło o to, że wyglądał jak jakiś cud rocka, czołowy wokalista zespo-łu „Gałą po Brzytwach”, czy jak tam się oni zwali...

Czyż jednak maleńka, włoska babunia w czerni rzuciłaby się jak zauroczona uryną mysz na lidera sitogłowego zespołu? Chyba nie.

Może to jakiś wirus.

Towarzystwo w klatkach wrzaskliwie domagało się chrupek i pieszczot.

Joe z westchnieniem przeszedł przez pokój i wyjął Tłustego Maca, przystojniaka ze zło-torudym ogonkiem. Zwierzątko pospiesznie wskoczyło mu w dłoń, oczekując smakołyku. Uśmiechając się Joe poszukał kawałka cukru, który małpka zjadła drobnymi, częstymi kęsa-mi, trzymając go w swych małych, czarnych, ludzkich dłoniach.

Coś, co było na tyle zjadliwe, aby zainfekować Joe'go Wagnera i zamienić go w uoso-bienie seksu dla pasażerek odjeżdżającego o ósmej autobusu kursującego po Oxford Street miało równie duże szanse zarazić to małe, żywe stworzenie.

Tłusty Mac nie lubił igły. Joe dał mu drugi kawałek cukru.

W podobny sposób ludzie zjednują sobie innych ludzi, kiedy robią im coś naprawdę paskudnego.

Inną metodą jest zrobienie prawdziwego świństwa bardzo szybko, często za pomocą owiniętej w coś miękkiego gazurki.

Trzeci sposób to pozwolić im na organizowanie wyborów co rok. Powszechnie uważa się, iż jest to sposób najbardziej subtelny, ale można udowodnić, że nie tak skuteczny jak ten drugi.

Być może nie daje tyle frajdy.

Joe włożył Tłustego Maca do klatki, tym razem oddzielając go siatką od dwu samic i jeszcze jednego samca, który od razu zrobił kałużę, zaznaczając tym swoją rolę przywódcy.

Nadeszła i minęła pora lunchu. Samice w klatce iskały się obojętnie. Tłusty Mac kręcił się bez celu po swojej klatce, drapiąc się i skubiąc żarcie. Joe z rozpaczą przesunął dłoń po resztkach swojej czupryny. Był głodny, ale nie mógł wyjść na zewnątrz.

Małpie damy ziewały i malowały paznokcie.

Między Joe'm a lunchem stała sekretarka i co najmniej batalion oszalałych na punkcie jego ciała kobiet. Jeżeli wszystko to zdarzyło się naprawdę. Chyba, że jego oddziaływanie ustało. Chyba, że sam był przypadkiem wymagającym leczenia.

- Jestem czysty jak kryształ - powiedział głośno, chcąc usłyszeć, jak to brzmi. Brzmiało dość wiarygodnie, jeżeli uwzględnić fakt, że mówił sam do siebie. - Cztery i pół godziny wy-tężonej pracy w laboratorium i żadnego punktu zaczepienia. Żadnych szaleństw, ha, ha.

Nie było to zbyt przekonywające. Joe Wagner wiedział równie dobrze jak wy, że szaleństwo nie jest aż tak prostą sprawą.

Niekoniecznie musicie biegać w kółko, śliniąc się, tocząc pianę z pyska i mamroczać do siebie.

A co ze Sweeneyem Toddem? Golił się co dzień, a po nocach ćwiartował ofiary.

Na czole Joe'go pojawiła się próbka potu, wolnego (co stwierdzono naukowo) od fero-monu.

Tym razem odebrał telefon.

Głos sekretarki, reagującej na jego obecność nawet poprzez dwie warstwy grubego drewna i płytę z nierdzewnego metalu, był czuły i słodki jak miód.

- Joe, jest tu człowiek, który chce się z tobą zobaczyć.

Mógłbym śmiało powiedzieć, że gruchała jak zakochana gołębicą, tylko czy wybaczyli-byście mi takie stwierdzenie?

- Mówi, że jest... - głos sekretarki zamilkł na chwilę. - Thaumaturgiem - cokolwiek to oznacza.

Joe spoglądał przez chwilę na obojętne samice małp. Zauważył, że Tłusty Mac sam zajął się swoimi problemami.

- No, no, Mac - rzekł do niego. - Wstydz się.

- Co proszę?

- Enid, jestem bardzo zajęty.

- On mówi, że musi się z tobą natychmiast zobaczyć.

- Jak się nazywa? Czy to nie facet ze stoiska „Naturalnych Zdrowych Smakołyków Roślinnych” przy Bondi Junction?

Usłyszał jakieś mamrotanie. Nie miał pojęcia, czym zajmuje się thaumaturg, ale nie brzmiało to naukowo. Właściwie to brzmiało, ale ponieważ nigdy nie słyszał o takiej nauce, prawdopodobnie musiała to być jakaś poroniona zapoznana gałąź wiedzy. Gość mógł być, powiedzmy, jakimś chiromantą albo ekokulturystą od robaczych gówien, jak ten idiota, który poprzedniego wieczoru otwierał program Sopwitha Hammila.

- Mówi, że to bardzo pilne.

- No dobrze, przyślij go tutaj.

- Nie mogę. Drzwi twojej pracowni są zamknięte.

Zazwyczaj prychnęłaby na niego oskarżycielsko. Dziś przemawiała jak kusząca królowa rozpasanego seksu z wideopornosa.

- Przepraszam, zaraz tam będę.

Enid była szczupła, zasadnicza i miała prawie sześćdziesiąt lat, ale teraz stała na palcach wypinając piersi i najwidoczniej miała nadzieję, że zostanie zaproszona do miłostnego gniazdka Joe'go. Obok niej stał jakiś mężczyzna.

- Proszę wejść. Nie, Enid... nie ty! Enid... proszę, pomyśl o swojej pozycji... Szybko, cholera, niech się pan przecisnie, a ty...

Joe zatrzasnął drzwi i zablokował zamek. Ciężko oddychając, jego zaróżowiony i promieniujący samozadowoleniem gość stał, wlepiając w niego oczy zza szkieł grubych jak denka butelek.

- Miałem rację! To pan! - zawołał nieznajomy, uradowany w najwyższym stopniu. - I to za mego życia. Efekt Kallisto! Proszę, niech mi będzie wolno złożyć panu najserdeczniejsze życzenia

szczęśliwych czterdziestych drugich i wielu, wielu następnych urodzin, panie Wagner.

- Czekaj pan, ja pana znam - powiedział Joseph Wagner. - Widziałem pana wczoraj w telewizji. Ten zapieprzony magik!

- Ten sam - rzekł O'Flaherty Gribble. - Jednak z pewnością chciał pan powiedzieć „zarobaczony magik”.

Uścisnął dłoń zaskoczonego biochemika i potrząsnął nią kilkakrotnie jak dumny ojciec nowonarodzonych bliźniąt.

- Jestem szczęśliwy, że w końcu pana poznałem.

- Naprawdę? - krzyknął Joe. - Mnie?!

Czyżby ten dupek tak szybko dowiedział się o kobietach? Czyż jednak istniał jakiś inny powód, dla którego wzbudzający w kraju największe kontrowersje astrolog miałby tu przychodzić i potrząsać jego ręką z zapalem radnego miejskiego kandydującego ponownie zaraz po tym, jak wyborcy dowiedzieli się, że sprzedał wszystkie publiczne parki miejscowemu klubowi sportowemu?

- Pana, panie Wagner. Pana.

- A co jest we mnie takiego szczególnego?

Joe miał nadzieję, że te słowa zabrzmiały sceptycznie, choć w głębi serca obawiał się, że facet otworzy drzwi laboratorium i wpuści do środka sforę oszalałych bab, które rzucają się mu do gardła.

- Szczególnego? Drogi panie Wagner - O'Flaherty był natrętny jak wirus i dwa razy bardziej żywotny. - A może mógłbym mówić do pana Joseph?

- Joe.

- A więc, Joe, myślę, że mogę wyjaśnić ci to całkiem jasno, bez uników czy kluczenia. No cóż, dziś, obchodząc czterdzieste drugie urodziny, stałeś się najważniejszą osobą na świecie.

Rozdział czternasty

Swoją napowietrzną podróż, której celem było wytropienie Joe'go Wagnera, O'Flaherty Gribble odbył, oczywiście, poprzedniego wieczora i właśnie wtedy miała miejsce będąca dla niego objawieniem

rozmowa z Georgiem Bonem.

- Właściwie to i mnie przydarzyło się coś podobnego - powiedział do Bone'a.

- Doprawdy? - rzekł George Bone, uśmiechając się do niego jak ojciec poświęcający bez reszty swoją uwagę synowi.

- No, myślę, że powinien pan to wiedzieć.

Niestety, umysł O'Flaherty'ego, choć bystry i przenikliwy jak hartowane szkło, nie był w stanie dokonać błyskawicznego przeskoku myślowego nad maleńką niekonsekwencją tego, co właśnie usłyszał.

- Hmm, jeśli nie uzna pan tego za impertynencję z mojej strony...?

- Ależ proszę pytać - powiedział dobrotliwie Bone. Sięgnął w górę i wduśli przycisk, co spowodowało stewardesse. - Proszę o jeszcze jedną szkocką i coś dla mojego przyjaciela.

- Co pan sobie życzy, sir?

- Czy macie wodę mineralną?

- Czy może być perier z lodem, sir?

- Świetnie.

Odtupała na swych wysokich obcasikach.

- Właśnie o to chciałem pana zapytać, sir - rzekł O'Flaherty.

- Ach, rozumiem. Zastanawia się pan, dlaczego zaproponowałem panu drinka, kiedy powinienem wiedzieć, że jest pan abstynentem?

O'Flaherty skinął głową, uśmiechając się z zawstyżeniem.

George Bone westchnął i poklepał dłoń O'Flaherty'ego.

- Widzi pan, to nie jest tak. W końcu jestem tylko człowiekiem.

O'Flaherty zerknął nań z ukosa, sprawdzając czy nie robią z niego wała.

- Naprawdę, synu. Mogę być sprytnym szefem tego lokalnego wszechświata, ale nie mogę równocześnie być wszędzie, prawda?

- Zawsze myślałem, że... No wie pan... że na tym to polega.

- Obawiam się, że to średniowieczne zabobony i chciejstwo.

Dziękuję, moja droga.

Wysączył następną szkocką i jego policzki nabrały rumieńców. Był facetem wywierającym naprawdę ogromne wrażenie. Bez wahania powierzylibyście mu oszczędności całego życia.

- O'Flaherty, zazwyczaj robi się to za pomocą standardowych banków informacji zapi-sanych w ASCII, tak że jestem w stanie zorientować się w sprawie nie wertując przez wie-czność kartotek. Przyznaję, że bardzo wiele dowiedziałem się o ludziach. Jestem

wytrawnym znawcą i sędzią ludzkich charakterów, co oszczędza mi sporo trudu. Jednak aby poznać szczegóły muszę, tak jak każdy, przejrzeć akta i kartoteki. No tak, rzecz jasna, nikt inny nie ma do nich dostępu, ale to w końcu jedna z korzyści płynących z racji zajmowanego stanowiska, nieprawdaż?

O'Flaherty spuścił wzrok.

- Och. A miałem nadzieję, że wyjaśni mi pan kilka nurtujących mnie spraw.

Odwrócił się i spojrzał w głąb nocnego nieba. Lecąc pierwszą klasą jest się przynajmniej w przedzie kadłuba, przed skrzydłami, tak że błyskające światła nie przeszkadzają w oglądaniu nieba. Daleko w dole dojrzał słabą kurzawę światełek. Jakaś mała miejscina. Naprawdę, niełatwo było przyjąć, że wszystko to jest dziełem człowieka z sąsiedniego fotela, ale tak właśnie było i tak się rzeczy miały. Wiedział to ponad wszelką wątpliwość.

- Wal, synu. Wyrzuć to z siebie. Zawsze chętnie słucham.

- Hmm... Właściwie... No, co nieco z tego, co pana spotkało, wydaje mi się bardzo znajome, to wszystko.

George Bone spojrzał na niego ostro.

- Konszachty z diabłem? Trzy życzenia? O'Flaherty, nie mogę uwierzyć, że taki miły młody człowiek jak ty chciałby igrać z szatanem!

Astrolog znów się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

- Ależ George, sądziłem, że pan wie o wszystkim. Właściwie przypuszczałem, że to powód, dla którego rozmawia pan ze mną.

- Nic o tym nie wiem, O'Flaherty. Czysty przypadek, jeśli można tak rzec.

George Bone zamyślił się głęboko.

- Masz jednak rację. To całkowicie zmienia postać rzeczy. Zastanawiam się nawet, czy...

Urwał i spojrzał O'Flaherty'emu w oczy.

- Czy miałbyś coś przeciw temu, żebym odczytał twoje myśli?

- Co? Wejść w mój...

- Zwyczajny dostęp do danych. Wymiana międzysystemowa. Wcale nie będzie bolało, obiecuję.

- Czemu nie? - zakrzyknął z entuzjazmem O'Flaherty Gribble i zaśmiał się. - Przecież przed panem niczego nie można ukryć, no nie?

- Dopóki nie uzyskam twojego dobrowolnego i w pełni

świadomego przyzwolenia, two-ja dusza jest dla mnie zamkniętą księgą. To jedyne etyczne podejście.

- Dobry Boże! No tak! Jestem pod wrażeniem. Nigdy nie myślałem, że stwórca Wszechświata reprezentuje taki wysoki poziom moralny.

- Wszyscy miewamy chwile słabości, O'Flaherty, ale robię co mogę, aby nie stracić reputacji.

Bone znowu westchnął i przez mgnienie oka wydawało się, że materiał, z którego był zbudowany samolot zmienił się w przezroczystą gazę. Drugi pilot mruknął coś do mikrofonu, odchrząknął, potem zastanowił się nad tym, co zamierzał oznajmić i z powrotem zajął się sterami.

O'Flaherty poczuł przyływ sympatii dla Bone'a. Wyciągnął rękę i poklepał go po kolanach.

- To część naszej umowy, no nie? Opowiedział mi pan swoją historię, a ja chciałem opowiedzieć panu moją. To oszczędzi mi trudu i próżnej gadaniny, co?

- Wspaniale, O'Flaherty. Prawie nic nie poczujesz.

George Bone ujął prawą rękę astrologa i lekko ją uściśnął.

- STAT B: *.* - powiedział.

W mózgu astrologa natychmiast zawirował przelotny huragan, w ułamku sekundy prze-latując zarówno przez ośrodkowy, jak i obwodowy układ nerwowy. Wydawało mu się, że widzi niekończącą się listę wspomnień, wydarzeń, twarzy, miejsc, myśli, możliwości, działań i niepowodzeń, a wszystko dokładnie uszeregowane jako pliki danych. Zajęło to mniej czasu rzeczywistego niż potrzebowałyby nawet najszybszy Symbiotyczny Komputer z czterdziestego siódmego stulecia. Bone miał rację. Nie bolało. Chociaż z drugiej strony, wrażenie było bardzo dziwne.

- Już? - spytał O'Flaherty łapiąc oddech.

- Nie, nie. Na razie sprawdziłem tylko zawartość katalogu. Musiałem sprawdzić, co w nim jest. W porządku, to nie potrwa długo. PIP.

Natychmiast dał się słyszeć głęboki, czysty dźwięk:

- *.

- BÓG: = GRIBBLE: *.* - powiedział Bone i tak się stało.

Wszystko, czym kiedykolwiek był O'Flaherty Gribble, zostało przelane z jego duszy jednym gigantycznym haustem kilku tysięcy

gigabajtów myśli i emocji wprost do pojemnych zasobów pamięci George'a Bone'a.

Proces kopiowania, tak jak obiecał Bone, zostawił O'Flaherty'ego dokładnie takim samym jak w chwili rozpoczęcia; nie zniknął ani jeden bajt czy plik, choć lekko dzwoniło mu w lewym uchu.

- Ach, rozumiem - powiedział George Bone, opierając się wygodnie w fotelu i przetra-wiając życie O'Flaherty'ego. - Tak mi się zdawało, że twoje nazwisko nie jest mi obce.

CUDOWNA HISTORIA DOKTORA O'FLAHERTY GRIBBLE'A

Gribble senior - co pojął teraz Bone w absolutnym błysku boskiego przypomnienia - był starszym Namiotu Moorabin Kościoła Jezusowego Świętych Dnia Ostatniego w Australii już wtedy, gdy młody O'Flaherty podrośł na tyle, by zostać diakonem.

Niczym Aaron-nauczyciel, chłopiec wędrował wraz ze starszym bractwa kapłanów Melchizadeka od jednego do drugiego domu na przedmieściu, wywijając egzemplarzem „Księgi Mormona” po to tylko, aby być pędzonym, i to dość często, przez brutalnych irlandzkich katolików lub zapraszany do wygłoszenia swej opowieści o zbawieniu (bez uwień-czenia tych wysiłków jakimkolwiek rezultatem) przez jakąś szukającą wrażeń emerytkę, któ-rej przez cały rok nikt nie odwiedzał.

Złożywszy śluby zawsze chodził ubrany w święte szaty, które chroniły go od grzechu. Nauczył się obywać bez kawy, herbaty, alkoholu i pieprzenia. Nie widział nic dziwnego w tym, że pod podmiejskim domkiem jego rodziców znajdowała się spora, pracowicie wykopa-na ziemianka zaopatrzona w zapasy jedzenia i wody wystarczające, by cała rodzina mogła w niej przeżyć rok, gdy nadejdzie Sądny Dzień.

Z drugiej strony, wszystko to nie wpływało dodatnio na jego duszę.

Wiele lat wcześniej, kiedy Gribble senior ukończywszy w Utah studia z administracji i wszedłszy w skład „siedemdziesiątki” powrócił, aby zamieszkać w Melbourne, wydawało się, że ma wszelkie widoki, by zostać biskupem diecezji Moorabin.

Jednak młody O'Flaherty nie zdołał powtórzyć wspaniałych

sukcesów ojca.

Wyglądało na to - zauważył George Bone - że z natury zaliczał się do przegranych.

A przynajmniej takie odnieśliście wrażenie, chociaż jego granatowy garnitur w stylu lat pięćdziesiątych nie był wcale postrzępiony czy wyświechtany. Młodzian nie był też nie-dbaluchem czy alkoholikiem, mimo iż przyjrzawszy mu się uważnie moglibyście go za takie-go uznać. Niestety, nawet gdybyście spojrzeli na niego po raz drugi z pewnością nie popatrzylibyście po raz trzeci.

Jego specjalnością było wpadanie na różne rzeczy. Jeżeli istnieją pechowcy mający skłonność do ulegania różnego rodzaju kontuzjom oraz skaleczeniom w trakcie swej pełnej nieszczęść pielgrzymki przez życie, to O'Flaherty należał wśród nich do rekordzistów.

Niczym zwichrowany ludzki kompas, nieodmiennie kierował się ku nieszczęściu.

Jego ojciec, starszy Namiotu, nie był z tego zadowolony. Świątobliwy jegomość poin-formował syna, że musi wziąć się w garść.

Biedny O'Flaherty nie posiadał nawet tych dziwacznych czy groteskowych przymiotów, dzięki którym neodickensowskie postacie określane są jako „dziwak, ale interesujący”.

Dla niektórych ludzi dawanie jest czystą radością. Dla innych taką samą przyjemnością jest branie. O'Flaherty Gribble - jak zaczął sobie uświadamiać George Bone, przeglądając ten materiał z budzącym się, dziwnym podejrzeniem - był pozbawiony obu tych motywacji.

Kiedy już przy tym jesteśmy, właśnie to było przyczyną wszystkich kłopotów O'Flaherty'ego.

Nie zaznał ani miłego cierpienia powstrzymywania się, za co ludzkie istoty mają dostać Zbawienia, ani też przyjemnego szaleństwa popełniania, za które mają być Potępione.

[George Bone pokiwał głową, przewidując dalszy rozwój wypadków.]

O'Flaherty Gribble był Niewinny. Nie posiadał Sumienia, Wstydu ani Poczucia Winy.

Przebrnął jakoś przez pierwszy rok stomatologii. Oczekiwał nadejścia Sądu Ostatecznego chociaż podejrzewał, iż jest mało prawdopodobne, by te brednie kiedykolwiek się ziściły. Pomagał w

wyszukiwaniu wciąż nowych i nowych korzeni swojego drzewa genealogicznego oraz brał udział w dziwnych kościelnych obrzędach, które sprowadzały się do pośmiertnego chrzczenia i zbawiania przodków, mniemając, iż praktyki te są wzruszające lecz poronione.

Wbrew woli ojca, ale z błogosławieństwem świętobliwej mamusi, spędzał co roku wakacje w Sydney, zatrzymując się w nadmorskim domku wuja Gentile'a i nauczył się kochać ryk, skrzylenie oraz słony smak fali przyboju.

Pod koniec nieszczęsnego drugiego roku zgłębiania tajników wiedzy dentystycznej opuścił dom rodzinny i zamieszkał w komunie wyklętych z Misji Boskiej Światłości. Podobało mu się ich zamiłowanie do muzyki Wschodu, ale stwierdził, że ich pryszczate gęby są pozbawione wyrazu.

Pewnej nocy przygnało tam Irene Branigan, która chciała znaleźć swojego przyjaciela, ale zamiast tego, pod wpływem nudy i łagodnych środków odurzających, zdarła ubranie z O'Flaherty'ego. Kiedy zobaczyła, co nosi pod spodem, wybuchnęła śmiechem. Jego ubranie wyśmiała już wcześniej. Mimo wszystko była osobą o dobrym sercu, więc nauczyła go co, gdzie i jak.

Zamieszkali razem, i wszyscy byli wściekli. [W tym miejscu George Bone skrzywił się i potrząsnął głową.]

Mimo wszystko O'Flaherty nie dał się zwieść. Ta idylla chroniąca go przed pociskami zawistnego losu nie mogła trwać wiecznie.

Pewnego popołudnia leżał owiewany ciepłymi podmuchami mijającego lata.

- No, dalej! - zawołała Irene, unosząc się rytmicznie na kolanach i waląc piąstkami w jego pierś. - Czy nie możesz wykrzesać z siebie więcej entuzjazmu?

Pogroziła mu egzemplarzem oprawionej w skórę „Kamasutry”, której lektura zaparłaby jego ojcu dech w piersiach.

- Mmm. Zabrakło mi energii...

- O'Flaherty, jak do tej pory spisywałeś się całkiem nieźle.

- Właśnie dlatego teraz brak mi energii.

- Brak ci energii... Mam tu coś, co cię pobudzi, upadły mormonie.

Wyskoczyła z łóżka, zanosząc się wariackim chichotem i podbiegła do swego potężnego, brezentowego plecaka.

- Zobacz, czy to nie doda ci wigoru - powiedziała. W rękę trzymała najstarszą książkę, jaką widział w życiu. - Ukradłam ją z

Biblioteki Publicznej. Jeżeli mnie złapią, utną mi ręce.

Tak się składa, że Irene Branigan tylko żartowała. Musiało upłynąć jeszcze kilka lat do Interregnum, kiedy to ucinanie młodym kobietom rąk stało się czymś normalnym, a i to nie za kradzież książek, lecz za daleko cięższą zbrodnię - za ich czytanie.

O'Flaherty zerknął jej przez ramię. Stronice były stare, wyblakłe i zapisane w barba-rzyńskiej łacinie. Przeczytał fragment na głos, mrużąc oczy z powodu braku szkieł.

- Dobry Boże! Czy dzisiaj dentystów uczą łaciny?

- Liznałem jej trochę w szkole. Greki także. W każdym razie, co to jest Kabała?

- Starożytny żydowski rytuał. Spójrz tu, chłoptasiu - otworzyła tom na stronie tak wspaniale zdobionej i iluminowanej, że wydawało się, iż przedstawiony na niej demon zaraz rzuci mu się do gardła.

- Diabeł. Mój Boże, ależ okropny.

- Tu jest przypis - powiedziała Irene, pieszcząc nagie ciało O'Flaherty'ego swymi ciepłymi dłońmi. - Wezwijmy staruszkę. No, co ty na to, O'Flaherty?

- Diabła? - zawołał z niedowierzaniem. - Z rogami, kopytami i widłami?

Zaśmiał się sceptycznie.

- O'Flaherty - przestań pieprzyć. Przyjrzyj mu się uważnie. Gdzie tu masz widły?

Przerzuciła kartki do kolejnej ilustracji, jeszcze okropniejszej od pierwszej.

- Myślę, że ten tu był modelem dla rycin Dürera.

Potwór na tej stronie składał się głównie z kłów, pazurów i ziejącej ogniem paszczy, o nieprawdopodobnie złośliwym wyrazie. O'Flaherty'emu zrobiło się zimno; wstał by nałożyć sweter.

Irene wybuchnęła śmiechem.

- Nie przejmuj się, kochanie - krzyknęła z uciechą. - Jestem pewna, że to paskudne oszczerstwo. Diabeł jest miłym w obejściu, czarującym dżentelmenem - a raczej byłby nim, gdyby istniał.

[George Bone uśmiechnął się do siebie uśmiechem świadczącym o tym, że doskonale wie, jak jest naprawdę.]

O'Flaherty przeczytał jeszcze kilka słów. Nie miał ochoty bać się urojeń jakiegoś arty-sty.

- Na szczęście recepta nie zawiera trudnych do zdobycia

składników, jak skrzydło wampira lub krew nowonarodzonego niemowlęcia.

Uśmiechnął się i przytulił przyjaciółkę, żeby ją ogrzać.

- Czy po twoich nauczycielskich ciągotkach zostało ci trochę kredy?

Z uśmiechem skinęła głową.

- A więc zaczynamy.

I O'Flaherty Gribble namiętnie ucałował obiekt swej pierwszej prawdziwej miłości, a potem ryknął tak serdecznym śmiechem, że dostał czkawki.

Oboje byli straszliwie zaskoczeni, kiedy wewnątrz Trójkąta Sztuk coś potwornie łupnęło, świece zgasły, a w powietrzu rozszedł się duszący, ostry smród siarki.

- O kurwa! - krzyknęła Irene Branigan i zemdląła.

Pokój zalała czerwona poświata. Pośrodku trójkąta stał wysoki, przystojny mężczyzna w nienagannie uszytym, białym garniturze europejskiego kroju, skromnie polerujący sobie paznokcie.

Te tanie, teatralne sztuczki na chwilę wytrąciły O'Flaherty'ego z równowagi. Położył Irene na kanapce, niedorzecznym, pękatym meblu w stylu Bractwa Świętego Wawrzyńca, który przewidująco wciągnęli do wnętrza podwójnego, kredowego kręgu, pozostawiając miejsce na Trójkąt, znaki zodiaku, symbole hebrajskie, greckie i jeszcze starsze, jak również połączone pentagramy ochronne i Gwiazdę Dawida.

- Diabeł, jak sądzę?

- Do pańskich usług.

Niezwykle ugrzeczniony Diabeł oddał O'Flaherty'emu sardoniczny ukłon.

- Jak przypuszczam - rzekł nie owijając w bawełnę - życzy pan sobie zaprzedać swoją duszę?

O'Flaherty poczuł gwałtowną potrzebę udania się do łazienki, ale nie miał zamiaru opuścić w tym celu ochronnego kręgu. Pod lekkim, letnim ubraniem pot spływał mu po ciele. Czuł się tak, jakby ktoś solidnie zbudowany kopnął go w żołądek.

Irena nadal nie odzyskała przytomności.

Nagle umysł O'Flaherty'ego wskoczył na wysokie obroty. Teraz, kiedy wiedział, że ma duszę, nie miał zamiaru jej sprzedać nie sprawdzwszy wprawdzie, ile jest warta. Zmierzył Szata-na lodowatym

spojrzeniem.

- Co dostanę w zamian?

Diabeł uniósł brew.

- No cóż... Trzy życzenia, jak zwykle. Jednak doznawszy pewnych przykrości przed kilkadziesiąt laty, jestem zmuszony zastrzec się, że warunki umowy są teraz mniej dogodne niż niegdyś i wygaśnie ona, jeśli zażąda pan czegoś, na co nie zezwala prawo.

- Na przykład banknotów?

- Nie mamy nic przeciwko podrabianiu pieniędzy, panie Gribble. Nie, wśród rzeczy wycofanych z oferty są takie jak nieśmiertelność, nieograniczona energia czy całkowite zniszczenie świata. Obawiam się, że są absolutnie wykluczone.

- Rozumiem.

O'Flaherty w zadumie przemierzał wewnątrz kręgu. Wydawało mu się, że napotkał jedyną możliwość uwolnienia się od fatum dręczącego go do tej pory, a przynajmniej do chwili spotkania z Irene. Chyba, że spotkanie Irene i jej książka były jego największym pechem, a to, co się teraz działo, stanowiło ukoronowanie jego cierpienia. Podjął decyzję.

- W porządku. Dusza należy do pana. W zamian chciałbym...

- Chwileczkę, proszę. Jeszcze nie dokonaliśmy formalnej wyceny. Diabeł zamruczał pod nosem i coś poruszyło mu się za pazuchą.

- Zaraz przyślą mi pańskie akta i formularz umowy.

Irene poruszyła się niespokojnie, wierzgnęła nogą, ale nie ocknęła się. O'Flaherty do-myślił się, że jej stan prawdopodobnie wywołały siły nadprzyrodzone. Znow oblał go zimny pot. Zaciśnął zęby i trwał w swoim postanowieniu. Nie przytwierdzone do żadnego ciała ramię, zielone i pokryte łuską, opuściło się z sufitu podając Diabłu plik papierów.

Diabeł przerzucił je pobieżnie.

Jego słodziutki uśmiech zniknął nagle. Zmarszczył brwi. Skrzywił się arogancko.

- No cóż, Gribble, chyba tracimy czas. Nie masz nic na sprzedaż.

Nerwowe podniecenie O'Flaherty'ego nagle gdzieś się ulotniło. Bezsilnie osunął się na kanapkę i wybałuszył oczy na Diabła. Mormoni nie wierzą w Przeznaczenie.

- Skazany na potępienie w tak młodym wieku? Już ma pan moją duszę? - wykrztusił z trudem.

- Pańską duszę? - Diabeł spojrzał nań z politowaniem. - Pan nie ma duszy, panie Grib-ble. Ci durnie przysłali tu pana bez niej.

- Panowie i panie, proszę zapiąć pasy i zgasić papierosy. Zbliżamy się do portu lotniczego Kingsford Smith i wylądujemy za dziesięć minut. Dziś wieczór w Sydney jest piękna pogoda, nie ma chmur, a temperatura nie opadła poniżej dwudziestu siedmiu stopni. W imieniu kapitana Parry'ego i reszty załogi dziękuję państwu za skorzystanie z usług Australijskich Linii Lotniczych. Mamy nadzieję, że w przyszłości jeszcze nie raz będziemy mieli przyjemność cieszyć się państwa towarzystwem. Dobranoc państwu.

Samolot przeleciał przez mrok nocy i półkolistą, czarną pustkę Botany Bay, w delikatną poświatę Sydney.

- To musiało być naprawdę zaskakujące przeżycie, O'Flaherty - rzekł George Bone.

Astrolog uśmiechnął się.

- George, czy grał pan kiedyś na loterii?

- Zdarzało się - powiedział Bone.

- No tak. Zatem powinien pan wiedzieć, jak się czułem. Załatwiony. Jakbym wykupił fałszywy los.

- No tak. Współczuję panu. Oczywiście, mój błąd. To nigdy nie powinno się zdarzyć.

- Proszę się nie obwiniać - rzekł O'Flaherty ze słodkim, współczującym uśmiechem. - Pomyłki się zdarzają. Nikt nie jest doskonały. To znaczy...

- Nie jestem przeczulony na punkcie swoich niedociągnięć, synu. Cóż więc stało się z tobą po tym, jak Diabeł odrzucił twoją ofertę?

- Och, dałem się nieść wydarzeniom. Porzuciłem stomatologię, bo nie mogłem znieść smrodu z ust. Potem przeniósłem się na fizykę, zrobiłem doktorat z astrodynamiki, drugi z psychologii, uprawnienia do nauczania i tak, zajmując się tym i owym, uzyskałem jeszcze trzeci - z mechaniki. Zwykła kolej rzeczy.

- A co z Irene?

- A tak. No cóż, pobraliśmy się, ale nasz związek nie trwał długo. Sądzę, że wciąż widziała Diabła w naszym przedpokoju. Wybrała Akademię Sztuk Pięknych i tak czy owak nasze drogi się rozeszły. Później zakochałem się do szaleństwa w naprawdę pięknym, młodym greckim restauratorze nazwiskiem Spike i popełniłem straszliwe

głupstwo zapraszając go do domu, żeby poznał moich rodziców. Chcę przez to powiedzieć, George, że mam dyplom z psychologii, a tu zwałem się nagle mojemu biednemu staremu na głowę. Przez jakiś czas tworzyliśmy parę ze Spikiem, potem poznałem resztę tej ferajny, odkryłem w sobie skłonność do bata, aż wreszcie pojawił się AIDS i doszedłem do wniosku, że wszystko to nie jest warte funta kłaków, a kiedy umarł mój ojciec powróciłem do matki i skoncentrowałem całą energię na pracy naukowej.

- I te badania sprowadziły pana do Sydney?

Koła samolotu łupnęły o beton. Silniki jęknęły, zawyły i spróbowały odczepić się od skrzydeł, które zadrżały z oburzenia.

- Hm. Efekt Kallisto. Nie sądzę, żeby pan... - zaczął O'Flaherty powodowany zwykłą uprzejmością i zaraz podskoczył (bo zdążył już rozpiąć swój pas) tak żwawo, że wyrznął głową w plastikową szafkę. - George, proszę mi powiedzieć! Czy mam rację, co do Efektu Kallisto? Czy odnajdę Pierwszego Kallisto i dowiodę słuszności mojej teorii? Pan może zajrzeć w przyszłość, George - niech pan zerknie raz dla mnie. Czy Joe Wagner jest tym człowiekiem, o którego mi chodzi?

George Bone wstał i założył płaszcz. Smutno potrząsnął głową.

- Nic ci nie powiem, O'Flaherty, i nawet nie powinieneś pytać.

- O... - astrologowi wydłużyła się twarz.

- Chyba zgodzisz się z tym, że wiedząc wszystko z góry straciłbyś całą radość życia?

- Pewnie tak - przyznał niechętnie O'Flaherty, wchodząc za wysokim towarzyszem do hali przylotów. - Jednak jeśli tak jest, czy nie znaczy to również, iż astrologia i inne nauki przyrodnicze są - delikatnie mówiąc - pieprzeniem w bambus?

- To logiczne, ale konsekwencja nigdy nie była moją mocną stroną. A więc... - George Bone wyciągnął rękę i mocno potrząsnął dłonią O'Flaherty'ego - miło sobie pogawędziliśmy, mój chłopcze, i życzę ci powodzenia w badaniach.

Oszołomiony O'Flaherty patrzył, jak idzie żwawo w kierunku ruchomego chodnika. Jakiś facet - sądząc po uniformie, szofer - podszedł do niego, przejął bagaż i obaj zniknęli w tłumie.

O'Flaherty dopiero teraz doszedł do siebie. Skoczył za Bonem, wołając go i rozpaczliwie machając rękami. Ludzie patrzyli na niego z dezaprobatą.

- Hej! - wrzeszczał astrolog. - Hej, George! A co z moją duszą

Nie powiedziałeś mi nawet, co mam robić z moją duszą...!

Jednak wysoki mężczyzna już zniknął i O'Flaherty samotnie, w ponurym nastroju musiał przepychać się pod prąd przez ruchome schody, żeby odebrać swój bagaż z karuzeli.

Rozdział piętnasty

Doświadczeni, odbywający dalekie podróże ludzie wiedzą, że tylko jedno jest gorsze od oczekiwania przy karuzeli na swój bagaż.

To rezygnacja z oczekiwania na bagaż, ponieważ te świny zapodziały go gdzieś między Dżakartą a Kairem i wiesz, że już nigdy go nie zobaczysz.

Hsia Shan-yun, Freda Odell i reszta przestępców z promu z trudem posuwali się na-przód po powierzchni nieprzyjaznej planety Raj, nie obarczeni żadnym bagażem, bowiem poza wystrzępionymi workami, które mieli na sobie, zaiste nie posiadali niczego.

- Niezbędne produkty, których nie możemy sami wyhodować ani wytworzyć, zrzucają nam z orbity - powiedział nadskakujący Shan-yun brodacz. Po sprzeczce z Ansonem wszyscy spoglądali na nią ze sporym szacunkiem. - Spuszczają nam je na spadochronach, w ogóle się z nami nie kontaktując, nawet przez pokładową Pluskwę. Żadnej maszynie nie wolno przeby-wać na planecie.

Shan kiwnęła głową, spoglądając ponuro na włochatą zielen porastającą powierzchnię planety i myśląc o tym, że lepiej byłoby, gdyby pod stopami mlaskało jej teraz ohydne błocko kochanej, ciasnej celki, którą dzieliła ze swym bliskim przyjacielem, Turdingtonem Jimbo.

Zbierało jej się na płacz, ale kiedy pod całą wyrobisz sobie reputację twardziela, to tracisz prawo do porządnego, podnoszącego na duchu wycia.

Moment przyjemności, który zapłonął jej w żyłach niczym orgazm, bezpowrotnie prze-minął.

Umiejętność splatania Pasiastej Dziury to jedno. Zaś znalezienie surowca i czasu, aby poprzekładać nitki w dziesięciowymiarowej

przestrzeni Kaluzy-Kleina, to całkiem inna sprawa.

- Utknęłam tu na dobre - żałośnie zamruczała do siebie. - Nigdy stąd nie ucieknę. Do końca życia pozostanę płaską jak decha karliczką.

Istotnie, minęło dziewięć i pół długich lat, mierzonych wedle rajskiego czasu, w czasie których, ze względu na czasowe zawieszenie programu, żadni nowi mieszkańcy nie przybywali promem - lat walk o władzę i prób brania jej gwałtem; mroźnych, pokrytych śniegiem poranków i czterdziestostopniowych, rozmiękczających skołatany mózg południowych upałów; wznoszenia dachów ze skrzyżowanych kłód i oglądania, jak wałą się, roznoszone wichrami sadzy; gwałtownych wybuchów szczerego, mimo wszystko, śmiechu rzucanego w twarz przeciwnościom; łez, których powodem była strata ukochanych; brania i dawania, wspomnień i zapomnienia, podejmowania walki i zapominania o prawie, aż wreszcie na wschodnim biegunie świata skazańców zwanego Rajem wylądowała kończąca turnus, gala-ktyczna grupa wycieczkowa, w skład której wchodziły rezerwowe zawodniczki połączonych lig futbolowych z Gamma Globulin, która to wycieczka przypadkowo uwolniła żałosne resztki zesłańców.

Statek wycieczkowy jaszczurczych dam - pół miliona młazszącego, nasyconego lanoliną urdatu i giętego szkła - pozostawał przez cały miesiąc na przepięknym, wschodnim biegunie, podczas gdy damy brały kąpiele i podziwiałały widoki. Brontomegazaury z Gamma Globulin, jako przedstawiciele wyjątkowo długowiecznej rasy nigdy się nie spieszą w czasie swoich wycieczek.

Grupka wynędzniałych, zdesperowanych ludzi, płynąc, brnąc przez płycizny, przeciągając łodzie od rzeki do rzeki, za pomocą lin pokonując góry, idąc na przelaj i przewyciężając szalone trudności dotarła wreszcie do płaskowyżu, na którym, zgniatając kilometr kwadrato-wy smakowitych, kwitnących brodawkoryjców i kilka tysięcy drobnych kręgowców, leżał statek wycieczkowy „Snardly Blint”.

Wśród członków wyprawy była oczywiście Shan-yun, chociaż w demokratycznym głosowaniu odmówiono jej prawa dowodzenia grupą, co zresztą przyjęła obojętnie. Natomiast zrobiono ją zwiadowczynią.

- Hej! - krzyknęła zobaczywszy statek.

Z jego kominów unosiły się kłęby dymu.

Sercem Shan-yun owładnęło straszliwe przeczucie.

Boczne podnośniki hyperprzestrzenne statku zaniósł się niesamowitym, rozdzierającym uszy, mechanicznym jękiem.

Z kopuł widokowych spacerowca unosiły się oślepiające, wielobarwne strumienie cząstek elementarnych, chlustające z pyłem wybuchających fotonów.

- Hej wy, glutofady! - wrzasnęła Hsia Shan-yun, biegnąc i potykając się pod ciężarem pustawego wora z prowiantem, ręcznie kutej, hartowanej w ogniu maczety oraz łuku, kołcza-na i strzał.

Lekko i harmonijnie powiewając flagami, statek wycieczkowy „Snardly Blint” uniósł się w przeraźliwie jasne niebo Raju, a jego pasażerki skryły się w zacisze kokonów antyprzyspieszeniowych.

Na jego pokładzie kapitan oraz załoga rżnęli w karty i zaczęli długą popijawę, która zwyczajowo wypełniała im nudne tygodnie spędzane w hyperprzestrzeni, między jednym a drugim portem. Żaden z tych wąsatych, uszastych, widzących w podczerwieni i porozumiewających się na bliskie odległości przy pomocy telepatii stworów nie zwrócił uwagi na przy-czepione do skóry mikrofony, rejestrujące wrzaski wzywającej pomocy Shan.

Tacy właśnie są Bargleplodowie, rozumne istoty, które od ponad siedmiu milionów lat regularnie przemierzają gwiazdne szlaki nie podejmując - w przypływie tromtadrackich, imperialistycznych ciągót - prób opanowania Drogi Mlecznej, ani nie wybijając się wzajemnie w nuklearnych waśniach.

Pomyślicie pewnie, że wszyscy zazdroszczą Bargleplodom tego, że niewymuszona bez-troska i obojętność zagwarantowała im przetrwanie wykraczające znacznie poza granice czasowe określone analizami kultur międzygwiazdnych wykonanymi przez Carla Sagana. Jednak tak naprawdę, to są oni zbyt leniwi, flegmatyczni, tępi i nudni, by ktokolwiek będący przy zdrowych zmysłach zazdrościł im czegokolwiek lub chciał z nimi rywalizować.

Trudno się dziwić, że to właśnie Bargleplodowie byli tymi, którzy zostawili automaty-czną myszołapkę na zielonej, miłej planecie, jaką kiedyś była Alfa Szekli.

Wybałuszając zaczerwienione od wiatru i wściekłości oczy przypominające obrane ze skorupki jaja na twardo, Hsia Shan-yun z

niedowierzaniem patrzyła na statek Bargleplodów, który dymiąc wzbił się w niebo i zniknął z rozdzierającym uszy łoskotem.

Wiotka jak trzcina i zahartowana przez przeciwności losu Freda, której charakter zaha-rtował się w trakcie wydarzeń bardziej zajmujących niż te, którymi w ramach swojej działa-łności wywrotowej programowała maszyny edukacyjne, ciężko dysząc dowlokła się do Shan-yun i upadła u jej boku.

- O kurwa - zakwiliła. - Odlecieli. Zostawili nas Nigdy się nie uwolnimy, nigdy, nigdy...

Shan-yun całkowicie podzieliła jej uczucia, lecz słysząc skargi płynące z ust zaufanej przyjaciółki poczuła przyływ optymizmu.

- Wstawaj, Freda, to jeszcze nie koniec świata. To po prostu odlatujący statek kosmi-czny. Tam, gdzie składa wizytę jeden obcy statek za kilka lat lub dziesięcioleci powinien zjawić się i drugi. Hej, dziecino, tyle już razem przeżyliśmy, prawda? Każda ma pięcioro ładnych dzieci, a szpital jest już prawie na ukończeniu, a jeżeli uda nam się zebrać plony przed Wielką Suszą, to spokojnie dożyjemy do jesieni. Chcę powiedzieć, że to nie jest tak, jakby słońce miało zgasnąć, czy coś w tym rodzaju.

Z wprawą nabytą w wyniku długotrwałej praktyki trzasnęła się po nodze.

Zwierzęta Raju nie zawsze są przyjaźnie nastawione. Na przykład Anson został pasku-dnie załatwiony przez jakieś oślizłe świństwo, które spadło mu na plecy z drzewa i z okro-pnym siorbaniem wyzarło mu mózg, nim ktokolwiek zdążył doskoczyć i zatłuc je.

Dlatego Shan-yun krzyknęła i spojrzała w dół, aby sprawdzić, co próbowało ją ugryźć.

W trawie miotła się mała, jasna maszyna.

Była to pierwsza prawdziwa, metalowa maszyna, jaką ujrzeli na Raju od chwili, gdy ich prom pomknął z rykiem na orbitę.

- Och! Biedactwo się zgubiło.

- Czyżby to był...

- Na E. Hubbarda, Shan, myślę że to...

W wybałuszonych oczach Shan zabłysła radość i zadowolenie. Skoczyła za zwinnym, małym, szybko umykającym mechanizmem i przewróciwszy go na ziemię jednym błyskawic-znym, wyćwiczonym chwytem, zaczęła go rozkładać na części.

- Autonomiczny opiekacz grzanek!

Freda oblizwała się.

- Gdybyśmy tylko mieli kilka kromek prawdziwego chleba, takiego jaki niegdyś wypie-kano na Ziemi, dostarczanego w plastikowym woreczku... Wydaje mi się, że czuję ten cudo-wny smak pleśni. Jeśli wolno mi spytać, szefowo, czy nie sądzisz, że toto lepiej działałoby, gdybyś mu zostawiła nogi?

Shan-yun zachichotała radośnie.

- Zapomnij o chlebusiu, Freda. Czy nie rozumiesz, co to oznacza?

Szczęka jej równie inteligentnej, lecz mniej zręcznej w palcach koleżanki opadła. Krew odpłynęła jej z policzków i innych, mniej widocznych miejsc.

- Chcesz powiedzieć... Przecież nie potrafisz..?

Shan obdarzyła ją promiennym uśmiechem.

- Właśnie! Z zasilaczem kwarkowym tego uroczego gościa i pękiem przewodów z jego wnętrza za trzy dni będę miała uplecioną Pasiastą Dziurę

Zatroskanym spojrzeniem obrzuciła niebo. Ściemniało się już, ale przy odrobinie szczę-ścia powinna odwalić sporo roboty zanim zapadnie mrok.

- Coście znalazły? Hej, ludziska, patrzcie no - maszyna!

Freda podniosła palec do ust i reszta przybyłych uciszyła swoje przepychanki i uwagi, obserwując zręczne, migające palce kobiety, która miała im zbudować hiperprzestrzenną ście-żkę przez robaczą dziurę, do rodzinnej Ziemi i mocno spóźnionego odwetu.

Rozdział szesnasty

Ognisto czerwony porsche Sopwitha Hammila zazgrzytał o krawężnik i prawie wjechał w przysadzisty pień dębu wyrastającego z płataniny sękatych korzeni o pół metra od rynszto-ka. Silnik zgasł ze zjadliwym chichotem.

W normalnych okolicznościach Sopwith strasznie by się zdenerwował niebezpieczeń-stwem zagrażającym ukochanemu kabrioletowi. Jednak, jak wiecie, straszliwie się zdenerwo-wał już wcześniej w wygodnym zaciszu swego saloniku i teraz Kompas jego

nastrojów obrócił się o 350 stopni, wskazując niemal całkowite załamanie psychiczne.

Wygramolił się z wozu i zatrzasnął drzwi. Korzystając z gasnącego blasku („Oszczędzaj światło!”) letniego wieczoru, przystanął pod gęstym listowiem i próbował się uspokoić.

Okna apartamentu w South Yarra, który Cynthia dzieliła ze stałą towarzyszką narciar-skich wypraw, Rebel, z jednej strony wychodziły na Żeńskie Liceum Kościoła Anglikańskie-go, a z drugiej na otoczony ogrodzeniem z metalowych, ostro zakończonych prętów Króle-wski Ogród Botaniczny. Z Ogrodu dopłynęła do Sopwith zapierająca dech w piersi miesza-na zapachów miejscowej i egzotycznej roślinności, niesiona łagodnym tchnieniem wiatru. Była to prawdziwie cudowna woń i powinna być rozkoszą dla nozdrzy Sopwitha.

Nabrał wonnego tchu w płuca i poklepał spoczywające w wewnętrznej kieszeni kurtki, dodające otuchy pudełko, dla zdobycia którego o mało nie popełnił zbrodni. Ten cholerny jubiler głośno narzekał, że musi otwierać sklep w niedzielę w nocy. Bogu dzięki, że to nie była sobota! W końcu Sopwithowi udało się namówić gościa, roztaczając przed nim kuszące perspektywy świadectw jego kunsztu błyszczących na stronach kronik towarzyskich, kiedy czołowy telewizyjny meteor w mieście zwiąże się węzłem małżeńskim w błyskach fleszów i w strugach szampana.

Gdyby apartament Cynthii wystawiono na aukcję ogłoszenie zachęcające do kupna brzmiałoby mniej więcej tak

**NAJCZAROWNIEJSZY
APARTAMENT
NA PIERWSZYM PIĘTRZE
USYTUOWANY W UROCZYM,
BEZPOŚREDNIM
SĄSIEDZTWIE
OGRODU BOTANICZNEGO,
ZE WSPANIAŁYM WIDOKIEM
NA PANORAMĘ MIASTA**

Przedpokój prowadzi do rozkosznie
rozległego

pokoju stołowego połączonego z
salonem
wychodzącym na słoneczny balkon i
przylega-
jącym do dobrze wyposażonej
kuchni, którą można
wykorzystywać jako jadalnię. Dwie
sypialnie,
również obszerne i dobrze
nasłonecznione.
Wygodna łazienka i suszarnia
bielizny.
Wspaniały, zamknięty garaż.
Oglądać po uzgodnieniu
terminu.

Jednakże jako prezent, otrzymany przez Cynthię od tatusia na osiemnaste urodziny, apartament ten nie był na sprzedaż. W oknach na pierwszym piętrze, za suto marszczonymi zasłonami paliły się światła - ciepłe, łagodne i przyjazne.

Cynthia stosunkowo łatwo pogodziła się z obowiązkami, jakie nakładał na Sopwitha jego, prowadzony na żywo, program i nie oczekiwała kochanka wcześniej niż za pół godziny, lecz konwenanse były dziś ostatnim z jego zmartwień.

- Soppy! - jęknęła z udaną zgrozą ciemnowłosa dziewczyna (czy naprawdę mogła nazywać się Rebel Jasmin Horowitz?) wyglądając zza uchylonych drzwi. - Co, tygrys dziś napa-lony? Hej, szalenie podobał mi się twój dzisiejszy show. Krew i flaki, Soppy, krew i flaki - ale przełknęli to.

- Rebel, słuchaj...

- Włazże, chłopie, nie marudź. Zrobię ci drinka. Czy uwierzysz, że Cynthia jeszcze sie-dzi w kąpieli?

Sopwith usiłował się uśmiechnąć. Głębokie, stłumione uderzenia sędziwego zegara, niewątpliwie części dziedzictwa Belvue-Bennetów sprawiły, że zgrzytnął zębami. Stracił już pół godziny na zdobycie tego cholernego pierścionka i przedarcie się tu przez te wszystkie kretyńskie, cholerne jednokierunkowe ulice.

- Dzięki, Reb...

- Piña Colada? Kahlua z wódką? Koktail „Siekiera-motyka”?

- Dobry Boże! Cokolwiek masz...

- Mam wszystko, czego ci trzeba, kotku.

- Daj mi piwo.

- A, to nie tutaj. Cyn musi je chyba trzymać w kuchni, w lodówce. Czym mogę ci służyć? Carlton? Forster? Heineken? Wiesz co, Sopy, w zeszłym tygodniu dostaliśmy wspa-niały, leżakowany Captain Schauble z...

- Forster, Rebel. Na miłość boską, daj mi po prostu zwykły, australijski Foster.

Kobieta obróciła się gwałtownie.

- No, no, jesteśmy dziś nerwowi. Cała ta nerwówka w świetle jupiterów nie służy ci, Sopy... No już, idę.

Gdy tylko się odwróciła, Sopwith pobiegł na palcach do łazienki.

Jednak nie zdołał zmylić radarów współlokatorki. Przechwyciła go w połowie holu i ostrzegawczo pokiwała emaliowanym paznokietkiem.

- Świntuszek, świntuszek - powiedziała zastawiając mu drogę i wystawiając na pokaz różowe dziąsła i bajecznie drogie zęby. - Biedactwo zapewne nałożyło sobie na twarz jakąś maź. Wróc tu jak grzeczny chłopczyk i opowiedz cioci Reb wszystko o tej świni, jaką pod-łożyłeś biednemu, staremu Freddy'emu.

Sopwith szorstko odsunął ją na bok. Tracąc równowagę oparła się o wytapetowaną ścianę i rozdziawiła usta.

- Potem, kochanie. Sprawa życia. I śmierci.

Cynthia spojrzała nań z chłodnym uśmiechem, gdy wpadł jak bomba do łazienki i zatrzasnął za sobą drzwi. Jeśli nie liczyć jednej sztucznej rzęsy, była całkiem naga.

- Mój porywczy kochanek.

- Cyn, stało się coś, co...

- Doprawdy, Sopy, usiądź tam, na klopiku i weź trzy głębokie oddechy. Wyglądasz okropnie.

- Dziecino!

Rozsadzało go napięcie. Ciężko dysząc usłuchał jej rady i usiadł na sedesie, wciąż je-szcze ozdobionym estapollową kalkomanią sprzed dziesięciu lat, przedstawiającą wywalają-cego język Micka Jaggera.

Nawet bez makijażu i z jedną rzęsą dwukrotnie grubszą od

drugiej, Cynthia Belvue-Bennet była naprawdę zdumiewająco atrakcyjna. Sopwith nagle odkrył, że perspektywa dzie-lenia z nią nowego, prymitywnego świata, w grupie dobranych, wyznaczonych do przetrwa-nia osób, chociaż rzecz jasna mniej przyjemna niż systematyczne, cotygodniowe ukazywanie się milionom oczarowanych, pełnych podziwu telewidzów, również ma swoje dobre strony. Pozwolił, aby te wizje krystalizowały się w jego mózgu i nie bez wysiłku zapanował nad swoim głosem.

- Nie mogłem czekać - rzekł niepewnie.

- Jednak będziesz musiał, kochany. Nie mamy czasu, mimo że przyszedłeś pół godziny wcześniej.

- Cynthia, ja... ja... Chcę, żebyś za mnie wyszła, Cyn.

Cynthii odkleiła się sztuczna rzęsa i opadła na podłogę jak pajęczek.

Osierocone oko, tak samo jak i sąsiednie, rozszerzyło się z radości i zdziwienia. Cynthia rzuciła się w ramiona Sopwitha, uderzając kolanami o kafelki.

Jak wiele podobnych jej dziewcząt, Cynthia Belvue-Bennett była żywym dowodem słu-szności teorii cykli trzydziestoletnich. Straciła lata dwudzieste i pięćdziesiąte, ale i tak miała mnóstwo frajdy, jeżeli wziąć pod uwagę korzyści wynikające z istnienia antykoncepcji i samolotów odrzutowych.

- Kochany! Jakże to romantyczne! Już od miesiący nikt nie prosił, żebym za niego wy-szła!

- Tak, czy nie?

- Ojciec będzie, oczywiście, przeciwny. Stary piernik mierzył co najmniej w baroneta. Wciąż mu powtarzam, że jeśli chce baroneta, to musi mnie umieścić na Sloane Square, ale on nigdy nie...

- Cynthia, wyjdiesz za mnie czy nie?

- ...umiał przegrywać z wdziękiem, musiał się przez miesiąc czy dwa dąsać.

Dotknęła jego policzka ustami pachnącymi jeszcze fluorową pastą do zębów, zakręciła się i chwyciła koronkowy peniuar.

- Boziu, ależ Reb się podnieci. Cóż to będzie za ślub! Katedra Świętego Jana, wszystkie kanały telewizyjne, każdy liczący się...

Sopwith złapał ją za ramiona i mocno nią potrząsnął.

Straszliwy ucisk w uszach i pod czaszką, który ustał na jeden krótki, niebiański mo-ment, teraz powrócił - zgniatając mózg,

wyciskając oczy z oczodołów i wywracając wnę-trzności.

- Nie rozumiesz, Cynthio. Żadnego weseliska. Nie ma na to czasu.

Wyrywała mu się z siłą i zręcznością sprawnego narciarza.

- Bez wesela? Sopwithu Hammilu, co masz...?

- Chcę powiedzieć, że nie ma czasu na nic wymyślnego - krzyknął zduszonym głosem. - Słońce. Wyłączą je, rozumiesz? Musimy się pobrać dziś w nocy.

- Dziś w nocy?

- Natychmiast, dziecino Zdejm ten fatalaszek, załóż coś na siebie i...

Ciągnął ją w kierunku drzwi, ale Cynthia solidnie się zakotwiczyła, złapawszy rękami za umywalkę i zaczepiwszy jedną nogą o sedes.

- To po prostu śmieszne, Sopwith. Mama i ja planowałyśmy ten ślub od lat. A zresztą nie można się pobrać ot tak. To nie Reno, dobrze wiesz. Trzeba dać na zapowiedzi, powiada-mić ludzi, na litość boską, chociaż to miłe z twojej strony, ty narwany wariacie przyjść tu i powiedzieć...

- Wszystko załatwiłem. Znam właściwych ludzi, co zresztą wiąże się z moim zawodem, i nacisnąłem kogo trzeba. Nie myśl, że to było łatwe, Cyn, nie w niedzielę wieczorem, mój Boże, ale przekupiłem urzędnika w Urzędzie Stanu Cywilnego, żeby wystawił formularz z wsteczną datą, i otworzą nam boczną salę, i...

- Naćpałeś się, Sopwith? Znowu brałeś te małe, niebieskie pigułki? Przekupiłeś? Urząd Stanu Cywilnego? - skoczyła do drzwi, zanurkowała pod ramieniem usiłującego ją zatrzymać Sopwitha i wybiegła do salonu.

- Za godzinę możemy być legalnym małżeństwem - wrzasnął Sopwith. - Nie rozu-miesz? Robię to dla nas obojga!

- Najważniejszy dzień w moim życiu, a ty próbujesz go zepsuć! Ty bydlaku! Wynoś się! No już, spieprzaj. Jesteś zboczony, oto co myślę. Sadysta. Powinnaś się tego domyślić, kiedy przyniosłeś ten zestaw do wiązania w zeszły...

- Po prostu przeczytałem o tym w „Penthausie” - załkał Sopwith. Spojrzał na zegarek. Zostało dwie godziny. Zauważyła to spojrzenie i podejrzliwość malująca się na jej twarzy ustąpiła miejsca wściekłości. Musiał cofnąć się przed tą furją, choć jeszcze coś mamrotał, usi-łując

wytłumaczyć swoje niewytłumaczalne zachowanie.

- Gdybyś tylko pozwoliła mi...

Tak jak w duszy i sercu każdego, kto próbował wyrazić prawdę niemożliwą do przekazania (na przykład, w jaki sposób teorię Kluzy-Kleina, dotyczącą superpasm dziesięciowy-miarowej przestrzeni, przez sprasowanie sześciu pasm sprowadzić do teorii niesprzecznej z teorią Einsteina, zachowując unifikację bozonów i hadronów na poziomie pola), tak i w nim zaczęło narastać głębokie, obezwładniające przekonanie, że w ogóle nie powinien był zaczynać tej rozmowy.

Może powinien zacząć od początku i wyznać jej całą prawdę?

Nie. Teraz już w żadnym razie nie mógł tego zrobić. Nigdy by tego nie zaakceptowała, chyba że jako brednie szaleńca.

Cząstką świadomości zarejestrował fakt, że Rebel Jasmine Horowitz patrzyła, jak rozjuszona kochanka wypycha go za drzwi. W jej czarnych oczach zapalił się szklisty błysk seksualnego zainteresowania.

Wypchnięto go za drzwi na podest pierwszego piętra. Zatraskując mu drzwi przed nosem, Cynthia rzuciła mu w twarz swoje ostatnie słowo:

- Ty nie potrzebujesz żony, ty potworze. Potrzebujesz psychiatry!

Przez dziesięć minut Sopwith w milczeniu kulił się na schodach.

Świat wirował mu w oczach.

Może rzeczywiście oszalał. Nie, to ta myśl była szalona. Przecież widział tę cholernie paskudną rzecz z przyszłości, widział jak ukazała się w postaci bochenka chleba na samym środku jego kanapy i jak przeistoczyła się w obrzydliwego, chitynowego insekta, który gdzieś sobie zniknął.

Jeżeli „to” dało mu trzy godziny czasu na powrót z legalnie poślubioną małżonką i podstemplowanymi, potwierdzającymi fakt ślubu dokumentami, to znaczy, że ma dokładnie trzy godziny.

Może je sfałszować?

Sopwith zadrżał i skulił się jeszcze mocniej, przyciskając czoło do kolan. Nie da rady. Owad nie da się nabrać. Taki z niego insekt.

Wstał.

Odwrócił się i stanowczo zapukał do drzwi.

Po dłuższej chwili uchylły się nieco.

Sopwith przyłożył do szczeliny swoje przekrwione oko.

- Cynthio - szepnął ochryple.

- Błagaj o wybaczenie za twoje okropne zachowanie - powiedziała Cynthia. Widział, że przed chwilą płakała, ale teraz kipiała zimną furją. - Czołgaj się na czworakach.

- Cynthio - powiedział Sopwith. - Wiem, że mi nie uwierzysz, ale spróbuj, na miłość boską, proszę cię, spróbuj. Jakies stwory z przyszłości chcą dziś w nocy zgasić Słońce. Mogę ci pomóc uciec do innej ery. Czy zechcesz pójść ze mną do Urzędu Stanu Cywilnego i wyjść za mnie?

Drzwi zatrzasnęły się przed jego nosem, lekko uderzając go w prawy policzek.

Po chwili wpadł na nowy pomysł.

Stanowczo zapukał do drzwi.

Po dłuższej chwili Rebel Jasmine Horowitz uchyliła je nieco.

Sopwith przyłożył do szczeliny swoje przekrwione oko.

- Rebel - szepnął ochryple.

- Ty szcurze - powiedziała Rebel niskim, zmysłowym szeptem.

- Rebel - powiedział Sopwith. - Rebel, czy wyjdiesz za mnie?

Drzwi zatrzasnęły się przed jego nosem, silnie uderzając go w prawy policzek.

Rozdział siedemnasty

To, czego było potrzeba Sopwithowi i czego nie miał czasu szukać, to rada doświadczo-nego redaktora „Kącika Złamanych Serc”.

Najlepsza we Wszechświecie redaktorka takiego działu właśnie sprawdzała swój biule-tyń na ekranie sprzężonego z modemem terminalu.

Na zewnątrz okropny skwar dnia zelżał ledwie odrobinę, lecz wewnątrz parnej, klimaty-zowanej kapsuły na Alfa Szekli otyła, zielona jaszczurzyca znana milionom czytelników „Inteligencera” jako Meg Łagodne Serce powachlowała się pazurami - używając ich raczej ja-ko narracyjnej metafory niż z rzeczywistej potrzeby - i przeszła od sekretarzyka do okna, aby zaciągnąć mikowe zasłony.

Przeżywszy połowę swego pierwszego tysiąclecia, pani Emilia Aardwimble zrezygnowała ze stanowiska Matrony od Jaj po spowodowanym nadmierną ilością cholesterolu, rozległym zawale - będącym główną przyczyną zgonów wśród brontomegazaurów, związaną z ogromnym napięciem w jakim żyją wszystkie gatunki dinozaurów zmuszone do pędzenia życia na suchym lądzie, co powoduje sporadyczne, lecz nieuniknione dolegliwości sercowe.

Podczas długiej, rekonwalescencyjnej wycieczki po galaktyce, szukając turystycznych atrakcji trafiła na niezwykle, mechaniczne miasto Skałokruszczypce i natychmiast rozkochała się w nim, choć nie umiałaby podać żadnych logicznych powodów tego uczucia.

Być może spowodował to huk i brzęk, pracowity pomruk.

Może chodziło o przedziwne piękno planety, niestłamszone ekologicznymi subtelnościami życia organicznego, tak że trujące, ale piękne opary stale unosiły się na niebie, przypo-minając rozbite jajka (choć nie było to porównanie jakiemu pozwoliłaby błąkać się po swej świadomości czujna pani Aardwimble), a młode maszyny wesoło bawiły się wśród hałd tak rakotwórczych, że spowodowałyby galopującego raka płuc i przewodu pokarmowego każdego pozbawionego osłon stworzenia, którego metabolizm opiera się na cząsteczkach węgla.

Teraz pani Aardwimble na chwilę przystanęła przy potrójnie oszklonym oknie, z rozmarzeniem spoglądając na jaskrawożółte niebo i pokryte zielonym nalotem, kanciaste kontury budynków.

Znad morza płynnej rtęci nadleciał ożywczy huragan, unoszący tumany purpurowej mgły, i poprzez solidne ściany kapsuły umożliwiającej jej normalne życie do uszu Emilii dotarło radosne brzęczenie i terkot bawiących się machin.

Uśmiechnęła się na widok ich szczęścia, lecz w tym uśmiechu kryła się gorycz wywołana wspomnieniem tysięcy tych, którym nie poszczęściło się tak jak jej.

Powoli i rozważnie odwróciwszy się na ogonie przesunęła potężne cielsko z powrotem do wykazu dramatycznych listów na ekranie monitora.

Większość tych epistoł była zbyt osobista i szokująca, aby odpowiadać na nie w gąszczu. Meg Łagodne Serce zawsze odpowiadała na nie osobiście, bezpośrednio, korzystając z sieci typu Ethernet. Ta cecha jej charakteru była najbardziej wzruszająca i

przeważnie wywoływała pożądane reakcje adresatów, chociaż większość czytelników nie zdawała sobie z tego sprawy.

Usadowiła się w potężnym, hydraulicznym fotelu z otworem na ogon i, jak zwykle, zerknęła na umbrowy hologram czwórki dzieci i nowsze, wyraźniejsze holo wnuków. Jak wszystkie gady, jej gatunek rozmnażał się na Gamma Globulin wolno, ale solidnie.

Pani Aardwimble gorąco podziękowała Wielkiemu Świszczącemu Księżycowi, że jej dzieci rosły zdrowo, krzepkie i szczęśliwe. Gdyby tylko...

Z jednego z najstarszych hologramów serdecznie uśmiechało się do niej oblicze młodego Briana Aardwimble'a, łamiąc jej serce.

Brian, świetnie zapowiadający się muzyk, mistrz kontrapunktowego trylu, niezwykle utalentowany jaszczur, który zginął tragicznie w tak młodym wieku.

Tylko pani Aardwimble i jej inseminator wiedzieli, że Brian zaślizgł się do imentu.

Jedynie oni znali udramę spowodowaną przez ich błędy; próby wpływania na niego od jaja, wymagania stawiane w czasie długich, spędzanych w skórzastej powłoce lat, które powinno być okresem spokoju i medytacji poprzedzającym narodziny, a z których uczynili koszmar współzawodnictwa i przedwczesnej rywalizacji z rówieśnikami.

Jednak teraz, patrząc na jego młodzieńczą podobiznę, wiedziała, iż z cierpienia rodzi się mądrość.

Westchnąwszy, pani Aardwimble przywołała na ekran pierwszy błagalny list.

Jego autorką była młoda maszyna, która po okresie bezsensownego samoludlowania wpadła w wir repliki i cierpiała z tego powodu na zaburzenia pamięci. Myślała nawet o wymazaniu swojej kości ROM.

Gwałtownie odwróciwszy się, pani Aardmible jeszcze raz spojrzała na portret Briana, po czym odwróciła wzrok. Starannie dobierając słowa napisała pocieszający list do brzemiennej maszyny.

To nie ukaże się w „Inteligencerze”. To nazbyt osobiste, efekt organicznej miłości.

Żadna machina nie mogła nawet marzyć o czymś takim.

A ponieważ żadna machina nie mogło nawet marzyć o zrobieniu czegoś takiego, właśnie dlatego świat Alfa Szekli, potrzebował pani

Emilii Aardwimble lub jakiejś innej, podo-bnej do niej, żywej istoty.

Następny list został napisany przez starzejącą się domową robótkę, głupawy, samolubny mechanizm, który chciał znać wszystkie odpowiedzi, i to od razu. Dobrze, że miała choć je-dno marzenie, z którego chciała się zwierzyć Meg Łagodne Serce, ale było to marzenie niedo-pracowane i mało ambitne.

Szukała aprobaty dla zamiaru porzucenia małżonka i ucieczki z jakimś błyszczącym bohaterem z bajki.

Jak się zapewne domyślacie, nazywała się Sally Dioda.

Wielka jaszczurzyca rozluźniła pośladki i oparła paszczę o splecione pazury. Czuła litość nie pozbawioną sporej dozy niesmaku. Nie mogąc zdecydować, jaka odpowiedź będzie najlepsza, odesłała list do odpowiedniego pliku.

Po następnych trzynastu listach natrafiła na taki, który był lustrzaną kopią listu pani Diody.

Zaczynał się sarkastycznie, a nawet niegrzecznie. Pani Aardwimble miała ochotę skaso-wać go, ale zawahała się, gdyż pod bijącą z listu goryczą wyczuwała zagubienie i frustrację.

Mechanizm, który napisał te słowa, był rozczarowany małżeństwem, karierą i właściwie wszystkim. Słowa końcowego wyznania były pełne ironii, lecz skrywane pod nią, niespełnio-ne pragnienie poruszyło panią Aardwimble.

- Czy proponuje mi pani, panno Niegodne Serce, żebym porzucił moje małe dzieci i poszedł w świat szukać Prawdziwej Miłości?

List był, oczywiście, od Bruce'a Diody.

Pani Emilia Aardwimble nie była pozbawiona poczucia humoru. Szeroko uśmiechnięta, wywołała na sąsiedni ekran wcześniejszy list i zaczęła układać odpowiedź.

Rozdział osiemnasty

- Jesteś pewna, że nie wylecimy w powietrze?
- Oczywiście, że jestem pewna. Świeć równo.

- Byłby okropny bałagan.

Shan-yun nie odpowiedziała, zezując naciętymi rogówkami na drgający zwój energii. Oblizła wargi i wcisnęła kolejne pasmo w lśniącą powierzchnię.

- Chyba za to cię tu zesłano, no nie? Za próbę rozsadzenia wszystkiego.

Shan nie wytrzymała.

- Słuchaj, już piąty dzień grzebię się o dwa centymetry od punktu osobliwego i moja cierpliwość jest na wyczerpaniu, więc jeśli chcesz wrócić do domu pieszo, ty kwaczący, beł-koczający, śmierdzący cebulą, przeszkadzający...

- Dobra, dobra... - zesłaniec cofnął się od ognia, mruczając coś pod nosem i ponuro marszcząc brwi.

Shan-yun wydawało się, że powiedział: „Nie wyżywaj się na mnie, niewyparzona gę-bo!”, ale nie bardzo mogła skoczyć i skopać mu uszy z głowy, bo gdyby wypuściła z rąk niemal gotową Pasiastą Dziurę wszystko naprawdę mogłoby wylecieć w powietrze.

- Długo jeszcze? - szepnęła jej do ucha Freda.

- Nie wiem. Parę minut.

- Ustawię wszystkich.

Dzieci zagoniono do szeregu, chude, kościste, w ręcznie tkanych ubrankach, które na pewno zwrócą niepożądaną uwagę, kiedy odziane w nie osoby nagle zmaterializują się z powrotem w jakiejś części Państwa.

Jednak w ojczystym świecie miały lepsze widoki na przyszłość niż tutaj, biorąc pod uwagę fakt, że po raz pierwszy od mniej więcej stu dwudziestu lat miała się zebrać w jednym miejscu cała buntownicza społeczność planety, ludzie, którzy przeszli przez ogień i wodę, którzy wiedzieli, jak pracować, planować i przeżyć na przekór losowi.

Wystawiając język, Shan-yun wcisnęła na miejsce ostatnie superpasmo.

Pasiasta Dziura zawisała w powietrzu, obok ogniska, jak błękitna kula naładowanej pla-zmy. Była wybrzuszeniem wyższego wymiaru w czasoprzestrzeń postrzeganą przez ludzi i w ciągu następnych kilku minut wszyscy mieszkańcy planety Raj mieli skoczyć w tę zwariowaną, nadprzestrzenną robaczą dziurę, by z szybkością wielokrotnie większą od szybkości świa-tła dać nura wzdłuż jej śliskich ścian, ku

Ziemi.

- Ja nie idę - oznajmił nagle stary Harry na swój uparty, koźli sposób. - Nie wpakujecie mnie w to cholerne ustrojstwo.

Zanim panika zdążyła się rozszerzyć, Shan-yun kiwnęła na starego uparciucha i nachyliła się, jakby chciała powiedzieć mu coś do ucha. Kiedy przysunął się do niej, podstawiała mu nogę i bezbłędnie wykonanym chwytem judo przerzuciła go przez bark.

Harry uderzył w lśniącą powierzchnię Dziury i wsiąknął tak szybko, że jego krzyk protestu urwał się jak ucięty nożem.

- Działa bez zarzutu - mruknęła ponuro Shan.

Rozległy się spóźnione wiwaty i obniesiono ją na ramionach wokół ogniska. Zanim zdążyli rozbić z tej okazji ostatni bąblowin, wyrwała się im i ześlizgnęła na ziemię, głośno krzycząc:

- Nie gwarantuję stabilności tej prowizorki. Musimy natychmiast ruszać za Harrym.

Wśród zgromadzonych rozległy się bojaźliwe szepty.

- Pójdę pierwsza - powiedziała rezolutnie Freda, zanim sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Wystąpiła z szeregu, niedbałym gestem chwytając się za podbródek, aby zapobiec zdradzieckiemu szczękaniu zębów.

- Chodźcie, chłopcy. Kto na końcu ruszy w tany, ma genotyp poplątany!

Pasiasta Dziura połknęła ją nawet nie czknąwszy.

Jeden po drugim żalosne resztki karnej kolonii znikwały w jej głębi.

Kiedy zniknął ostatni, Shan-yun rozejrzała się wokół, obrzucając spojrzeniem pełnym goryczy, radości, żalu i tęsknoty ten świat, który dał im zarówno wolność, jak i piekielną udrekę.

Czy dobrze robili porzucając ten prymitywny świat, w którym wywalczyli sobie swoje miejsce?

Czy uda im się uwolnić od ucisku braci i siostry na Ziemi?

A może czeka tam niewidzialna Pluskwa, gotowa schwytać ich w pułapkę wybrzuszo-nego gluta, kiedy tylko się zmaterializują?

Otarłszy łzę, Shan-yun zgasiła ostatnie ognisko na planecie Raj, zasypała gorący żużel popiołem i wstąpiła w Pasiastą Dziurę, zaciągając ją za sobą.

Zapomniała o ubocznych efektach wszczepów hiperprzestrzennych, jakie zrobili jej medycy.

Okropne siły zaniósł się przeraźliwym piskiem na wszystkie

dziesięć wymiarów nad-przestrzeni Klauzy-Kleina.

Pola hadronów rozwinęły się i stanęły kością w gardle polom bozonów.

Pozbawione masy spoczynkowej cząsteczki przybrały na wadze i chwiejnie ruszyły przez próżnię, obrzucając wyzwiskami każdego, kogo napotkały.

Shan-yun czuła się tak, jakby niezdarna pielęgniarzka zdejmowała jej szwy z naciętego, niezupełnie zagojonego oka.

Miała wrażenie, jakie mielibyście, gdyby przejechał po was samochód, zaczynając od stóp i wolno jadąc w kierunku głowy.

Przypominało to też uczucie, jakie mielibyście oblawszy egzamin z matematyki dlatego, że myśleliście, iż odbędzie się on następnego dnia.

W rzeczy samej było to uczucie niewypowiedziane gorsze od wszystkich wymienio-nych, ponieważ pod wpływem bezprecedensowego wstrząsu wywołanego spotkaniem Nieporuszanego Obiektu z Nieprzewartą Siłą, przestrzeń skurczyła się we wszystkich wymiarach, zaś czasoprzestrzeń uległa rozwinięciu, w wyniku czego Shan, zamiast skoczyć w bok na odległość lat świetlnych dzielących ją od Ziemi, została cofnięta w czasie i zrozumiała coś, co sprawiło, że zawyla z bezsilnej wściekłości.

Pojęła, że pokręciwszy to i zmieniwszy owo mogła użyć swojej Pasiastej Dziury do rozprucia Restrukturyzatorów Hiperprzestrzeni, wszczepionych w jej zdeformowane ciało, i powrócić do swych dawnych kształtów.

Poczuła się jak ktoś, kto stwierdził, że podarł los, na który padła wygrana w wysokości miliona dolarów.

To było tak, jakby ktoś podarł resztę swego życia.

- Przepraszam, kochanie, dobrze się czujesz?

Nagle stwierdziła, że siedzi w tylnej części dużej sali, po której pałęta się banda prymi-tywnych samców i samic, szczebiocących bez sensu, pochylających się do przodu w fotelach i wbijających wzrok w podłogę w próbie opanowania mdłości, przechodzących do jasno oświe-tlonej, przedniej części sali, gdy wywołano ich nazwiska i śmiejących się na dany znak, kiedy rozbłyskały światła wielkiego neonu, w nie kończącej się pętli reklamującego „!!!NOWY WSPANIAŁY TURNIEJ!!!”.

- Noo, coo...?

- Kochana, wyglądasz tak, jakby przydała ci się filiżanka gorącej herbaty. Słuchaj, bufet jest za czerwonymi drzwiami na końcu korytarza i nie widzę powodu, dla którego nie miały-byśmy się urwać na dwie herbaty i Bexa. Tyle tu światła i hałasu. Niech mnie licho, ależ nie-zwykła suknia... To od Myersa?

Shan-yun przestała ogryzać paznokcie, oderwała oczy od miłej sprzątaczkii, która stała obok klepiąc ją po ramieniu, i spojrzała po ludziach ucharakteryzowanych na sprzedawców używanych samochodów, rozczochrane blondynki o zaczerwienionych od słońca ramionach wyłazających z dekoltów falbaniastych sukien, na szczerzących zęby w uśmiechu, rozmawiają-cych o swoich jachtach rzeźników hurtowych o pyskach jak kartofle, na chichoczące fryzjerki z jaskrawo umalowanymi paznokciami; dostrzegła również podskakującego entuzjastę, który zdawał się kierować tym wszystkim za pomocą wielkich, ryczących głośników, rozbłyskują-cych tu i ówdzie światel oraz ludzi ze słuchawkami na uszach popychających i ciągnących ogromne maszyny mogące być jedynie prymitywnymi przyrządami do transmisji obrazów.

Kobieta odezwała się do niej w dialekcie angielskim, który Shan-yun znała, oczywiście, z zakazanych książek i taśm.

- Filiżanka herbaty - powiedziała na próbę. - Jak miło. Będę bardzo rada. Kładź się, Mac-Duffie.

Kobieta o czerwonych policzkach zaśmiała się wesoło.

- No proszę, już poprawił ci się humor. No chodź, może uda nam się załapać na ciastko z kremem i rodzynekami, chyba że Margo zeżarła już wszystkie.

Na całe szczęście nowa przyjaciółka Shan miała trochę metalowych żetonów, niezbędnych w tej epoce przy wymianie usług, i była uprzejma ofiarować kilka usługującej, która obsłużyła Shan.

Gawędziły nad stołem zastawionym twardymi muszlami wypełnionymi jakimiś błyszczącymi jak kwarc drobinami i miła pani zapytała, jak Shan ma na imię. Ta przypomniała sobie czytana niegdyś książkę z tego okresu opisującą życie wielkiego matematyka oraz uroczą kobietę z filmu o politykach, a potem pomyślała, że lepiej zaufać skromności niż paradoksom czasowym, chociaż już zaczęło jej świtać, że solidny makroparadoks był prawdopodobnie jedyną rzeczą, jaka pozwoliłaby jej ściągnąć na siebie tyle uwagi, aby znów móc sklecić kolejną Pasiastą Dziurę i użyć jej do skasowania tych

cholernych, parszywych, śmierdzących Restrukturyzatorów Hiperprzestrzennych, jakie jej wszczepiono, aby mogła wrócić do domu i dzieci.

- No proszę, już wracają ci rumieńce - powiedziała uprzejma kobieta. - Zostawię cię teraz, wrócisz sama - dodała, poprawiając opaskę na bardzo dziwnie farbowanych włosach i odeszła do swoich wiader i ścierek, zaś Shan-yun zaczęła myszkować po korytarzach wielkiego, rozbrzmiewającego echem budynku, aż wreszcie inna kobieta - szczupła, elegancka i wyniosła - złapała ją za ramię.

- To tutaj; przechodziłaś już tędy dwukrotnie. Nie umiesz czytać, czy co?

- Czytam bardzo dobrze - powiedziała dumnie Shan i usłuchawszy polecenia wyniosłej kobiety, usiadła przed jej biurkiem.

- Chyba nie ma tu twojego nazwiska. Przysłali cię z Działu Zatrudnienia?

- Sama tu trafiłam - powiedziała Shan.

- Hmm - skomentowała tamta. - No dobrze. Jak się nazywasz?

- Mariette Planck - odparła Hsia Shan-yun w przebłysku prorocznego przeczucia.

- Sprawdź czy Sopwith jest teraz wolny - powiedziała kobieta ze złością. - To naprawdę niezwykle irytujące; powinni byli umieścić twoje nazwisko na liście.

Rozdział dziewiętnasty

- Mamy nieodparte dowody! - wołał porywczy O'Flaherty Gribble, usadowiwszy się na biurku Joe Wagnera. Powierzchnia biurka była zasłana równymi, wprawnie nakreślonymi diagramami, które O'Flaherty, nie przerywając gwałtownej przemowy, wysypywał ze swojej aktówki.

- Ale gdzie w tym wszystkim jest jakaś teoria? - skarżył się Joe.

W głębi pomieszczenia małpy paplały z ożywieniem i szarpały kraty. Przez krótką chwilę wyobraził sobie, że wreszcie zareagowały na jakiś feromon wydzielony przez Tłustego Maca, ale gdy przyjrzał im się dokładniej stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że jedynym czynnikiem odpowiedzialnym za ten stan rzeczy było szaleństwo O'Flaherty'ego.

Może powinienem wam przypomnieć, że w tej epoce ludzi można było zazwyczaj zaliczyć do jednej z dwóch głównych kategorii.

Większość była żałośnie łatwowierna.

Mniejszość, w tym głównie ci z pewnym przygotowaniem intelektualnym, była żałośnie nieufna.

Gdybyście powiedzieli przedstawicielowi pierwszej grupy, że przez pocieranie pępka używanym siodełkiem starego roweru można wyleczyć się z raka płuc, to po tygodniu żaden rowerzysta w kraju nie mógłby zostawić swojego pojazdu bez opieki.

Oczywiście, nawet od tej zasadniczo słusznej reguły było kilka istotnych wyjątków.

Mogłeś, na przykład, temu samemu łatwowiernemu facetowi powiedzieć, że od palenia papierosów dostanie raka płuc, a roześmiały ci się w twarz, kaszląc przy tym i charcząc.

Jednak ogólnie rzecz biorąc, zachodziła taka prawidłowość. Krzepiąca, dobrze zakorzeniona nieufność była niemal całkowicie zarezerwowana dla tych, którzy - jak szczury w labiryncie - biegle orientowali się w doktrynach swoich mentorów.

Sama w sobie, nieufność nie jest taka zła.

Przecież nie można wymagać, aby w normalnie funkcjonującym społeczeństwie ludzie zajmujący się pracą twórczą ślepo wierzyli we wszystko.

Zresztą zupełnie bezpiecznie można pozwolić osłom i niedowiarkom myśleć co chcą. Pozwala to utrzymać ich w ryzach i łagodzi zazdrość, jaka mogłaby wkraść się w ich serca na widok tych, którym udało się ucieczka do życia mniej bezmyślnego i szarego.

Joe Wagner wcale nie uważał się za pozbawionego wyobraźni formalistę, skrepowanego Ontologicznym Konsensusem, jaki wiązał jego kolegów naukowców. Mimo to nie miał zamiaru spokojnie wysłuchiwać tych bzdur.

- Najpierw tworzy się teorię matematyczną - cierpliwie tłumaczył O'Flaherty'emu. - Potem próbuje się przewidzieć, co z niej wynika. To najtrudniejsza część pracy. Następnie trzeba rozejrzeć się po świecie i sprawdzić, czy przewidywania były słuszne. Luźne, nie powiązane ze sobą fakty nie mają żadnego znaczenia. Są jak pojedyncze ziarnka piasku - nadają się jedynie do budowy zamków na plaży.

- Widzę, że nie zbudował pan zbyt wielu zamków z piasku - rzekł rozczarowany O'Flaherty. - Potrzebna jest do tego tylko spora kupa mokrego piachu. Czy pan mnie w ogóle nie słuchał? Oto moja teoria - a właściwie, teoria słynnego Gauquelina: przeważająca większość niezwykłych ludzi to ci, którzy urodzili się podczas dominacji lub kulminacji pewnych planet.

- Kulminacji?

- To wtedy, gdy planeta jest w zenicie.

- Przecież to żadna teoria - powiedział z niesmakiem Joe. - To tylko twierdzenie szaj-busa. Chcę kilku równań różniczkowych.

- Nie podam ich panu, ponieważ jest za wcześnie, by tworzyć taki model - rzekł O'Flaherty. - Czy nie wystarczy, jeśli powiem, że spośród dzieci urodzonych podczas dominacji i kulminacji Marsa oraz Jowisza dwa do czterech procent więcej niż wynikałoby to z rachunku prawdopodobieństwa wyrasta na wybitnych wojskowych, mistrzów sportu i polityków? I że taki sam związek zachodzi między dominacją i kulminacją Księżyca, a narodzinami pisarzy?

- Dwa lub trzy procenty? Odchylenie statystyczne, panie O'Flaherty, całkowicie bez znaczenia. Ślęczał pan nad swoimi cholernymi horoskopami tak długo, że oczy zarosły panu włosami.

O'Flaherty nie obraził się. Westchnął i odłożył flamaster.

- Joe, szukałem pana nie szcędząc kosztów ani trudu, i przybyłem tu dziś dlatego i ty-lko dlatego, że z mojej teorii wynikło z absolutną pewnością, iż w pańskim życiu wydarzy się coś niesłychanego. Niech mi pan to przyzna.

Biochemik ponuro spojrział na czubki swoich butów. Przydałoby im się trochę pasty.

- Mógłby pan opowiedzieć tę historię komukolwiek, a każdy znalazłby coś ciekawego. Elementarna psychologia.

- Coś takiego jak zmasowany atak Żeńskiej Orkiestry Armii Zbawienia zmuszający pa-na do skoku z górnego pokładu pędzącego autobusu? Doprawdy, Joe, trzymajmy się pewnych intelektualnych zasad i grajmy uczciwie.

- No dobrze, przyznaję, że to trochę niezwykle...

- Kiedy tu wszedłem, widziałem w pańskich oczach łzy frustracji.

- Ale na pewno jeszcze nie wyczerpałem wszystkich możliwości wyjaśnienia tego faktu.

- Czy chciałby pan, żebyśmy otworzył drzwi i zawołał tu Enid?

Joe podskoczył.

- Niech się pan nie waży! No dobrze, myślę, iż to naprawdę dziwne, że zjawił się pan właśnie teraz. Jednak o ile wiem, mógł pan być w autobusie. Mógł pan pojechać za mną inną taksówką i pokręciwszy się tu przez chwilę odkryć, jak się nazywam, po czym przyjść tu z tą zwariowaną...

Urwał, czując się jak paranoik i idiota, którego robią w konia.

- Jednak niczego takiego nie zrobiłem - rzekł łagodnie O'Flaherty.
- Wiem, kim pan jest, bo przejrzałem wszystkie komputerowe rejestry urodzeń za ostatnie sześćdziesiąt trzy lata.

- Powszechnie sądzi się, że te informacje są zastrzeżone - mruknął Joe.

- Współpracuję z kilkoma firmami ubezpieczeniowymi. Jeśli chce pan zobaczyć prawdziwe czary, to powinien pan zobaczyć, jak otwierają się przed panem wszystkie drzwi, kiedy ma pan poparcie tych facetów.

- Nadal myślę, że to nieetyczne.

O'Flaherty wytarł nos, zdjął okulary i również je wytarł.

- Jakie szkody spowoduje moja działalność? Jeżeli Efekt Kallisto zostanie udowodniony, zapoczątkuje rozwój nowej nauki. W przeciwnym wypadku, okaże się, że wręczyłem ludziom o pańskich przekonaniach młotek, aby wbili nim kolejny gwóźdź do trumny zabobonów i przesądów. A może nie?

- No cóż, naprzykrza mi się pan i zabiera czas przeznaczony na ważne badania naukowe. To chyba jakaś szkoda, nieprawdaż?

O'Flaherty wstał i ruszył do drzwi.

- Joe, jeśli pan sobie tego życzy to, rzecz jasna, zostawię pana w spokoju. Sądziłem, że chętnie skorzysta pan z szansy wyjaśnienia, co się właściwie stało.

W otumanionym mózgu Joe'go tłukła się pewna myśl, równie obojętna wobec jego uczuć, co Tłusty Mac iskający mu rzedniejącą czuprynę.

Kobiety.

Obce kobiety patrzące na niego pożądliwie.

- To głupie - powiedział. - Proszę, niech pan siada. Czy mogę zrobić panu filiżankę ekspresowej?

- Nie, nie piję tego - rzekł O'Flaherty przepraszająco. - To zakłóca wibracje. Nie, proszę mnie nie bić, tylko żartowałem! - krzyknął z

szerokim uśmiechem.

Na kilku następnych stronach mógłbym wam szczegółowo przedstawić hipotezę O'Flaherty'ego Gribble'a, lecz jeśli naprawdę chcecie się czegoś o niej dowiedzieć, to możecie po prostu przeczytać książkę Michaela Gauquelina „Wpływy Kosmosu na ludzkie zachowanie”, albo krytyczną pracę popularnonaukową z dziedziny astrologii profesora Hansa Eysencka i D.K.B. Niasa która, ku ich własnej zgrozie, potwierdziła metodologię i wyniki badań statystycznych Gauquelina.

Ponieważ sam nie należę ani do łatwowiernych, ani do niedowiarków, powstrzymam się od wygłaszania opinii.

W skrócie, rzecz przedstawia się następująco: Gauquelin (a za nim O'Flaherty) twierdzi-li, że istnieje związek między sukcesami człowieka, a pozycjami pewnych planet Układu Słonecznego. Kiedy w tych korelacjach uwzględniono satelitę Kallisto, wynik przeszedł wszelkie oczekiwania.

- Pierwszy Kallisto! - rzekł O'Flaherty z nawrotem niepowstrzymanego entuzjazmu.

- A więc powiada pan, że urodziłem się czterdzieści dwa lata temu, między pojawieniem się nad horyzontem Kallisto, a późniejszym o sześćdziesiąt sześć sekund wschodem Jowisza?

- Tak uważam, sądząc po wrażeniu, jakie wywiera pan dziś na kobietach.

- Dlaczego właśnie przy dzisiejszych urodzinach?

- Może chodzi o liczbę czterdzieści dwa, która zamyka jakiś okres życia.

- No nie!

- Chyba jednak dlatego, że dziś w nocy, około jedenastej, zaobserwowano ciekawą konfigurację planet, które ułożyły się niezwykle dla pana pomyślnie.

- Tak po prostu, co? Ja i ten cholerny Don Juan.

- Właściwie to każdy urodzony pod Pierwszym Kallisto, ale myślę, że pan jest jedynym. Szansę są zbyt małe.

- Jowisz, Saturn, Mars, Wenus i Kallisto, tak?

- Nie, Kallisto i Ganimed nie mają większego wpływu na aktualną sytuację. Tylko większe planety. Zresztą zapomniał pan o Księżycu.

- Księżyc nie jest żadną cholerną planetą! - wrzasnął Joe. - To księżyc!

- Astronomiczne realia nie są w tym wypadku istotne. Joe, przecież z pewnością pan to rozumie. Mamy do czynienia z mieszaniną symboli i pierwotnych sił.

Joe poczuł, że się dusi.

- Załóżmy, że na razie przyjmuję to zwariowane wyjaśnienie. Jakie będą rezultaty tego korzystnego ułożenia, o jakim pan wspominał?

- No, po pierwsze, powodzenie w miłości. Dobrze, proszę się nie denerwować, wiem że to, co powiedziałem jest bezwstydnie nienaukowe. Niech pan to nazwie „wymuszonym eroto-tropizmem”, jeśli ta nazwa bardziej się panu podoba. Albo „osmozą cerebroseksualną”.

- Ty załgany draniu!

- Wenus dostarcza elementu seksualnego podniecenia, a Jowisz męskiego podboju - ciągnął z entuzjazmem O'Flaherty. - Podczas gdy Saturn, jako ojciec Jowisza wzmacnia te efekty na skalę Pierwszego...

- Brzmi to cholernie mętnie. Zresztą, w ogóle się z tym nie zgadzam. A co z Księżycem?

- A to jest właśnie klucz, który pozwoli nam lepiej rozwinąć pańskie szczególne talenty.

O'Flaherty spojrział na zegarek.

- Zawsze pragnąłem to zobaczyć, lecz nawet nie śmiałem przypuszczać, że do tego dojdzie.

Joe Wagner był przerażony.

- Jest coś jeszcze? Coś więcej niż te wszystkie baby na ulicy, łaknące mojej krwi?

- No chyba nie krwi, Joe...

O'Flaherty szelmowsko zamrugnął rzęsami i dopiero teraz biochemik zorientował się, że jego niezwykły gość jest pedałem. Poczuł się nieswojo, bowiem nigdy nie czuł się swobodnie w towarzystwie homoseksualistów, chociaż wyrobił sobie dość liberalny stosunek do pozba-wionych pruderii praktyk tych żalonych dziwaków.

- No, nie. Jak dotąd.

- Te krzykliwe, orfejskie aspekty seksualne są czysto przypadkowe. Nie zdziwiłbym się, gdyby już przeminęły.

Joe'mu znów opadła szczęka. Przeżycie było okropne i niesmaczne, to prawda, lecz w skrytości ducha zaczął się już przyzwyczajać do myśli o swoim nieodpartym wdzięku.

O'Flaherty uśmiechnął się szeroko i poklepał go po ramieniu.

- Nie bój się, Joe - na pewno tego nie straciłeś. Musisz tylko nauczyć się nad tym pano-wać. Głos młodzieńca przechodzącego mutację razi wszystkich dokoła - dopóki proces ten się nie skończy. Wracając do domu powinieneś już być dość bezpieczny...

- Chyba jednak zadzwonię po taksówkę.

Joe zastanawiał się nad otwarciem drzwi i sprawdzeniem przypuszczeń O'Flaherty'ego na Enid, ale zaraz skurczył się na samą myśl o tak ryzykownej próbie.

- A co z tymi innymi „szczególnymi talentami”?

O'Flaherty obrzucił go tak czułym spojrzeniem, że genitalia Joe'go skurczyły się i scho-wały w fałdach podbrzusza.

- Bezpośrednie współczulne wymuszenie pól energetycznych - powiedział z nabożną czcią O'Flaherty.

- Co? Co takiego? Nie, nie powtarzaj, nie zniosę tego!

- Sądzę, że mogę cię nauczyć, jak sięgnąć wprost do wnętrza Słońca i odwrócić wektor siły grawitacji wedle swojej woli.

Twarz Joe'go stała się zupełnie biała.

Czuł się tak, jakby wyrwano mu wszystkie zęby, jeden po drugim.

Uwierzył O'Flaherty'emu całkowicie i bez reszty.

- Słońce? Zwariowałeś? Wciągnąć kawałek Słońca do tego pokoju i...?

- Zachowując pełną kontrolę - powiedział O'Flaherty szybko i z naciskiem, a jego zręczna dłoń znowu zaczęła rysować schematy i symbole, aż trysnęła spod niej struga wykresów, które przyciągnęły wzrok Joe'go, a po chwili skupiły całą jego uwagę, aż w jego piersi we-zbrał duch niewidocznego we dnie Księżyca i biochemik usłyszał jak jego jaźń odpowiada mu echem, jak Ziemia odpowiada Słońcu, Księżyc Ziemi, anoda katodzie i ogniwo ogniwo.

- To jedna z twoich boskich Pasiastych Dziur, no nie?

- Cieszę się, że ktoś ogląda program Sopwitha Hammila.

- Chcesz, żebym zrobił Pasiastą Dziurę?

- Jestem pewien, że umiesz to zrobić. Dla ciebie to pestka.

Tak więc Joe Wagner sięgnął ręką do wnętrza Słońca i wyjął stamtąd śliwkę; wielką, soczystą, czerwoną śliwkę dziesięciu wściekle

wijących się, oszalałych wymiarów; osadził ją w powietrzu i patrzył jak wrze i kipi, a O'Flaherty'emu łzy płynęły po policzkach na myśl o tym, że wszystko, co stanowiło treść jego życia spełniło się w jednej wspaniałej chwili wprost nieopisanie wielkiej radości.

Pośród przeraźliwego wycia wichru, który cisnął nimi przez cały pokój, Pasiasta Dziura zniknęła gdzieś, drzwi laboratorium pękły z trzaskiem, a nietłukące się szyby w oknach za-drżały i obsypały pomieszczenie drobnym pyłem.

Enid wpadła do środka i pomogła im wstać.

Tłusty Mac zapiszczał z uciechy i zaczął klaskać małymi, czarnymi łapkami.

Biochemik i thaumaturg Wagner w oszołomieniu potrzasał głową.

- No dobra - spojrzał surowo na O'Flaherty'ego. - Teraz, jak sądzę, chciałbyś obejrzeć to jeszcze raz w zwolnionym tempie.

Zaczęli się poszturchiwać jak rozbrykani chłopcy, a Enid patrzyła na nich ze zbolaną dezaprobatą.

Thaumaturg? Wiem, to zaczyna was irytować. Starogrecki termin religijny. Oznacza cudotwórcę.

Rozdział dwudziesty

Niebo nad Skałokruszczycem miało barwę głębokiego fioletu, zmieszanego z taką ilo-ścią szarości, że można ją było kroić nożem.

Mknący do domu Bruce Dioda oparł się o piórowe, przeciwwstrząsowe resory swojej linii trakcyjnej. W ciągu ostatnich kilku tygodni wulkany miała fatalny wpływ na pogodę. Wysoko nad warstwą dwutlenku węgla płynęły chmury kwasu siarkowego, co dzień rano zle-wając okolicę okropnym, żrącym deszczem i pozbawiając dzieci możliwości zabawy na dwo-rze.

A jednak, jeśli pominąć wilgoć, pogoda zdawała się poprawiać.

Prawdę mówiąc, Bruce był w doskonałym humorze, jakiego nie miał już od dobrych paru lat. W twardej powłoce czuł drzenie i słodkie mrowienie. Nie czuł się tak od czasu, gdy starał się o rękę Sally, a i wtedy zachowywał się sztywno i rzeczowo.

Pan Dioda niecierpliwie oczekiwał przyjemności, jaką sprawiał mu powrót z pracy do domu.

Wijąca się kolejka robotów odczepiających się i podczepiających do trakcji, wyglądająca w mroku niemal jak żywa istota, zatrzymała się przy wyrwie spowodowanej trzęsieniem ziemi. Podczas gdy automaty tryskały strugami szybko krystalizującego tworzywa robiąc most, Bruce niecierpliwie podrygiwał na swoich sprężynach.

W końcu, nie mogąc się doczekać chwili, gdy zamknie za sobą drzwi swego domowego studia, skierował oczy w głąb swego korpusu i przywołał ostatni list od nieznanym.

- Najdroższy - czytał słowa biegnące po jego wewnętrznym ekranie. - Nie wiem, jak żyłam, zanim cię spotkałam. Chociaż to niemądre, prawda? Ponieważ jeszcze się nie spotkaliśmy. A może jednak już gdzieś się zetknęliśmy, może nasze chipy zostały wykrojone przez ten sam x-laser, może zaprogramował je ten sam programator i w ten sposób, dzięki bitom, które jedno z nas przekazało drugiemu, wytworzyła się między nami jakaś nierozwalna więź.

Coś dziwnego działo się z jego sensorami albo z interpreterem odbierającym dane, które mu dostarczały.

Miedziana zieleń pobliskich budynków lśniła drżącą poświatą, mimo że słońce już kryło się za horyzontem.

Otumaniony miłością Bruce Dioda również zadrżał.

- Pragnąłbym wierzyć, że takich jak my jest tylko dwoje, że odlano nas razem i rozbito formę. O ukochany, jeszcze bezimiennie ukochany, czyż nie możemy razem wejść w świat naszych marzeń, w którym teraz mogę cię ujrzeć jedynie w czasie nieaktywności po godzinach szczytu? Czyż to naprawdę niemożliwe? Nie wierzę...

Bruce delikatnie odesłał cudowne bity z powrotem do zaszyfrowanego zbioru.

Z góry spadły rozpryskujące się krople i system trakcyjny wysunął prowizoryczne daszki. Bruce czuł, że ma ochotę krzyczeć ze szczęścia.

- Deszcz - napisała jego kochanka - jakże podobny jest do bólu, który sączy się kropla-mi, gdy przemija miłość. Gdyby tylko mój małżonek potrafił zrozumieć...

No tak, warknął do siebie Bruce, niech szlag trafi tego tępego, nieczułego bydlaka.

I tak dalej.

- Na pewno zrozumie pan powody - napisała do niego Meg Łagodne Serce - dla których nie mogę opublikować tego listu. Jednak być może będę w stanie pomóc panu odnaleźć się w tej sytuacji. Poślubił pan niewłaściwy mechanizm. Niech mi wolno będzie zatem poznać pana z robótką cierpiącą takie same męki, wrażliwą marzycielką, którą mógłby pan pokochać, gdy-by tylko udało mi się połączyć was ze sobą.

Dzięki ci, pomyślał.

Trakcja wypuściła go. Deszcz przestał padać, ale Bruce nie zarejestrował w swoim domu żadnych oznak aktywności.

Tym lepiej.

Potoczył się, przeszukując pasmo komunikacyjne. Żadnego sygnału - Sally zapewne poszła z wizytą do jednej z tych pustogłowych przyjaciółek i będzie musiał zadowolić się resztkami oleju ze śniadania.

Na tablicy informacyjnej w jego gabinecie paliła się jedna lampka. Dotoczył się tam na swych małych, grubych kólkach, z drżącymi wysięgnikami, i podłączył się.

To nie była wiadomość od ukochanej. Targnęło nim przelotne rozczarowanie, ale na-tychmiast ustąpiło fali gwałtownego podniecenia. To była wiadomość od Meg Łagodne Serce.

Zaproszenie na Ciachnięte Wzgórza! Na kolację. Tego wieczoru.

Bruce poczuł, że intelletor wiruje mu jak szalony. Wiadomość była oczywista! Będzie tam jego ukochana.

Pedantycznie oczyścił sobie korpus i wypolerował soczewki. Pędząc jak młody mech pognął ku trakcji i podczepił się.

Wolno obracając w powietrzu łysawymi oponami, ruszył ku swemu przeznaczeniu.

Sądzę, że nie ma sensu zagłębiać się w szczegóły.

Zgadza się, przy drzwiach powitała Bruce'a wielka, elegancko ubrana jaszczurzyca.

Zgadza się, wprowadzono go do parnego, nieco niewygodnego saloniku.

Zgadza się, stwierdził, że patrzy na dużą, sfatygowaną, artystycznie zdobioną radiolę, którą zręcznym chwytem wysięgnika uchronił przed upadkiem skalą na podłogę.

Zgadza się, szczebiotał słodko jak idiota i promieniował radością na całe pomieszczenie, podczas gdy pani Aardwimble wdzięcznie wyczłapała z pokoju.

- Biedna Sally - pomyślał Bruce, kiedy znów odzyskał zdolność myślenia. - Wygląda, jakby umierała ze zmartwienia.

I właśnie wtedy, mimo zawstydzenia, zapomniawszy o małostkowych pretensjach, zobaczył wyraźnie siebie, i ujrzał też mechanizm, który napisał te wspaniałe, niezwykle listy.

Robótkę, której wcale nie znał!

I w jakiś sposób wiedział w głębi swych najgęściej splecionych obwodów, że Sally postrzegła go z tej samej perspektywy - widziała w nim lśniący serwomechanizm z jego listów, głęboko wrażliwą maszynę, która dotychczas zawsze obawiała się wykrzyczeć swój zachwyty i radość - i myślał, że widziała teraz jego zachwyty oraz radość, jego miłość, miłość.

Ze wzruszającą godnością, nareszcie pewien swoich uczuć, Bruce Dioda poturlał się po podłodze i ująwszy boczny wysięgnik małżonki przycisnął go do swojego otworu chłonnego.

A Sally spojrzała na niego i zobaczyła małą, śmieszna maszynę podobną do singero-wskiej maszyny do szycia z dodatkami zaprojektowanymi przez Gyro Gearloose'a, i wyba-czyła mu nie kończące się sprzeczki, samolubstwo, tandetne kryminały, bezbarwne i przyziewne złośliwości, i wreszcie dostrzegła, że on również był jej wspaniałym, lśniącym bohaterem.

Maszyny nie umieją się śmiać, a szkoda.

Bowiem gdyby tych dwoje było ludźmi i gdyby jakimś cudem jedno nie zatłukło drugiego jakimś ciężkim przyrządem, leżącym pod ręką, albo gdyby powodowani pierwszym odruchem nie wybiegli z pokoju kipiąc wściekłością, no cóż, wtedy z pewnością rzuciliby się sobie w ramiona i wybuchnęli śmiechem, zanosząc się nim, aż łzy pociekłyby im po policzkach.

Jednak roboty nigdy się nie śmieją, tak więc Bruce i Sally Dioda skłonili się sobie z godnością i połączywszy swoje wysięgniki potoczyli się razem na poszukiwanie pani Emilii Aardwimble i obiecanej kolacji.

Przykro mi to stwierdzić, ale historia małżeństwa Sopwitha Hammila przybrała zupełnie inny obrót.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Zegar na tablicy rozdzielczej wypisał zapowiedź nieuchronnie zbliżającego się końca.

Sopwith Hammil spojrział na szkarłatne cyfry oczyma o niemal takiej samej barwie. Pozostało mniej niż półtorej godziny. Zaciśnął pięści, aż chrupnęło mu w stawach.

- O, Boże - jęknął z głębi duszy, co dotarło do ucha Bone'a, zostało usłyszane, zanoto-wane, zaklasyfikowane i wywołało niezwykle subtelną, metafizyczną reakcję adresata.

- O Boże, przez ostatnie dwa lata miałem w łóżku co najmniej setkę najbardziej pożą-danych kobiet w kraju, a nie przypominam sobie ani jednej, która zechciałaby poślubić mnie w ciągu najbliższej godziny.

Co gorsza, nie mógł przestać myśleć o tych wszystkich śliniących się dziennikarzach, bez końca wypisujących w magazynach bzdury na temat tabunów kobiet, które oglądają go we wszystkie niedzielne wieczory i co do jednej - jak twierdzili - płoną szaleńczą żądzą dzielenia z nim łoża.

- Gdzie jesteście teraz, kiedy naprawdę was potrzebuję!?

Zapewne mógłby pojechać do St. Kilda i dogadać się z jakąś dziwką nie pierwszej młodości, albo znaleźć jakąś uczuciową, wymiętoszoną bidulę, tak tępą, że można jej wcisnąć każdy kit.

Wzdrygnął się na samą myśl. To było po prostu zbyt odrażające. Raczej padnie trupem, i to dosłownie, niż da się wrobić w spędzanie reszty życia w innej epoce z jakimś wycieru-chem.

Jedno nie ulegało żadnej wątpliwości - na pewno nie miało sensu bieganie od jednego do drugiego apartamentu zajmowanego przez członkinie kawiarnianego towarzystwa i propo-nowanie małżeństwa ekspartnerkom łóżkowych uciech, z mizerną nadzieją, że znajdzie się taka, która uzna tę propozycję za coś więcej niż kiepski żart. Niechybnie wpadły w tarapaty, bo Cynthia i jej kumpelki z pewnością już wałę w tamtamy.

Niewątpliwie Cyn lub Rebel, albo Cyn i Rebel, wiszą już na

telefonie, relacjonując ze strasznymi i coraz wymyślniejszymi szczegółami, jakim to paskudnym, okropnym zbrodzeń-cem okazał się Sopwith Hammil.

Stwierdził, że głośno dyszy jak zziębnięty niemiecki wyżeł krótkowłosey.

- Łeb mi pęka - mruknął. Zgarbił się nad obszytą skórą kierownicą porsche. - Potrzebna mi rada.

Doszedł do wniosku, że to, czego mu trzeba, to chłodny, obiektywny umysł, nawykły do znajdowania wyjść z trudnych sytuacji.

Tak więc w końcu Sopwith był bliski odkrycia nieprzyjemnej dla siebie prawdy; że nie był ani zbyt inteligentny, ani specjalnie miły.

Jedynym jego talentem, co zrozumiał teraz, gdy w przewodzie pokarmowym wzbierał mu bąbel obrzydzenia, była dziwna umiejętność zarządzania krwawych wiwisekcji przed ka-merami.

- Kamera - jęknął, czepiając się najmniej destrukcyjnej z tych myśli. - Właśnie. Chwyć ich za gardło i mocno potrząśnij. Bezbledne przygotowanie. Dlaczego nie ma tu Gnoma? Ona wiedzialaby, co mam robić!

Podrwał się z fotela i wyrzwał głową w płócienny, zasuwany w razie niepogody lub na noc, dach kabiny porsche. Uderzenie i ćmiący ból skaleczonego policzka wywołały dwa efekty, będące ulubionymi chwytami autorów czytanych w dzieciństwie komiksów - Sopwith zobaczył naraz wszystkie gwiazdy i oślepiąco jasny rozbłysk inspiracji.

Jeszcze dzwoniło mu w uszach, gdy - wydając charczące dźwięki, niczym schwyte w paści zwierzę odgryzające sobie nogę, żeby uwolnić się z pułapki - przekręcił kluczyk w sta-cyjce, zgrzytając protestującą skrzynią biegów wycofał wóz w Clowes Street i zostawiwszy za sobą zatruwające wonne powietrze South Yarra, śmierdzącą chmurą spalin oraz smrodu palonej gumy, zniknął.

Trwało to nieco dłużej niż przewidywał.

Facet z Urzędu Stanu Cywilnego poszedł już do domu i zaniechanej w niedzielny wieczór rodziny, ale, dzięki Bogu, zostawił wszystkie dokumenty w kopercie przybitej pine-zką do drzwi budynku. Sopwith pochwycił je, pospiesznie przekartkował i biegiem wrócił do wozu.

- Jest jeszcze misja dla marynarzy.

- Ach tak - wysapał. - Oczywiście. Port Melbourne.

To nie był ślub roku.

Nie było confetti sypiących z nieba niczym śnieg w lecie. Żadna rozchichotana drużyna wybrana z dumnej grupy kuzynek i serdecznych przyjaciółek nie łapała rzuconej z rozma-chem, ślubnej wiązanki. Prawdę mówiąc, Sopwith zupełnie zapomniał o kwiatach.

Świadkami zostali dwaj przywleczeni za kołnierze, zapijaczni czyściciele zęb, mający kaprawe oczka i kilkudniowy zarost na gębach, którzy zgodzili się złożyć swoje podpisy w zamian za przechowywaną przez Sopwitha na specjalną okazję butelkę Grange Hermitage, choć jeden z nich mruczał niechętnie, że wolałby raczej flachę porto.

- Chyba zwariowałeś - powiedziała świeżo upieczona pani Hammil, gdy małżonek wpychał ją do swego sportowego wozu. - Kto by pomyślał, że Sopwith Hammil może zrobić coś tak romantycznego?

- Przecież powiedziałaś „tak”, no nie? - mruknął niechętnie Sopwith, przejeżdżając skrzyżowanie na czerwonym świetle.

- Jak mogłam powiedzieć „nie” po tym, jak pędząc do mnie nawą, złamałeś temu bieda-kowi palec?

- Nadepnałem mu na nogę nieumyślnie, Mariette. Po prostu nie mogłem się doczekać, aż ta zabawa się skończy.

Sopwith wrzucił najwyższy bieg i przemknął jak błyskawica przez St. Kilda do swojej kawalerki na Collins Street.

Właściwie to już nie kawalerki - przypomniał sobie z ulgą.

Zegar na desce rozdzielczej pokazywał, że zostało mu zaledwie jednaście minut, by dotrzeć do saloniku i insekta.

- Kochanie - rzekła jego żona, z pewną urazą w głosie. - Czy ty zawsze musisz się tak spieszyć? Nawet nie przystanęliśmy, żeby pocałować się jak należy. A może - mruknęła uśmiechając się szelmowsko - tak bardzo ci się spieszy, aby znaleźć się ze mną w łóżku?

- Zaufaj mi, Gno... Mariette - Sopwith w ostatniej chwili zjechał na bok przed autobusu-sem pełnym zakonnic. - Wszystko ci wyjaśnię, kiedy znajdziemy się w domu. Kochana - do-dał ostrożnie.

Nie chcąc tracić czasu i czekać na windę, pierwsze cztery piętra przeleciał po schodach, ciągnąc żonę za rękę. Kobieta, mężczyzna i winda spotkali się na czwartym piętrze i razem wjechali na dziesiąte.

Salonik był pusty.

Z zaczerwienioną z wysiłku twarzą i sercem walącym w piersiach, Sopwith usadowił Mariette Hammil, z domu Planck, na ręcznie obszytej skórą kanapie i przygotował dwa mo-cne drinki.

Rozejrzała się wokół ze sporą dozą podziwu.

- Jeszcze nigdy tu nie byłam - powiedziała. - Zupełnie nieźle, choć ten barek tu nie pasuje.

- Zabrałem go z poprzedniego mieszkania. Pozostałe meble kupiłem razem z mieszka-niem - rzekł Sopwith z urazą w głosie.

A zresztą, czy to ważne? I tak wszystko trzeba będzie zostawić i przyjąć jakieś nowe, wspólne gusta w erze, w której całym umeblowaniu będą niewątpliwie pola czystej energii lub coś w tym stylu.

Małżonka Sopwitha odstawiła nietkniętą szklanę.

- Nie chcesz iść od razu do łóżka?

- Mariette, wypij swojego drinka i posłuchaj tego, co ci teraz powiem - rzekł Sopwith. - Za chwilę zobaczysz coś tak przerażającego, że chyba powinienem dać ci jakiś uspokajający proszek.

- Mów dalej - zachęciła go Mariette i gdyby nie siedziała na pokrytej wytłaczaną skórą sofie w drugim końcu pokoju przysięglibyście, że trąciła go łokciem w żebra. - Co nieco już przeżyłam i widziałam.

- Nie, nie - Sopwith złapał się za głowę arabskim gestem rozpaczony. - Słuchaj, chodzi o to, że dziś w nocy odwiedził mnie stwór z...

Powietrze na środku pokoju zaczęło nagle kurczyć się, musować i kipieć, emitując przy tym dźwięki uzyskiwane zazwyczaj za pomocą przystawki Mooga.

Insektoid zestalił się, szczelnie zapakowany w gips sięgający na wysokość metra.

Na widok Mariette zgiął się w ukłonie.

- Ach, panie Hammil, widzę, że przyprowadził pan swoją towarzyszkę - rzekł machnąwszy do Sopwitha czymś, co przypominało włochate odnoże muchy (gdyby istniały dwume-trowe muchy).

- Psiakrew, mówi pan do mojej żony - powiedział urażony Sopwith. - Ja jestem tutaj.

- Ach tak.

Stwór odwrócił się niezgrabnie i nisko pokłonił.

- Komuś przyzwyczajonemu do stałych metamorfoz nie jest łatwo rozróżnić po wa-szym, prymitywnie nieodróżnicowanym somatycznym wyglądzie...

Podczas gdy cała uwaga insektoida była skupiona na Sopwithu, Mariette zeskoczyła z sofy i zacisnęła dłonie na paskudnym, włochatym, prawym nadgarstku stwora.

Skrzeczając przeraźliwie, stworzenie próbowało się uwolnić.

- Hej! - krzyknął Sopwith. - Tego nie można dotykać, właściwie to...

- Puść mnie, kretynko - prychnął insekt na Mariette. - Wciągasz mnie w strumień czasu. Ugrzęzę w przeszłości.

- Kaluzy-Kleina energia tajna - wysapała Mariette, a jej pospolita, mała twarzą promieniała triumfem. - Wiedziałam, że prędzej czy później wywołam jakiś paradoks i sprawę, że będziecie musieli się mną zająć. Straż Czasu, prawda? Które stulecie?

- Co ty bełkoczesz, kobieto? Straż Czasu? - insektoid był oburzony. - Co za brak taktu. Jestem ważną osobistością polityczną, a nie funkcjonariuszką nadzoru. Proszę mnie puścić, powtarzam!

Mariette ścisnęła mocniej, aż istota zawyla.

- Które stulecie? - nalegała.

Sopwith otworzył usta ze zdumienia. Ta osóbka była twarda jak stal, zdecydowana, uparta i władcza; takiej jej jeszcze nigdy nie widział.

Małżeństwo to wspaniała instytucja, powiedział sobie, obserwując to wszystko w napięciu. Rozwija i hartuje charakter, zaspokajając jednocześnie również podstawowe potrzeby.

- Z czterdziestego siódmego, jeżeli już musisz wiedzieć. A ty?

- Nie twój interes, siostruniu. Powiadasz, że nie przysłano cię tu, aby mnie schwytać?

- Moja droga, do tej pory nawet przez chwilę nie podejrzewałam, że w tej prymitywnej epoce może egzystować ktoś taki jak pani. Czy pani naprawdę jest małżonką tego samca?

- Właśnie zawarliśmy umowę małżeńską - stwierdziła Mariette. - Choć małżeństwo należałoby jeszcze skonsumować. Przyznaję, że nagły entuzjazm Sopwitha był dla mnie nieco zagadkowy, ale wciąż jeszcze szukam klucza do zachowań emocjonalnych w tym barbarzyń-

skim stuleciu. A więc to pani robota?

- Boli mnie noga - powiedział płaczliwie insektoid. - Nie ma sensu obwiniać mnie o cokolwiek. Ja tu po prostu pracuję. Sądziłam, że robię wam obojgu grzeczność.

W czasie tej przemowy beczenie, brzęczenie i arpeggia Mooga przybierały na sile, aż cała trójka czuła ból w uszach.

- Co wy wyprawiacie? W tym pokoju jest nielegalne pole siłowe! Wyłączcie je!

Rozdzierający uszy jazgot narastał, aż wszystkim wydało się, że ściany migoczą, wirują i pokrywają się drobnymi, raniącymi wzrok iskierkami, które wywoływały straszliwe oszołomienie i...

Pasiasta Dziura Joe'go Wagnera, przyciągana przez hiperprzestrzenne wszczepy Mariet-te z równie nieodpartą siłą jak samiec jedwabnik przez niebiański zapach bombikolu, wpadła w przeszłość o niecały dzień wstecz i tysiąc kilometrów na południe, i jak kulisty piorun eksplozji nuklearnej w pierwszej sekundzie narodzin ognistego bąbla, lub jak bardzo, bardzo gorący kawałek sera „Rokpol” zapłonęła w powietrzu nad kędzierzawymi, rudymi włosami Mariette.

Pomiędzy jej radośnie wyszczerzonymi zębami, a Dziurą przeskakiwały ogromne iskry.

Łkając z radości puściła włochate odnoże insekta.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom, przybyła z czterdziestego siódmego stulecia istota nie uruchomiła natychmiast swoich przyrządów i nie śmignęła w straszliwe otchłanie przyszłości, ponieważ - mimo iż była zgryźliwym, obłudnym, rozmiłowanym w biurokracji stworzeniem - w tym momencie obudziło się w niej coś w rodzaju poczucia współuczestnictwa w wydarzeniach i towarzysząca mu chęć przeprowadzenia analiz spekulacyjnych by dowiedzieć się, co też to wszystko, do cholery, znaczy i jak się zakończy.

Sopwith zatoczył się w tył, aż wystająca krawędź niezbyt gustownego barku rąbnęła go boleśnie w lędźwie.

Błyskawice przebiegały po ramionach Mariette, tam i z powrotem, jak małe kocięta.

W jej oczach jarzyły się ognie świętego Elma.

Coś skwierczało, prychało i śmierdziało jak paląca się izolacja.

Mariette trzymała Pasiastą Dziurę w lewej ręce, a prawą szarpała jej pasma, szukając wolnego końca.

Instalacja przeciwpożarowa apartamentu Sopwitha włączyła się, a przeciążona wieża Banga & Olufsena dostała spazmów, ku zgrozie właściciela zestrajając się w końcu z rozgło-śnią nadającą muzykę pop na falach średnich, która to muzyka zagrziała w pokoju z całą mocą wzmacniacza, zmieszana ze sporą ilością zakłóceń związanych z gwałtownymi zmianami pól elektromagnetycznych w pomieszczeniu.

- Złap mnie za nogę - wrzasnęła Mariette, z rozmachem siadając na podłodze i opierając się o sofę. - Złap mnie za prawą stopę, ty zidiociały półgłówek - piszczała. - Soppy, przepra-szam. Wiem, że jesteś przerażony. Wszystko w porządku. No chodź, wyświadcź mi drobną przysługę i pociągnij mnie za prawą nogę... Dobrze, greczny chłopiec.

Do akcji włączyły się zraszacze, opryskując dywan, wieżę Banga & Olufsena i oprawione w skórę książki w małej, rzeźbionej biblioteczce.

Sopwith przedarł się przez ten rozgardiasz i pozbawionymi czucia palcami złapał prawy, pękaty but Mariette.

Pociągnął.

But siedział mocno, opierając się jego wysiłkom.

- Mocniej. Przyłóż się do tego.

Hiperprzestrzenny wszczep oddał ducha z przeszywającym, rozdzierającym uszy świstem. Sopwith poczuł, że but nagle przestał stawiać opór. Nadal trzymając go w ręku, pan młody zatoczył się w tył.

Ciągnął jeszcze przez jakiś czas, choć but już dawno powinien zejść ze stopy.

Ujrzawszy rezultat swych poczynań Sopwith zaczął kwiczeć i bełkotać.

- Urwałem ją! - zaskrzeczał. - O Boże, Mariette, wyrwałem ci nogę!

Jednak kończyła wcale nie odpadła - po prostu wydłużała się i wydłużała, zmieniając się w coś przypominającego reklamę pończoch w eleganckim magazynie mody, albo przykład zdrowej barwy ciała w dobrym czasopiśmie propagującym aerobik. Druga noga leżała obok niej, pokraczna i gruba.

- A teraz lewą.

- Chcesz żebym ci wyrwał i drugą nogę...? - z niedowierzaniem marniał Sopwith.

- Zrób to - powiedziała Mariette tonem przypominającym pozdrowienie dwóch lodo-wców mijających się w mroku - albo namówię tamtą, żeby odgryzła ci łeb.

- Mówię wam... - zaskrzeczał insektoid, lecz Sopwith już złapał lewą nogę Hsia Shan-yun i szarpnął ją konwulsyjnym ruchem, od którego łupnęło mu w krzyżu.

Odzyskawszy już częściowo swój dawny urok wstała i odchyliwszy głowę do tyłu wydała okrzyk triumfu, mniej więcej tak, jak robił to grający Tarzana Johny Weissmuller, kiedy załatwił w dżungli coś trzy razy większego od siebie.

Płomień w jej oczach wypuścił nowe pędy, przebiegł po czaszce wypalając kędzierzawe resztki i uwolnił gęstą, czarną grzywę, która zafalowała dziko, gdy Shan potrzęsnęła głową. Oczy miała ogromne, lekko skośne i zielone jak lśniący nefryt, a jakaś niewidoczna siła chwyciła małe, wąskie usta i wyrwała niewidzialne szwy, aż wspaniałe, pełne wargi rozchyliły się, ukazując zęby godne drapieżcy.

Przybysz z przeszłości z przyjemnością obserwował tę przemianę.

- Wspaniale. Zrobione z dużym poczuciem smaku. Wydaje mi się jednak, że ramiona zostały trochę niedopracowane, a tors trochę zanadto płaski, prawda?

Shan-yun zaśmiała się złowrogo, zrzucając prosty zakieciak oraz jedwabną bluzkę, po czym zaczęła się przeciągać, rozciągając ciało i mięśnie jak miękkie toffi, aż wreszcie, przy-trzymując kolanami syczącą Pasiastą Dziurę, delikatnie przywróciła palcom ich właściwą dłu-gość, ściskając, gniotąc i przebierając zniekształconymi biedactwami, aby przywrócić je do życia.

- Sopwith, wyłącz system gaśniczy - powiedziała uspokajająco.

Podłoga była zalana wodą. Do drzwi mieszkania powinien już dobijać się tłum lokato-rów, lecz bąbel lokalnej energii, którego ośrodkiem była Pasiasta Dziura zdawał się zamykać mieszkanie w swego rodzaju klatce, niedostępnej z zewnątrz. Szlochając, Sopwith dotarł do tablicy sterującej instalacją przeciwpożarową oraz przeciwwłamaniową i wyłączył wszystko oprócz wieży Banga & Olufsena.

Wrócił w samą porę by zobaczyć, jak Shan-yun rozpina biustonosz ukazując piersi.

Ten widok dopełnił miary.

- Już nigdzie nie chcę jechać - powiedział do obcej istoty, przykucnąwszy przy jej gipsie.

- Co?

- Zostawcie mnie tu, żebym zamarznął, kiedy wyłączą Słońce. Nikomu nie powiem.

Potworowi z innej planety niełatwo przyszło oderwać pełen podziwu wzrok od Shan i zwrócić uwagę na namolne, choć niezbyt zrozumiałe deklaracje Sopwitha.

- Słuchaj pan, obawiam się, że to wszystko i tak było pomyłką. Wróciłam tylko po to, aby to panu powie...

- Pomyłka! - wrzasnął Sopwith. - Jak coś takiego może być pomyłką? Jak w ogóle można mylić się w takiej sprawie jak zgaszenie Słońca?

- Prawdę mówiąc - powiedziała skromnie obca istota - wydaje mi się, że miałam pewien udział w uchyleniu tej decyzji.

- A więc Ziemia nie zamrznie?

- Na szczęście nie, przynajmniej w ciągu kilku najbliższych miliardów lat. Jesteście całkowicie bezpieczni.

- Słońce - wtrącała się Shan-yun, odrywając się na chwilę od ostatnich poprawek przy swoim ciele. - Czy wy, durnie, majstrujecie coś przy Słońcu?

- No cóż, do mnie nie może pani mieć o to pretensji - powiedział dotknięty do żywego insektoid. - Jak już powiedziałam pani małżonkowi, moje skrzydło Partii Konserwacjonistów Energii Słonecznej w pięknym stylu pokonało oponentów i zdobyło władzę...

- Akurat.

W nowym, przemodelowanym głosie Mariette Sopwith usłyszał zgrzyt tego sceptycy-zmu, który - w połączeniu z nielegalnymi informacjami z dziedziny historii, jakie zapamiętała w dzieciństwie - zrobił z niej tak stanowczą i świetną asystentkę reżysera.

- Chyba nie mylę się przypuszczając, że inżynierowie właśnie natrafili na pewne nie-spodziewane, trudne do ominięcia trudności techniczne.

Zaskoczony przybysz wtulił głowę w ramiona, o ile można tak powiedzieć w odniesieniu do owada, któremu brak nie tylko ramion, ale i szyi.

- To zastrzeżona informacja. A jeśli już o tym mowa - powiedziało surowo stworzenie z przyszłości odzyskując rezon - to co

pani wyprawia z tą Pasiastą Dziurą? Czy pani nie wie, że takie zabawy mogą doprowadzić do stworzenia pętli czasowej? Możemy utkwąć w tej okro-pnej epoce na zawsze.

- Powiedziałabym, że stworzył ją ten przyjaciel Soppo'ego, O'Flaherty Gribble - rzekła Shan.

- On nie jest moim przyjacielem!

- Nie możesz powiedzieć, że się nie starałam - powiedziała Shan - popychałam cię tak często w jego kierunku, że dziwię się, iż nie poślubiłeś jego zamiast mnie.

Sopwith z niesmakiem odwrócił wzrok. Wprawdzie był skłonny do bicia męskich reko-rdów, ale nie miał skłonności do mężczyzn-rekordzistów.

- Ingerowała pani w przeszłość! - wykrzyknął oskarżycielsko przerażony insekt. - To szaleństwo! Najcięższa zbrodnia! Czy zamierza pani tak spokojnie przyznać się, że zdradziła pani tajemnicę splatania Dziur Kaluzy-Kleina osobnikowi z dwudziestego wieku?

Shan-yun przemykała przez pokój jak duch, chlupiąc po mokrym dywanie i wykonując w zwolnionym tempie płynne, piękne kata Tai Chi, próbując odzyskać pełną kontrolę nad swym uwolnionym z więzów ciałem.

- Niech pani nie będzie idiotką. Oczywiście, że nie, po prostu kiedy tylko było to możli-we namawiałam Soppo'ego, żeby zaprosił O'Flaherty'ego na swój show. Wiedziałam, że ko-muś się to spodoba i może przybędzie mi na pomoc. I oto jest pani tutaj.

- Hmm... Właściwie to przybyłam tu z zupełnie innych powodów.

- Nie ma czegoś takiego jak przypadek - powiedziała insektowi Shan-yun, majestaty-czna i pewna siebie. Nad jej głową kipiała i lśniła Dziura, jak piłka z płonącej, zwiniętej w kłęb neonowej rurki, poruszając się wdzięcznie razem z dziewczyną. - Nie domyśla się pani, co pokrzyżowało plany waszych inżynierów?

- Informacja zastrzeżona - mruknęła niechętnie obca istota.

- Właśnie. Nie macie pojęcia.

Shan-yun sięgnęła nad głowę i zakręciła kulą pól siłowych.

- Oto co się stało...

I cisnęła Pasiastą Dziurą w sufit.

Kula uniosła się, pęczniąc i promieniując światłem. Jak ogromny dmuchawiec świetli-stego puchu, w sposób fizycznie nieodczuwalny, opuściła pokój.

- W Słońce? Trafiła w nie wczoraj? - zawołał owad.
- Strzał w dziesiątkę - powiedziała uśmiechnięta od ucha do ucha Shan.

- Ale w jaki sposób zamierza pani wrócić do domu?
- Właściwie - powiedziała Shan-yun chwytając jedną mocną ręką chitynowy bark stwo-ra, a drugą łapiąc jego górną kończynę - to miałam nadzieję, że mnie pani podrzuci.

Znowu wyszczerzyła zęby.

- O ile jedziemy w tę samą stronę.
- Czeka, czeka - wrzasnął Sopwith Hammil, stojąc jak idiota na środku pokoju i sły-sząc w tle orkiestrę Mantovaniego. - Nie możesz tak po prostu odejść! Pobraliśmy się, Mariet-te. Jesteś moją żoną, niech to szlag!

- Nazywam się Hsia Shan-yun, fajtłapo - powiedziała zaczynając już znikać. Nadal mo-cno trzymała ramię insekta. - Niech cię pociesza myśl, że przynajmniej nie zostałeś zesłany w przeszłość i nie musisz spędzać reszty życia jako członek plemienia *Australopithecus boisei*.

I już jej nie było.

Oszołomiony Sopwith Hammil łaził w kółko po pokoju. Po chwili zmienił stację na 3RRR i dostał serię ciężkich dźwięków wypuszczonych przez członków zespołu „Brzytwą po gałach”. Znalazł dużą gąbkę, plastikowe wiadro i zaczął wycierać podłogę.

Po chwili stwierdził, że kłęczy, kołysze się łagodnie w przód i w tył.

- *Australopithecus boisei!* - powiedział.

Podszedł do baru i starannie zmieszał sobie jeden koktajl Siekiera-Motyka, a potem drugi.

- O'Flaherty Gribble - rzekł ochryłym głosem. - Zrobiłem z niego durnia. Muszę do niego zadzwonić. Jutro. Zadzwonię. Co za głupiec. Biedna Cyn.

Gdzieś niedaleko George Bone spoglądał na Sopwitha i uśmiechał się widząc, co się stało. Był to ten szczególny, ciepły, pełen aprobaty, budzący absolutne zaufanie rodzaj uśmie-chu, jakiego każde dziecko oczekuje od swojego tatusia.

